

*Hans Helmut Kirst*

# *Prawo Fausta*

*W roku 1945 istniało w Afryce Północnej kilkadziesiąt obozów dla jeńców wojennych pod brytyjskim nadzorem. Ich wygląd nużył monotonią: nieskończenie długie rzędy namiotów ustawionych na zagłębieniach w piasku, podzielone na tak zwane „klatki” (cages), nazywane przez fachowców również „compound”. Świat drutów kolczastych dławiący beznadziejnością.*

*Mimo to mówiło się - po cichu, lecz prawie zawsze z uśmiechem - o kontrowersyjnym obozie specjalnym w rejonie Kairu, który znacznie wykraczał poza wypróbowane ramy wojskowej rutyny. Kluczowym elementem był tu niejaki pułkownik Nelson określany mianem „zastanawiająco niedostosowanego cywila”, i to na dodatek przez niektórych swoich podwładnych, co nieuchronnie musiało prowadzić do komplikacji.*

*Ów pułkownik Nelson - wysoko ustosunkowany dżentelmen o silnie cywilnych skłonnościach - postawił sobie najwidoczniej, „w obliczu przewidywalnego rozwoju sytuacji w przypuszczalnie nieodległej przyszłości”, dość nieograniczone zadanie posługiwania się możliwie nowoczesnymi, a właściwie jawnie demokratycznymi metodami. Nawet wobec członków byłego niemieckiego Wehrmachtu.*

*Rezultat był zdumiewający i to pod wieloma względami. Także wśród brytyjskich żołnierzy wielkodusznie pozbieranych z najprzeróżniejszych jednostek wojskowych, którzy usiłowali na swój sposób wykorzystać nadarzającą się wyjątkową okazję. Jednak efekt końcowy nie był całkowicie pomyślny. A zadbał o to jeden osobnik.*

*Nazywał się Faust\* \*[niem. - pięść. Gra słów w tytule oryginału Faustrecht - prawo pięści.]*

*Szybko pojawiły się dykteryjki i wesołe opowieści na jego temat. Lecz prawda była daleko bardziej fantastyczna.*

- Dąąć! Waalić w bębny! - rozlegał się jasny, śpiewnie skowyczący głos. - Daaać z siebie wszystko!

Bładoniebieskie niebo, ku któremu wznosił się ten mocno zachrypnięty głos, przypominało mocno naprężony gigantyczny żagiel w przytłaczająco jednostajnym kolorze. Nieskończenie odległe, nierealne chmury otaczał rozedrgany, ociążały żar. Zdawać by się mogło, że nic więcej nie istnieje na tym świecie - przynajmniej na razie.

A potem znów ten przenikliwy, wyrzucony jak pod ciśnieniem, głos komendy - czysto brytyjski produkt koszarowy, w języku niemieckim.

- Weźcie się w garść, do ciężkiej cholery! Pokażcie, co potraficie! Bo inaczej pojeździmy na łyżwach, po pustyni!

Głuche, rytmiczne odgłosy wznosiły się teraz ku niebu - wydawane przez intensywne bębnienie w błony rozpięte na obręczach. To drummers wkroczyli do akcji.

Po kilku sekundach przyłączyły się do nich chropawe, lecz wesoło jazgotliwe dźwięki piszczałek - instrumentów zwanych kobzami. To pipers głośno demonstrowali swoją obecność.

W tym głucho dudniącym i przypominającym wycie syren hałasie można było usłyszeć coś w rodzaju melodii, podobnej do szkockiej piosenki o jeziorze Loch Lomand w okolicach Glasgow. Było to samotne jezioro, pięknie położone wśród soczycie zielonych łąk, na których pasły się owce leniwie smakując trawę w otoczeniu prastarych drzew gęsto pokrytych listowiem.

Coś takiego tutaj - pośrodku pustyni, w tym krajobrazie bładoniebieskiej, jaskrawożółtej, srebrnobiałej monotonii.

Wygrywane przez niemieckich jeńców wojennych.

\*\*\*

Było ich jedenastu - sześciu drummersów i pięciu pipersów. Brnęli przez piach bębniąc i trąbiąc z wysiłkiem, ale i wyczuwalnym zaangażowaniem, między przycupniętymi klockami baraków krytych blachą falistą. W krótkich powiewających szortach i szeroko porozpinanych, bawełnianych koszulach.

Wyprzedzał ich mężczyzna jak chodząca szafa dębowa - potężny, barczysty, olbrzymi twór ludzki. W czystym, starannie dopasowanym, brytyjskim mundurze z dystynkcjami sierżanta. Jego szeroka twarz wyrażała skupione nasłuchiwanie i skwapliwą nadzieję.

- A teraz chłopcy - krzyknął sierżant zachęcająco - *My Home!*

Nie oglądając się w przeświadczeniu, że może być absolutnie pewny swojej drużyny, krzyknął zduszonym, lecz przenikliwie donośnym głosem nawykłym do komend: - *My Home*, chłopcy! Po chwili dodał dla zachęty w udawanym dialekcie berlińskim:

- A teraz pokażcie, na co was stać! Damy teraz wszystkim popalić, chłopcy! Ale z uczuciem! Padnie każdy, kto ma jeszcze odrobinę serca!

Szybko zmieniła się melodia - pomijając kilka zduszonych, lecz szybko zanikających popiskiwań kobz. Zaczął rozbrzmiewać prawie uroczysty rytm wygrywany na bębnach w ciągłym dynamicznym stopniowaniu. Do niego dołączyły, jak po rozmyślnej obliczonej na efekt pauzie, sentymentalne głębokie dźwięki pipersów, którzy w chwilę potem zapiszczeni przeraźliwie. Nie udało im się jednak uchwycić rytmu wybijanego przez drummersów - raczej groziło im uwikłanie się w przerażająco nabrzmiały zgiełk.

- Chłopcy! - silny wojskowy głos sierżanta pełen był szczerego przerażenia. Stał nagle jak wryty. Sztywno odwrócił się na pięcie. Prawie z niedowierzaniem przebiegł wzrokiem po swoich ludziach, którzy także się zatrzymali: - Cooo to miało być?

Jedwabne niebo ponad nimi, szarozółty piasek pod nimi, pagórki baraków z blachą falistą, jak kopczyki krecie, wokół nich - ich świat, ich od wielu miesięcy codzienny świat. A w nim ten sierżant, który zwał się Ken McKellar. Jedenastu mężczyzn ze szkockimi instrumentami gapiło się na niego niemo.

Ten jednak potrząsnął swoim potężnym łbem, spojrzął zmartwiony i zapytał: - Czy wy chcecie mnie koniecznie rozczarować, i to tak brutalnie?

Tego nie chcieli i usiłowali to pokazać. Było ich tutaj dwunastu wybranych spośród tysiąca dwustu jeńców wojennych. Wybranych osobiście przez sierżanta Kena McKellara. Mieli mu wiele do zawdzięczenia - specjalne racje żywnościowe, uprzywilejowany rodzaj pracy i stosunkowo mile wypełniony czas wolny. Za to musieli jedynie bębnić i dmuchać. A on zawsze uważał to zajęcie za dobre i stosowne.

- Ale tak dalej być nie może, chłopcy! Ken McKellar, starszy sierżant tego obozu, oficjalnie odpowiedzialny za jego „porządek wewnętrzny”, spojrzął z niepokojem na swój z takim trudem ćwiczony w muzykowaniu oddział. - Brakuje mi przy wykonywaniu *My Home* żywego udziału pierwszego piperera. Gdzie on jest?

Pierwszym piperem był niejaki Faust. Nie należał on z pewnością do muzycznych geniuszy - nie w opinii McKellara - lecz był całkiem chętnym i wrażliwym, uzdolnionym chłopakiem, a przy tym z pewnym wyczuciem harmonii. Brakowało teraz bardzo jego prowadzenia.

- Gdzież więc jest ten Faust?

Ken McKellar zmuszony był dwukrotnie zapytać nie otrzymując żadnej odpowiedzi. Jego drummersi i pipersi, przyuczani przez niego tygodniami żmudną, szczegółową pracą, stali wokół bez słowa. Co prawda bez zachowania postawy wojskowej, lecz z wyczuwalną uległością. Milczeli, ostrożnie wyczekując.

Po raz kolejny McKellar zapytał o Fausta - znowu nie otrzymując odpowiedzi. Wskazał więc wyciągniętą ręką na drummera Schulza, byłego niemieckiego feldfebla, który - jego zdaniem - zasługiwał na pewne zaufanie.

- Gdzie się ten chłopak podziewa? - zażądał od niego informacji.

- Sierzancie - odpowiedział feldfebel Schulz, zwany Liskiem, z rozmyślną ostrożnością - wiem tylko tyle: zanim domaszerowaliśmy do rogu przedostatniego baraku Faust jeszcze był obecny.

- A gdzie jest teraz?

- Skąd mam to wiedzieć? - feldfebel Schulz zapewnił pocziwie i po koleżeńsku w międzynarodowym tonie związkowców średniego personelu urzędniczego. Brzmiało to jak życzliwa rada, gdy dodał: - Możliwe, że Faust oddalił się tylko na krótko za potrzebą.

- I nie odmeldował się u mnie?

- Może mu się bardzo śpieszyło? - pomagał dalej ochoczo feldfebel Schulz, ni mniej, ni więcej tylko pierwszy drummer w „Scotish-Bavarian-Highlanders”, jak starszy sierżant zwykł mówić o swoim oddziale specjalnym.

- Zupełnie możliwe, że mu się nagle zrobiło niedobrze. Coś takiego jest tutaj prawie nie do uniknięcia; mam oczywiście na myśli klimat.

- Stać cicho! - krzyknął nagle McKellar zaalarmowany. - Nie ruszać się z miejsca! Jak lalki! Jak wryci! A pan, Schulz, przejmuje za to odpowiedzialność! I niech dobry Bóg ma pana w swej opiece, jeżeli ten Faust - może i z pana pomocą - znowu zaryzykował jedną ze swoich ucieczek. Jeżeli to prawda, to jest pan skończony.

- Sierzancie - powiedział Schulz poufale, lecz powściągliwie - ja na pana miejscu nie odważyłbym się nawet myśleć o tym. Ostatecznie jest to przecież pana oddział specjalny! A my wszyscy cieszymy się bardzo, że jesteśmy tutaj i chcielibyśmy się jeszcze trochę tym pocieszyć.

- Schulz, mój kochany - przyznał McKellar również poufale odciągając feldfebla na stronę - naprawdę pana doceniam. Nie jest pan na pewno wielkoniemiecką świnią! A ja jestem po prostu starym, prawdziwym Szkotem.

- I doceniamy to, sierzancie.

- I przy mojej specyfice, jako Szkot, potrafię rozróżnić pewne sprawy, Schulz.

Pozwalam więc tym Anglikom na wiele - nawet na tego Fausta. Po czym zaszeptał prawie konspiracyjnie: - Lecz muszę sobie też zadać pytanie, czy i ja mogę sobie na coś takiego pozwolić? W związku z wami, Niemcami!

Było to pytanie o dalekosiężnym znaczeniu, co nawet Schulz dostrzegł błyskawicznie. Jego lisia twarz uniesiona ku McKellarowi, wyrażała zmartwienie. Wysoko ceniony wzrost sierżanta sięgał metra dziewięćdziesięciu. Jedna z tych wołowatych istot o łagodności dziecka - takie odnosiło się wrażenie; to były jednak pozory.

Ów sierżant miał w zwyczaju, obnażając swój tors, wyzywać każdego do szkockich walk zapasniczych. Lecz nikt nie czuł się na siłach, by mu dorównać. Trenował więc samotnie i regularnie w specjalnie wydzielonym sektorze obozu, tak zwanej „arenie”, z wyłącznie dla niego zorganizowanymi pniami drzew. Rzuczał nimi daleko, na odległość wielu metrów. A odłamami skalnymi miotał po okolicy jak kamieniami. Nikt nie ważył się do niego zbliżyć.

Cieszył się respektem zarówno wśród Anglików, jak i jeńców obozowych. Szczególnie wśród tych ostatnich, gdyż mieli z nim bezpośrednio do czynienia. Pułkownik Nelson, komendant, przeznaczył Kena McKellara do roli swoistego strażnika obozu - i nie mógł dokonać trafniejszego wyboru. Ponieważ sierżant starał się postępować sprawiedliwie, z niejaką wielkodusznością i był niezawodnym organizatorem. Poza jedną jedyną słabością: jego szkocko-bawarską orkiestrą. Przyjmowaną zresztą jak naturalne zjawisko przyrodnicze.

- Przy czym nie mogę dopuścić - zapewniał Ken McKellar - aby ktokolwiek tutaj usiłował zakłócić naszą z takim trudem wypracowaną harmonię. Założony przeze mnie zespół muzyczny jest wręcz wzorem uporania się z przeszłością. A ja przywiązałem się do niego!

- Rozumiem - Schulz pośpieszył z zapewnieniem. Ten feldfebel był małym, żyłastym i pod każdym względem zwierzęco zwinnym człowieczkiem o ciekawskim spojrzeniu. - Jak najbardziej rozumiem. Najzupełniej się z panem w tej kwestii zgadzam. A jeżeli chodzi o kolegę Fausta, to mamy u nas w Niemczech w takich wypadkach bardzo piękne przysłowie: Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal!

- Znam to Schulz. Lecz nie jesteśmy w Niemczech!

- Ale w wojsku, a to jest przecież międzynarodowe! Dlatego sędzę, sierzancie, że jeżeli ten Faust rzeczywiście miałby znowu próbować udawać wariata, to co nas to obchodzi? Nic nie wiemy, nic nie widzieliśmy, niczego nawet w najmniejszym stopniu nie przeczuwaliśmy. Zajmujemy się wyłącznie muzyką.

- Nie nazwałbym tego akurat muzyką - poprawił go Ken McKellar z kielkującą nadzieją w głosie. - Usiłujemy tu jedynie pracować z instrumentami. Tylko to i nic poza tym!

Jasne?

\*\*\*

- Sir - powiedział sierżant McKellar niespełna dziesięć minut później w budynku brytyjskiej komendantury do kapitana Moone'a i to w tonie szczerego zaniepokojenia - tak dalej być nie może!

- Będzie tak dalej - będzie w ten lub inny sposób! - Kapitan, adiutant brytyjskiego komendanta, poruszał nonszalancko szklanką pełną whisky i kostek lodu. A cóż może się nagle zmienić lub też nagle zniknąć w tym cyrku? Niestety nawet nie pański przeraźliwie skowyczący i godny politowania zespół?

- Moja grupa specjalna, sir - sztywno wyjaśniał sierżant - powstała za osobistym i pisemnym przyzwoleniem pułkownika Nelsona. A jeżeli chodzi o umiejętności artystyczne, to wszystko wymaga czasu. Jak na razie musimy jednak znosić różne trudności.

- Czyżby miał pan kłopoty, sierżancie? - zapytał kapitan Moone rozparłszy się wyczekująco w fotelu. - Kłopoty, które usiłuje pan zrzucić na nas?

- Mam jedynie zamiar, sir, prosić o stworzenie jasnej sytuacji.

- A nie jest ona wystarczająco jasna?

- Nie w odniesieniu do mojej grupy specjalnej, sir - starszy sierżant był uparty, uważał, że jest to najlepsza taktyka. I tak rzeczywiście było. - Inaczej będę zmuszony uznać, że istnieje tutaj jakaś niechęć w stosunku do szkockiej muzyki.

- Kocham ją - zapewnił kapitan Moone ziewając bez skrępowania. - I pułkownik ją kocha. Wszyscy ją kochamy. Lecz niekoniecznie w wątpliwym i do tego niemieckim wykonaniu.

- Kto ją wykonuje, sir, to pytanie jak najbardziej drugoplanowe - wyjaśnił poważnie starszy sierżant. - Tak na przykład, oceniając obiektywnie, najlepszym drummerem lat dwudziestych w Glasgow był Anglik. I to w dodatku z południowej Walii. Nie jesteśmy w takich sprawach małostkowi, sir.

- Do czego pan zmierza, McKellar? - zapytał kapitan odstawiając równocześnie niedopitą szklankę whisky. - Nie usiłuje mnie pan chyba nabierać?

Kapitan Moone podejrzewał o to tutaj bez mała każdego. W oczach żołnierzy o długim stażu wojskowym nie był niczym więcej niż intruzem, cywilem przez wojnę pozbawionym celu. Prawnik, adwokat londyński, niezbyt ustosunkowany. Nie bez racji odczuwał swoją sytuację w obozie jako dość komiczną. Lecz zawsze starał się nią bawić.

- Człowieku, co się stało? - zapytał.

- Nic szczególnego, sir. Tylko tyle, że moja grupa specjalna nie ma jasno na piśmie sformułowanych rozkazów. Tym samym wszystko odbywa się na zasadzie pewnej dowolności. A oznacza to praktycznie, że ci ludzie przychodzą i oddalają się, jak im się podoba. A jak już im się znudzi, to zwyczajnie zwiewają.

- Czy któryś z nich zwiął? - zapytał kapitan Moone. - Któż znowu?

- Mój obecny pierwszy piper. Po prostu usunął się spod moich rozkazów, na niecałe dziesięć minut przed moim przyjściem tutaj, czyli przed mniej więcej kwadransem. Po prostu odszedł - ten Faust.

- Powiedział pan: Faust?

- Tak powiedziałem, sir - starszy sierżant Ken McKellar mrugał oczyma pełen oczekiwania. - Jeniec wojenny o nazwisku Faust i imieniu Heinrich, co można, o ile się nie myłę, przetłumaczyć na Henry.

- To może pana drogo kosztować, McKellar! - zapewnił kapitan Moone najwidoczniej radośnie podniecony.

- Dlaczego, sir? - zapytał z udawaną naiwnością.

- Powinien pan sam to dokładnie wiedzieć, sierżancie! Przecież ten Faust uchodzi za notorycznego uciekiniera. Przecież odważył się już na co najmniej dwie takie próby, na szczęście bezskuteczne. I akurat takiemu więźniowi pozwala pan zwiąć?

- O tym, sir, nie może być mowy - wyjaśnił sierżant prostodusznie. - Nic takiego nie powiedziałem. To pan interpretuje w ten sposób moje słowa. Ja wiem tylko tyle: ów Faust przestał się po prostu udzielać u mnie jako pierwszy piper. Czego bardzo żałuję, sir.

- Może pan sobie żałować, ile tylko pan chce, McKellar, ale jest pan za niego odpowiedzialny.

- Nieporozumienie, sir - zapewnił starszy sierżant siląc się na uprzejmość. - Odpowiedzialny jestem jedynie za wewnętrzny porządek w tym obozie - a ten jest nieskazitelny. Za ewentualne próby ucieczki odpowiedzialny jest wyłącznie major Turner - niech pan się zwróci do niego. O ile nie wpadnie pan na lepszy pomysł.

\*\*\*

Major T.S. Turner - odpowiedzialny za „ogólne bezpieczeństwo”, czyli za strzeżenie obozu, rezydował w drugim z kamiennych budynków dawnego pustynnego fortu.

Były trzy kamienne budynki - w pierwszym z nich mieszkał brytyjski komendant, pułkownik Nelson, ze swoim sztabem; w trzecim zakwaterowane były różne oddziały strażnicze; w drugim rezydował major T.S. Turner ze swoim oddziałem szybkiego

reagowania, zwanym „zgrają”.

Major miał zwyczaj przy każdej nadarzającej się okazji oznajmiać: „Gdyby to ode mnie zależało, byłby to najlepiej strzeżony obóz na afrykańskiej ziemi w ostatecznie oswobodzonym zachodnim świecie”. Lecz nie od niego to zależało - niestety nie. Gdyż obecnie kompetentny pułkownik, ten Nelson, był z gatunku wyperfumowanych fantastów, a jego adiutant, ten kapitan Moone, niczym więcej niż beznadziejnym cywilem ubranym w mundur.

- Dla jakiego tym razem powodu zamierzacie mnie fatygować? - zapytał major Turner przewalając się na swoim łóżku polowym. Krągły i rozluźniony leżał i pocił się. - Nieważne do czego pan zmierza, Moone, ten obóz jest niczym więcej niż swoistym sanatorium, przed czym już wielokrotnie, nawet pisemnie, ostrzegałem. Któż mnie jednak słucha? Ale kiedyś poczują to na własnej skórze. Czyżby już do tego doszło?

Ów T.S. Turner, krępy, ogorzały zawodowy strażnik z wąsem, spędził w tym obozie ponure tygodnie i miesiące. Jego zdaniem obchodzono się tutaj z jeńcami wojennymi jak z jajkiem - zostali przesłuchani i zaklasyfikowani, przyznano im pełne racje żywnościowe, jak aktywnym jednostkom brytyjskim. Nawet pozwolono im na pewien samorząd na podobno demokratycznych zasadach. Posunięto się zdecydowanie za daleko. Co jednak, nawet tutaj, nie musiało być ostatnim słowem. Ostatecznie jest jeszcze on na tym terenie.

- Wydaje się, że po raz kolejny chodzi o tego Fausta - wyjaśnił kapitan Moone. - Tylko podejrzenie, sir, na razie nic więcej. Lecz rzeczywiście wygląda na to, że znowu usiłował stąd uciec.

- Wykluczone! - zapewnił major T.S. Turner. Przewalił ponownie swe masywne cielsko na łóżku polowym, położył się na plecach i patrzył przed siebie. Wydawał się teraz niemal łagodny. Potocznie nazywany był „Pustynnym Morsem”. - Przy moich środkach bezpieczeństwa, kapitanie, nie może się nic takiego zdarzyć! Są stuprocentowo pewne!

- Jest pan o tym rzeczywiście przekonany, sir - nawet w odniesieniu do Fausta?

- Kim on jest, ten Faust? - T.S. Turner był nieporuszony. - A kim ja jestem? - zapytał ponownie z rozbijającą pewnością siebie. - Zajmowałem się obozami już wtedy, gdy ten Faust biegał w krótkich spodenkach i prawdopodobnie jeszcze w nie robił!

- Jednakże, sir, powinien pan na tego Fausta uważać - poradził rozbawiony kapitan Moone. - Niedocenianie go może być niebezpieczne.

- Wystarczy kapitanie, że dobrze oceniam siebie i swoje możliwości. Major wachlował się gazetą - był to nieprzeczytany Times - w niezrównanie nonszalancki sposób. - Mój system kontroli funkcjonuje bez pudła!

Wiedział, że obóz posiada trzymetrowej szerokości, okoloną masywnym drutem kolczastym „uliczkę śmierci” - co noc oświetloną reflektorami i bez wysiłku kontrolowaną przez wieże strażnicze. Co więcej obóz ten zabezpieczony był również na głębokość czterech metrów - poprzez wkopane ogrodzenie zaporowe. Był to jego pomysł. Żaden szczur się nie prześlizgnie.

- Sir, jeżeli jednak nie znajdziemy Fausta w obozie, to musi być on po drugiej stronie!

- Nie musi! - stwierdził major gładząc się pieszczotliwie po brzuchu. - Jeżeli tego gnojka nie ma w obozie, to musi być pod nim. Na przykład w ziemi, lub w jakimś dole kloacznym. Rozumie pan, co chcę przez to powiedzieć, Moone?

- Myśli pan - zapytał kapitan z niedowierzaniem - że mógłby zostać zamordowany, i to przez swoich towarzyszy?

- To się zdarza - potwierdził major w zamyśleniu. I patrząc z zadowoleniem przed siebie powiedział po chwili: - Pułkownik nie będzie miał powodu do radości, co?

- To byłaby katastrofa - zapewnił kapitan Moone prawie z nadzieją w głosie.

- Dla mnie nie - powiedział T.S. Turner. - Mój zakres to odgródzenie, zabezpieczenie i nadzór - i tutaj jest wszystko w absolutnym porządku. Przecież fruwać to on nie potrafi, nieprawdaż?

- Może trenował skoki o tyczce? - Moone poddał nowy pomysł pod rozwagę. - Po nim można się prawie wszystkiego spodziewać! A dla takich skoczków trzy metry, to nic!

T.S. Turner przekreślił się na łóżku, zsunął nogi i podniósł się.

Jego mięsista twarz poczerwieniała jeszcze bardziej, w jego głosie słychać było nutkę sarkazmu. - A teraz chcę dokładnie wiedzieć, Moone! Jest pan pewien, że w obozie brakuje jednego człowieka?

- Tego właśnie dokładnie nie wiem, sir.

- Musimy więc to sprawdzić, Moone. Major zapiął koszulę zdecydowanym ruchem, włożył przygotowane wypolerowane buty i sięgając po pas z pistoletem, powiedział: - Pułkownik pana przysyła?

- Ależ on jeszcze o niczym nie wie!

- To proszę go o wszystkim poinformować, nawet jeżeli pozbawi go pan poobiedniej drzemki! Tymczasem znowu muszę sam zrobić całą robotę. I mam jedynie nadzieję, Moone, że nikt nie wpadnie na pomysł, by mi w tym przeszkodzić.

\*\*\*

Major T.S. Turner, oficer bezpieczeństwa, tym razem kompletnie umundurowany, stał

szeroko i wyzywająco przed budynkiem komendantury.

Wybiegł wzrokiem daleko ponad piasek pustyni aż do płaskiego horyzontu. Mimo rażącego słońca nie mrużył oczu.

Rozkazał stawić się swoim oficerom, przydzielonym mu na staż, porucznikowi Millerowi i Millsowi. W obozie nazywano ich syjamskimi braćmi bezpieczeństwa. Byli zaróżowieni, pulchni i usiłowali poruszać się jak on. Z niejakim powodzeniem. Lecz jednego major był pewien - nie potrafili tak jak on myśleć. Musiał więc myśleć za nich, było to dla niego oczywiste.

Turner powiedział do Millera: - Dowodzi pan pierwszym oddziałem. Proszę wydać ostrą amunicję. Trzej żołnierze i jeden pistolet maszynowy zablokują drogę wyjazdową do Kairu. Reszta ludzi w dwóch samochodach terenowych przeczesze okolice obozu zataczając kręgi o średnicy trzech do pięciu kilometrów. Spiralnie!

A do Millsa powiedział: - Podzieli pan drugi oddział na cztery pododdziały w celu sprawdzenia zasieków. Teren ma być poddany oględzinom w poszukiwaniu podkopów w pasie dziesięciu metrów. Kopać wszędzie tam, gdzie ziemia jest mniej ubita. Ale tylko w piaszczystych sektorach, północnym i zachodnim. W południowym i wschodnim są skały, nikt się tam nie przecisnie.

Asystenci Turnera oddalili się szybko. Następnym do odprawy był sierżant McKellar - stawił się z kapralem Coplandem zwanym Sportowcem.

- Apel w obozie! - rozkazał major.

- O tej porze? - zapytał McKellar nie bez obaw. - Dość dziwne.

- A cóż w tym dziwnego? - warknął Turner zirytowany.

- Dziwniejsze jest chyba przedstawienie, które nazywacie muzyką. Więc - ruszać się! Może się pan czasami też służbowo udzieli!

- Z rozkazu pułkownika, sir? - sierżant chciał się grzecznie upewnić.

- Co pana to obchodzi! - szczechnął major. - Ma pan stosować się do moich poleceń, więc rozkazuję: Apel! I to pierwszego stopnia - wszystko, co jeszcze żyje, ma się zjawić!

- Z wyposażeniem sportowym, sir? - zapytał kapral z zaciekawieniem.

T.S. Turner skinął łaskawie głową: - Dlatego kazałem się panu stawić. Dobierze pan sześciu lub dziesięciu wyćwiczonych ludzi, bo przenicujemy to sanatorium, jak starą rękawiczkę. Tym hitlerkom za dobrze się tu powodzi.

- Sir... - wtrącił sierżant ostrzegawczo - nie sądzę, by pułkownik...

- Zaczynajcie wreszcie, McKellar! - krzyknął major z nie wróżącym nic dobrego zdecydowaniem. - Pokażcie, że stać was na coś więcej niż tylko na tresurę dwunastu jeńców

wojennych w produkowaniu jazgotu. Udowodnijcie, że te gnoje jeszcze funkcjonują!

Sierżant zaszalutował i oddalił się sztywno w kierunku wewnętrznej bramy obozu. Na znak ręką strażę otworzyły bramę i zamknęły ją, kiedy tylko przeszedł. Sierżant użył gwizdka - trzy razy długo, trzy razy krótko. Oznaczało to: Stawić się na apel.

Niebawem nadbiegli ociężałym truchtem jeńcy, wszyscy ubrani na szaro. Byli pozornie obojętni i pokorni. Południowe godziny spędzali zwykle w barakach - drzemiąc lub patrząc bezmyślnie w sufit. Upał uniemożliwiał w zasadzie inne czynności.

- Żwawiej, żwawiej! - krzyknął sierżant - Weźcie się w garść! Lepiej się przyłożycie, to szybciej skończymy!

Niektórzy wymamrotali kilka niewyraźnych, lecz mało przyjaznych zdań. Zakłócono przecież ich sjęstę. Większość jednak milczała, przesuwała się na miejsce zbiórki, formowała się. Jak stado baranów. Niektóre zaczerwienione twarze błyszczały - oczy mieli pół przymknięte. Tylko „przewodnicy stada”, jak nazywał blokowych Turner, poruszali się nieco szybciej, zgodnie z oczekiwaniem.

- Tym mi pan akurat nie zaimponuje! - krzyknął major do sierżanta zza bramy.

- Te gnoje śpią na stojąco! Nic dziwnego, przy tych sanatoryjnych metodach!

McKellar nie zareagował na tę uwagę. Wszystko było w zupełnym porządku. Na swoich Niemcach mógł jeszcze polegać. Szczególnie pod tym względem. Oni jeszcze pamiętają, co znaczy komenda. Nie licząc kilku raczej rzadkich przypadków. Ustawiali się po stu, dziesięciu na dziesięciu w równych kwadratach. Trzy duże formacje: ci z czterech baraków krytych blachą po lewej stronie obozowej ulicy, obok tych czterystu ustawiała się taka sama ilość z baraków po prawej stronie, w tle na ukos liczebnie podobna reszta, Kapitan Müller-Wipper, adiutant niemieckiego komendanta obozu, pułkownika von Schwerin-Sommershausen, przemaszerował do stojącego wciąż nie opodal wewnętrznej bramy sierżanta - McKellara. Zatrzymał się przed nim, pozdrowił go krótko, raczej symbolicznie, i zapytał:

- Dzieje się coś szczególnego?

- Sierżant nie jest dla was biurem informacyjnym! - krzyknął major Turner z oddali.

Kapitan szybko zwrócił się bezpośrednio do niego: - Proszę mi wybaczyć, panie majorze, ale informuję się na polecenie pułkownika - von Schwerin, naszego komendanta obozu.

- W tej akcji jest on zwykłym jeńcem wojennym, jak i cała reszta - wyjaśnił major z niechęcią. - I panu nie radzę o tym zapominać!

- Jeżeli tak to wygląda - powiedział Müller-Wipper ceremonialnie - to pułkownik von

Schwerin prosi o możliwość rozmowy z pułkownikiem Nelsonem.

- Tylko po kolei - Turner warknął do kapitana. - Najpierw zrobimy tu porządek, a potem jest wysoce prawdopodobne, że pułkownik Nelson zechce porozmawiać ze swoim pułkownikiem von Schwerin. Być może, że nawet każe go sobie doprowadzić!

\*\*\*

- Coś mi tu śmierdzi! - oznajmił kapitan Müller-Wipper chwilę potem swojemu pułkownikowi. - Coś jest nie w porządku! Ale co? - Ktoś musiał zrobić jakieś świństwo! Ale kto? Jak go dopadnę...

- Oczekajmy - powiedział pułkownik von Schwerin-Sommershausen. - Nawet tutaj nie należy śpieszyć się z podejmowaniem decyzji.

- Jak zawsze tak i teraz zachowywał się z rezerwą.

I to przede wszystkim w stosunku do kapitana Müller-Wippera. - Nie wybierał go sobie, kapitan został mu przydzielony. Również pod tym względem decyzje Brytyjczyków były nieobliczalne. Jedno jednak trzeba przyznać: ten Müller był wręcz niezwykle pracowity. Niemordowany organizator.

- Ten Turner - wyjaśniająco dodał Müller-Wipper - jest jak zły pies, ale wie, czego chce. Ciężko znaleźć na niego sposób. Jeżeli przedłuży tę zabawę w nieskończoność, to musi mieć ku temu powody. Ale jakie?

- Potraktujmy to zająście jako wyjątek - powiedział pułkownik i brzmiało to rozważnie. - Godne polecenia, szczególnie w naszej sytuacji, jest zaniechanie pochopnych działań!

- Mamy pozwolić się szykanować? - zapytał kapitan zaciętrzewiony i równocześnie przekonał się po raz kolejny, że wysiłki tego rodzaju nie robią na pułkowniku wrażenia. Nie należy do realistów w każdej sytuacji życiowej - nie dorasta do praktyk tych Brytyjczyków!

Stali godzinę w prażącym słońcu mocno się pocąc - Brytyjczycy tak samo jak Niemcy. A potem jeszcze godzinę. Stojąc liczyli podpatrywani przez Turnera: siedmiu jeńców w szpitalu obozowym; sześciu przy bieliźnie, trzech pracuje w kantine jako obsługa, dwóch czyści latryny, jeden zajmuje się tak zwanym ogrodem pułkownika.

- Wszyscy, bez wyjątku, mają się tu zejść! - padł nieomylny rozkaz majora.

- Chorzy też? - zapytał McKellar.

- Jasne, oni też! O ile da się ich transportować! Lekarz ma się tym zająć!

- A zmarli?

- Człowieku, jacy zmarli?

- Mieliśmy w ciągu ostatnich czterdziestu godzin, podczas tej wielkiej burzy

piaskowej, trzy zejścia śmiertelne, sir.

- I ich należy sprowadzić - wyjaśnił T.S. Turner absolutnie nieporuszony. - Oczywiście mogą zostać w szopie, Copland to sprawdzi!

- Sir, jeżeli pułkownik...

- Niech pan nie marnuje naszego cennego czasu zbędnymi uwagami! Chcę mieć wreszcie namacalne wyniki!

Pierwszym namacalnym wynikiem po trzech dalszych przeliczeniach było to, że brakowało jednego mężczyzny. Nie wyjaśnione jednak, kto nim był.

- Musimy przeprowadzić kontrolę za pomocą listy z nazwiskami! - wyjaśnił McKellar. - Ale może to potrwać wiele godzin!

- Jeżeli o mnie chodzi to i dni! - krzyknął major. - Tymczasem Copland może urządzać swoje igrzyska.

- Chętnie, sir - odparł gotowy do skoku kapral. Miał niejaki doświadczenie w tym, czego od niego teraz oczekiwano. Ośmiu mężczyzn stało za nim gotowych do akcji - uzbrojonych w pałki długości ręki.

Wpadli, systematyczni i wprawni do pustych teraz chat, porozkładali zupełnie łóżka, przeszukali rzeczy osobiste, posegregowali ze znajomością rzeczy wszystkie możliwe narzędzia przydatne w ucieczce, jak noże lub zaostrzone trzonki łyżek, i obstukali podłogę w poszukiwaniu podkopów. Przy całej swej dokładności potrzebowali na barak niewiele więcej niż dziesięć minut. Po dobrych dwóch godzinach byli gotowi.

- Mamy nazwisko brakującego człowieka - zameldował wreszcie sierżant McKellar, usiłując w widoczny sposób nad sobą zapanować. - Chodzi o jeńca wojennego Fausta.

- Naprawdę? - zapytał major T.S. Turner tym razem poruszony. Aby natychmiast dodać: - Urządzimy teraz pokaz sztucznych ogni tak, że niektórzy zaniemówią i ogłuchną - pan prawdopodobnie też! Ten Faust był przecież pana człowiekiem. A może się mylę? Będą wyciągnięte konsekwencje!

\*\*\*

- Mało przyjemne, Moone - stwierdził pułkownik Nelson w swoim pokoju służbowym. - Jest pan pewien, że major Turner nie pomylił się przy odliczaniu?

Kapitan usiłował wyrazić współczucie. - Zdaje się, że rzeczywiście jeden z nich uciekł, sir, i to w dodatku ponownie ten Faust.

- A majorowi nie udało się go złapać?

- Urządza w okolicy prawdziwe polowanie z nagonką - a oprócz tego przenicowuje

cały obóz. Najchętniej, jak mniemam, rozłożyłby wszystkie baraki na części pierwsze.

- To niedobrze - zauważył pułkownik zamyślony. Przyglądał się swojemu adiutantowi z uwagą. - Bawi pana ta sytuacja, Moone?

- Przepraszam, sir, ale warto zobaczyć majora Turnera w tej sytuacji! Wygląda na to, że jest po raz pierwszy bezradny.

- Niestety, nie uważam tego za powód do śmiechu, Moone. - pułkownik wstał z fotela i podszedł do prawego okna, z którego mógł widzieć cały obóz. - Ta sprawa jest poważna. Może podkopać nasz prestiż. Może zaciążyć na naszej nieskazitelnej opinii! Czy pan tego nie widzi? A może jest to panu obojętne, kto jest tutaj pułkownikiem?

- Oczywiście, że nie, sir - pośpieszył kapitan z zapewnieniem i zrobił to nawet wiarygodnie. - Moja praca tutaj podoba mi się; nie mogę sobie wyobrazić niczego lepszego w całej armii. I to w dodatku, jeżeli mogę sobie pozwolić na taką uwagę, sir, z osobistych powodów...

- Dość, Moone! - krzyknął pułkownik Nelson trochę pogodniej. - Niech pan nie miesza do tego mojej córki Nancy! Nie ma nic wspólnego z naszymi służbowymi stosunkami!

- Naturalnie, sir. Chciałem jedynie panu wyjaśnić, że dopiero przedwczoraj miałem zaszczyt z miss Nancy w Kairze...

- Pozwalam panu na to, kapitanie - pułkownik Nelson znowu się uśmiechnął. - Nancy daje sobie ze mną radę śpiewając, może pan spokojnie próbować, czy pan jej da radę.

- W każdym razie cieszę się i uważam za godne pokreślenia, że miss Nancy znalazła sposobność, by pojawić się w Kairze w tej chwili i w takiej sytuacji.

- Spekulacje na ten temat może pan sobie darować, Moone, gdyż obecność mojej córki w Kairze jest najzupełniej stosowna - jak wszystko na moim terenie. Przywiązuje do tego, jak pan zapewne zauważył, rozstrzygające znaczenie. Nancy przebywa w Egipcie na osobiste zaproszenie ambasadora Jego Wysokości. Lord jest przypadkowo krewnym mojej żony.

- Jak to się dobrze składa, sir.

- Jeżeli o mnie chodzi, to może pan żywić sobie ambicje różnego rodzaju nawet w stosunku do mojej córki Nancy, jeśli czuje się pan zachęcony. Ale najpierw wszystko tutaj musi być w porządku! Na ucieczkę nie możemy sobie w żadnym wypadku pozwolić!

- Sir, odpowiedzialnością za to należy obciążyć jedynie majora Turnera. Chociażby dlatego, że uważany jest za najlepszego specjalistę od bezpieczeństwa w wojsku.

- On jest najlepszym specjalistą! - powiedział pułkownik. - Tylko dlatego został mi przydzielony. Gdyż jest to obóz wzorcowy, jeżeli nie zdołał pan tego dotąd zauważyć, Moone. W każdej chwili przygotowany na wizytację. Tak przynajmniej planowano. A teraz

to!

- Również sierżanta McKellara można pociągnąć do odpowiedzialności, ostatecznie faworyzował Fausta, co nie oznacza, że mam coś przeciwko jego szkockim zajęciom muzycznym.

- I nie radziłbym tego panu, Moone - pułkownik patrzył przed siebie w zamyśleniu. - W tej sytuacji musimy wykorzystać wszystkie dane nam możliwości - i to bez jakichkolwiek uprzedzeń. Proszę mi przysłać sierżanta Silversa.

- Właśnie jego, sir?

Pułkownik skinął głową. - A co mi lub raczej nam pozostaje innego? Skoro Turner, McKellar i pan nie możecie dojść do użytecznych rozwiązań, musimy sięgnąć po ostatnią możliwość. Czyli Silvers, nawet jeżeli ma dość specyficzne metody.

- Przed którymi pozostaje mi tylko pana ostrzec, sir!

Pułkownik roześmiał się krótko. - Próbował wejść panu w drogę w związku z Nancy? Wszystkiego się można po nim spodziewać - również i najlepszych rzeczy. Ale żarty na bok, Moone - można zaufać specjalnym umiejętnościom Silversa. Jemu zawierzam nawet mojego rolls-royca. A to mówi samo za siebie!

\*\*\*

- Tego nam jeszcze brakowało! - powiedział kapitan Müller-Wipper do swojego pułkownika. - Rzeczywiście chodzi o tego Fausta!

- Tak, to niedobrze - przyznał pułkownik zmartwiony.

- Dla kogo? Przecież to niekoniecznie nasza wina, że ten Faust może się tu swobodnie kręcić - za to są odpowiedzialni Brytyjczycy!

- Jednak należy brać pod uwagę fakt, że ta sytuacja, jak i wszystkie inne posiada i drugą stronę medalu.

Pułkownik von Schwerin-Sommershausen poddał to pod rozwagę marszcząc swoją błyszczącą od potu i żałośnie wychudłą twarz. - Ten Faust - powiedział - jest co prawda dość niezdyscyplinowanym facetem, ale i zuchem.

- Zależy, co kto uważa, panie pułkowniku! Kwestia punktu widzenia. Oprócz tego w naszej obecnej sytuacji jest to dość niebezpieczne zdarzenie. Przecież Brytyjczycy tylko czekają na jakieś potknięcie, które chcą przeciw nam wykorzystać i zrobić nas na szaro! Turner jest wręcz opętany tą myślą.

Kapitan Müller-Wipper miał okrągłą twarz, szare oczy, brązowe włosy. Sprawiał zawsze wrażenie człowieka energicznego, pełnego poczucia własnej wartości, którego nic nie

jest w stanie zmać, nawet istnienie pułkownika. Uśmiechał się do niego czujnie.

Pułkownik von Schwerin obserwował jednak swoich ludzi mrużąc przy tym oczy - jakoś nie mógł się przyzwyczać do rażącego słońca. Stali już prawie trzy godziny - pochyleni, zmęczeni, niektórzy kiwając się lekko. Dwaj leżący nie budzili zdziwienia. Człowiek się do tego przyzwyczał.

- Przecież to jest jawne szykanowanie! - krzyknął kapitan Müller-Wipper. - I to wszystko z powodu tego Fausta!

Pułkownik von Schwerin nie odpowiedział. Z wyczerpaniem patrzył na barak - a był to już barak numer dziesięć - w którym działał oddział przeprowadzający rewizję pod dowództwem kaprała Coplanda. Sportowiec był w swoim żywiole. Wydawało się, że zdemontują wszystko, co się da.

- Trzeba zaprotestować przeciwko temu i to z naciskiem, panie pułkowniku! Na to nie powinniśmy pozwolić, bo Brytyjczycy już nieodwołalnie pojeżdżą z nami na łyżwach! Faust nie jest tego wart, panie pułkowniku. Powinniśmy się go wyrzucić - i to jak najszybciej! Zupełnie świadomie. On, jak nikt inny, zaburza nasz porządek!

- To, co wyprawia ten człowiek - odparł pułkownik znacząco - zagraża naturalnie harmonii z takim trudem wywalczonej w tym obozie. Jako niemiecki komendant będę zmuszony i wyrażę jemu osobiście moje najwyższe niezadowolenie. Lecz jako oficer i człowiek nie mogę odmówić nawet takiemu Faustowi mojego osobistego uznania.

- Dla takiego człowieka, panie pułkowniku, uczucia wyższe są stratą czasu. Przy urządzaniu tych spektakularnych uciezek nie kieruje się wcale żołnierskimi powodami.

- Ale je urządza, Müller!

- Prawdopodobnie dlatego, by uciec od naszego towarzystwa.

- Nieważne z jakich powodów! Pewne jest za to, że jeszcze nikomu nie udało się uciec z obozu jenieckiego w Afryce, by nie być zaraz po tym złapanym. Ale temu Faustowi - a mówi mi to mój instynkt wojskowy - może się udać.

Pułkownik obserwował pozorny bezmiar pustyni. Ponad swoimi ludźmi. Na chwilę opanowało go uczucie samotnej wielkości.

- Panie pułkowniku, nie czas teraz myśleć o Fauście! Musimy przedsięwziąć jak najszybciej jakieś przekonujące działania - zanim będzie za późno!

- Ale co, pana zdaniem?

- Major Turner może i jest hipopotamem, ale ma niezłe poukładane w głowie. On wie skąd wieje wiatr w tym obozie. I uważa, że jeżeli nie można znaleźć Fausta, a znajduje się on w obozie, to istnieją ku temu dwa powody.

- Jakie, Müller?

- Po pierwsze: chronimy Fausta, jak to się mówi, po koleżeńsku - ukrywamy go po prostu.

- Tak jednak nie jest, prawda?

- Oczywiście, że nie, panie pułkowniku. Byłoby to absurdalne. Idiotycznie głupie - w stosunku do powyższego Fausta i w naszej specyficznej sytuacji.

- A drugi powód?

- Major myśli, że jeżeli Fausta nie ma w obozie, to dlatego, że go zgładziliśmy. Bo psuł nam szyki, bo stał się dla nas niewygodny.

- Ależ od tego, Müller, włosy stają dęba. Nie mogę i nie chcę w to uwierzyć! Muszę natychmiast rozmawiać z pułkownikiem - proszę się o to postarać!

\*\*\*

- Jak się pan miewa, panie pułkowniku? - zapytał pułkownik Nelson z wyszukaną uprzejmością, lekko się kłaniając. - Proszę bliżej, niech pan się przysiadzie - wskazał na krzesło stojące pod brytyjską flagą. - Co mogę panu zaproponować?

- Proszę o rozmowę w sprawie tych drażliwych zajść w naszym obozie - odparł pułkownik von Schwerin równie uprzejmie jak pułkownik Nelson. Ukłonił się nieznacznie i usiadł. - Mogę jedynie mieć nadzieję, że chodzi o nieporozumienie, które da się szybko naprawić.

- Ja również mam nadzieję. Gdyż dotychczas, panie pułkowniku, zawsze potrafiliśmy docenić dobre strony naszej sytuacji. I myślę, że tak powinno zostać. Napije się pan whisky? Szkockiej whisky. Z dużą ilością lodu, oczywiście. Zgoda?

- Z niezmierną wdzięcznością.

Siedzieli naprzeciw siebie - prawie jak wspólnicy w interesach, oczekujący możliwie lukratywnego dla obu stron zakończenia. Po jednej stronie szczupły, błękitnooki pułkownik Nelson; po drugiej stronie krępy, spokojny, budzący zaufanie, o końskiej twarzy, pułkownik von Schwerin.

- Papierosy prosto od Dunhilla z Londynu leżą przed panem. Proszę się częstować.

Pili z namaszczeniem. Palili w milczeniu. Pułkownik von Schwerin odetchnął głośno przymknawszy oczy pochłonięty rozkoszą, której długo był pozbawiony. Pułkownik Nelson rozparł się wygodnie w fotelu.

I powiedział: - Panie pułkowniku, jeżeli nasz obóz uważany jest za wyjątkowy, przykładowy, za wzór do naśladowania, to jest w tym również i pańska osobista zasługa.

- Ależ panie pułkowniku! - bronił się von Schwerin mile połączony w swej próżności.  
- Coś takiego polega zawsze na wzajemności!

- Domyślam się, że dostrzegł pan pewne, właściwe jedynie naszemu obozowi drobiazgi. Jak na przykład fakt, że nasi jeńcy zostali wyposażeni w kompletne ubranie tropikalne - i można je nawet w razie potrzeby wymienić.

- Co z wdzięcznością doceniamy.

- Do tego dochodzą kolejne przywileje, panie pułkowniku. Pańskim ludziom przyznano nie tylko manierki i talerze, lecz również, oprócz łyżek i zwyczajowych widelców, noże w razie konieczności. To chyba wielkodusznie z naszej strony...

- Budzi to we mnie najwyższe uznanie.

- We wszystkich pozostałych obozach zmniejszono racje żywnościowe bezpośrednio po zawieszeniu broni - a w tym obozie nie.

- Zawsze to honorowałem. Moja współpraca była szczerą i pozbawioną zastrzeżeń. Dlatego tak nas irytują, jeżeli mam być szczerzy, środki zastosowane przez majora Turnera.

- Ależ panie pułkowniku, ten człowiek wykonuje tylko swój obowiązek. Co prawda na swój sposób, lecz trzeba okazać zrozumienie. Jeżeli rzeczywiście miałyby u nas brakować człowieka, to konsekwencje byłyby katastrofalne. I to nie tylko dla niego.

Pułkownik von Schwerin w zamyśleniu obserwował swoją szklankę. - Przecież nie ustalono jeszcze nic ostatecznego - powiedział.

- Proszę pomyśleć o wszelkich możliwych skutkach, panie pułkowniku, jeżeli rzeczywiście by do tego doszło. Śmiertelność wśród naszych tysiąca dwustu wybranych jeńców wojennych jest stosunkowo niska. Tylko dwóch lub trzech ludzi umiera w ciężkich miesiącach - szczególnie w zimie, styczeń, luty, lub podczas tych okropnych burz piaskowych, jak wczoraj i przedwczoraj. Stany osłabienia, wylewy, wady serca, panika samobójcza - i podobne rzeczy. Bardzo to przykre, ale nie do uniknięcia, czyli normalne. Dotychczas jednak, panie pułkowniku, żadnej ucieczki w tym obozie, ani jednej. Rozumie pan, co mam na myśli?

- Myślę, że rozumiem - pułkownik von Schwerin odstawił niedopitą whisky na stół pułkownika Nelsona. - Nie chce pan, aby ewentualny brak Fausta trafił do pańskiej statystyki, lecz jeżeli będzie to niezbędne, do naszej. Powinniśmy zameldować o zejściu śmiertelnym.

- Ja tego nie powiedziałem - pułkownik Nelson podniósł ostrzegawczo rękę; jego oczy jednak patrzyły z uznaniem. - To, co pan przed chwilą sugerował jest dość interesującym pomysłem, lecz nie podlega dyskusji. Oficjalnej oczywiście.

- Jeżeli natomiast nie uda nam się w przekonujący sposób udokumentować jednostki

chorobowej, na którą zmarł tenże najprawdopodobniej zaginiony Faust - to mogłoby to oznaczać, że został zamordowany. I to przez swoich kolegów. Czyli najbrzydliwsza rzecz pod słońcem - morderstwo koleżeńskie!

- Panie pułkowniku von Schwerin - odrzekł pułkownik Nelson z lekkim uśmiechem - przecież nie musimy przed sobą udawać. O tym, co ma się w tym obozie wydarzyć, decydujemy wciąż jeszcze tylko my dwaj. Nie damy się przecież w nic zrobić. Mam rację?

- Moje wpływy są niestety ograniczone, panie Nelson.

- Nie na pańskim terenie, panie von Schwerin, nie przeze mnie! A może ma pan polecenie iść na ustępstwa, chociażby wobec takiego kapitana Müllera?

- Opisana tutaj sytuacja mogłaby doprowadzić do nieprzewidzianych skutków.

- To skończmy z nią, panie pułkowniku, możliwie szybko i skutecznie. Proszę pomóc z kilkoma zaufanymi ludźmi w odnalezieniu tego Fausta - potraktujemy wtedy sprawę jako niebyłą.

Pułkownik von Schwerin sięgnął po szklankę i wypił jej zawartość do dna. - Może pan mi wierzyć, że zależy mi na ostatecznym wyjaśnieniu tej całej sprawy. Ale jakie jest najlepsze rozwiązanie?

- Proszę to sobie przemyśleć - zażądał pułkownik Nelson. - Nie ma pan jednak zbyt wiele na to czasu; obawiam się, że żaden z nas go nie ma! I powinien pan wiedzieć, że i ja poczyniłem już pewne kroki. Włączyłem już do akcji mojego najpewniejszego człowieka - choć nie bez zastrzeżeń. Lecz jak powiadał wasz generał: niezwykle warunki wymagają niezwykle środków.

\*\*\*

- Niezły teatr dzisiaj, co? - sierżant Sid Silvers podszedł do wewnętrznej bramy i rozmawiał ze strażnikami. - Przedstawienie się przeciąga, co?

Strażnik przytaknął ze śmiechem. - Nigdy jeszcze nie widziałem majora Turnera w takiej formie!

- To rozkoszuj się tym widokiem - polecił Silvers i kazał otworzyć sobie bramę.

Jasnymi, bystrymi oczami obserwował scenę, która się przed nim rozgrywała: wymęczone, w bezmyślnej pokorze stojące trzy kolumny po czterystu mężczyzn każda. Klub sportowy kaprala Coplanda zabawia się w piasku, i przyglądający się temu wszystkiemu major Turner. Z pewnej odległości obserwuje go kapitan Müller-Wipper.

- Jesteście nastawieni okropnie rozrywkowo - powiedział Silvers do McKellara opartego o ścianę baraku. - Ale nie wyglądasz na szczególnie rozbawionego.

- Nie żartuj sobie - odparł starszy sierżant ze złością. - Moje zapotrzebowanie na rozrywkę zostało już na długi czas zaspokojone!

- Chyba nie dałeś się Turnerowi zwariować?

- On mi zaraz cały obóz zmarnuje - wyrzucił z siebie McKellar. Wszystko, co z takim trudem udało mi się stworzyć, pójdzie w kilka godzin z dymem!

- I stoisz sobie tutaj - nic z tym nie zrobisz?

- Człowieku! Turner jest świnią pierwszej wody, ale zna się na swojej robocie, trzeba mu to przyznać. Jeżeli w ogóle ktokolwiek znajdzie tego Fausta, to tylko on. Kazał przeszukać drągami wszystkie latryny, przewrócił wszystkie kubły na śmiecie, większość z nich własnoręcznie i obstukał każdą ścianę w barakach. Nawet obejrzał trupy w trumnach.

Tymczasem klub sportowy kaprala Coplanda przekształcił się w lawinowy oddział poszukiwawczy - wyposażeni w metrowej długości metalowe pręty sprawdzali piaszczyste miejsca w obozie, które major miał dokładnie zaznaczone na mapie. Sześciu ludzi dyrygowanych przez Coplanda nakłuwało, w regularnych odstępach piaszczyste podłoże krocząc jeden obok drugiego.

- Gdzieś przecież musi być! - krzyknął McKellar. - Ostatecznie nie rozplynął się w powietrzu!

- Zależy ci na nim, co?

- No, jest dobrym pierwszym piperem, a to już dużo! I tak w ogóle to on wygląda zupełnie niewinnie, Sid, ma spojrzenie owieczki, no może barana.

- Właściwość wielce praktyczna w tym obozie - zauważył Silvers. - Chcesz więc mieć tego chłopca z powrotem jako pipera. I po to, żeby pozbyć się Turnera. Ile jest dla ciebie wart?

- Co ty, Sid, chcesz robić ze mną interesy?

- Zawsze robię interesy, Ken, wiesz przecież. W każdej chwili możesz się do nich przyłączyć, to też wiesz. - Silvers był przyjacielski. - Zawsze też powtarzałem, że tu się marnuje zbyt wiele cennej siły fachowej. Należy ją wykorzystać. Z twoją pomocą.

- Przecież wiesz, że nie mogę bez zgody pułkownika.

- Teraz będziesz miał okazję - stwierdził sierżant Silvers z radosną pewnością. - Pułkownik zdaje się przywiązywać dużą wagę do pojawienia się Fausta. Co praktycznie oznacza, że będzie gotów za to zapłacić!

- Dlatego tu jesteś? - Ken McKellar, wpatrywał się z niedowierzaniem w niewysokiego, zwykle przyjaźnie roześmianego i jakby świeżo spod igły Silvers'a. - Człowieku, źle trafiłeś! Jak chcesz dokonać tego, czego nawet Turner nie może zrobić?

- Uruchamiając szare komórki, Ken, ponieważ major nie robi nic poza zwykłą rutyną. W tym pośpiechu musiał popełnić jakiś błąd i chcę go znaleźć.

- Człowieku, jeżeli ci się to uda...

- To ty uregulujesz rachunek - nastaw się na to!

\*\*\*

- Nie znajdują go - stwierdził feldfelbel Schulz, zwany Spryciarzem. Nie bardzo przy tym wiedział, czy ma się z tego cieszyć, czy też martwić. - Przekopią prawdopodobnie cały obóz, ale go nie znajdą!

- Czy mogę więc zająć jego łóżko? - usiłował się dowiedzieć stojący obok obergefrajter Schafgott. - Stoi w takim wygodnym miejscu obok drzwi i zawsze jest tam miły przeciąg.

- Twój pomysłuśnik kończy się na najbliższej drzemce - powiedział Schulz, najstarszy stopniem członek zespołu McKellara. - Jak myślisz, co może oznaczać brak Fausta?

- Że muszę być zamiast niego pierwszym piperem - odparł Schafgott prostodusznie - I z tego powodu mam prawo do jego łóżka, choćby i dlatego, że byliśmy dobrymi przyjaciółmi.

Co było prawie zgodne z prawdą. Faust zachowywał się powściągliwie, siedział po kątach, czytał książki, do latryny chodził sam, unikał rozmów. Ale dość często widywano go z Schafgottem. Prawdopodobnie jednak dlatego, że Schafgotta wypytywał. Schafgott był chodzącą gazetą.

Feldfelbel spojrział na niego uważnie i powiedział: - Jeżeli już teraz chcesz mieć jego łóżko, to jesteś widocznie pewien, że Faust więcej nie wróci. A właściwie dlaczego?

- Ja tylko tak - pośpieszył z zapewnieniem obergefrajter - jakby to powiedzieć, zupełnie instynktownie. Myślę, że mu się uda!

- Czyżbyś mu w tym pomagał? To może być niebezpieczne - dla nas wszystkich!

- O niczym nie wiem! - krzyknął Schafgott przerażony. Odsunął się od Schulza i zajął się swoją pracą.

Zostali odkomenderowani przez Kena McKellara do składu z narzędziami, w którym przechowywano instrumenty dęte i bębny zespołu. Skład zamykany był na podwójne zamki. Schafgott masował z zapamiętaniem miech kobzy, a Schulz go obserwował.

Ale nie doszło do dalszej rozmowy. Pojawił się kapitan Müller-Wipper, starannie zamknął za sobą drzwi, stanął przed nimi w postawie. Powiedział: - Godziny waszego stowarzyszenia są policzone!

- Pan o tym decyduje? - zapytał feldfelbel Schulz stosunkowo uprzejmie.

- Również i pana bezczelność się skończy - wyjaśnił Müller-Wipper z przekonaniem. - Nikt już więcej nie usmaży wam dodatkowej kiełbaski! Zamiast tak zwanej szkockiej muzyki będzie znowu stary dobry niemiecki porządek i dyscyplina.

- Niekoniecznie - zauważył Schulz zatroskany. - Każdego można zastąpić - także pierwszego pipera!

- Ale chyba nie tobą frajerze! - kapitan wydawał się rozbawiony. - Niewiele znam się na muzyce, a już na pewno nie na takiej, ale nawet ja wiem jedno: ty, frajerze, grasz na swojej kobzie jak inni na grzebieniu. W porównaniu z tym skowyt Fausta był prawie genialny.

Feldfelbel Schulz odsunął Schafgotta na bok i zbliżył się wyczekująco do kapitana. - Wie pan, jak brzmi to, co pan tu opowiada? Zupełnie jakby się pan o nasz zespół martwił.

- Który bez Fausta jest głównem!

- Czyli mamy pomóc w jego odnalezieniu! O to panu chodzi?

- Tylko bez tego poufalego tonu! - ostrzegł Müller-Wipper.

- Mógłby pan go szybko pożałować! Ale ma pan chwilowo szczęście, Schulz: wy daleko nie zajedziecie bez Fausta, a ja go chcę mieć. W tym punkcie nasze interesy są zbieżne. Cóż za przypadek - dla nas obu! Więc?

- Więc, co?

- Schulz, jeżeli ktoś wie, gdzie jest Faust, to tym kimś jest pan. Lub ktoś z waszego zespołu. Więc na co czekacie, dostarczcie go nam. Zespół wasz będzie wtedy kompletny, a my, powiem panu otwarcie, wyjdziemy z tego cała. Mam na myśli Brytyjczyków.

- A jak nie?

- To koniec z panem i z całym zespołem!

- Jest tam feldfelbel Schulz? - zapytał jasny głos od strony drzwi.

Schulz zameldował się. Sierżant Sid Silvers podszedł do niego.

- Chcę z panem porozmawiać, ale tylko z panem.

- Za pozwoleniem - wmieszał się kapitan Müller-Wipper - ale ja jako adiutant niemieckiego komendanta obozu...

- Jest pan zbyt cenny - stwierdził Silvers przyjaznym tonem. - Jestem zainteresowany wyłącznie feldfeblem Schulzem. Czy mogę więc prosić!

Kapitan oddalił się niechętnie. Obergefrajter Schafgott mógł się również oddalić, lecz miał czekać koło drzwi na odmeldowanie. Silvers skierował swoją uwagę na Schulza.

- Niejaki Faust - powiedział sympatyczny sierżant - należał do pańskiej grupy specjalnej: spał obok pana w tym samym baraku, był prawdopodobnie stosunkowo niedostępny, trochę skomplikowany, a z pewnością bardzo zamknięty w sobie, zdeklarowany

samotnik.

- Skąd pan to wie? - zapytał zdumiony Schulz.

- Niejedno o nim słyszałem i przeczytałem też jego akta - wyjaśnił Sid Silvers życzliwie. - Przecież pan wie, kolego Schulz, że w tym obozie zebrano wszystkich dostępnych łączników, techników i dowódców korpusu afrykańskiego, by ich szczegółowo wypytać. Wyszło z tego mnóstwo akt. I każde z nich było bardziej nijakie od poprzedniego. Ale akta tego Fausta są już naprawdę podejrzanie nijakie.

- Czy pan oczekuje, że je uzupełnię? Nie potrafiłbym przecież - powiedział feldfebel Schulz przekonująco szczerze. - Przebywaliśmy ze sobą cztery miesiące na tak małej przestrzeni, a nie poznałem go przecież ani odrobinę lepiej.

- Tak przewidywałem.

- Nie wiem jak, kiedy i dokąd mógłby uciec.

- Co prawdopodobnie oznacza, że nie interesował się pan tym specjalnie. Lecz właśnie tego powinien pan teraz spróbować!

- Dlaczego?

- Chociażby po to, by zrobić grzeczność McKellarowi. Lub sobie samemu albo kolegom. Niech pan spojrzy! - sierżant Sid Silvers rozpostarł dużą mapę obozu. - A teraz niech pan mi pokaże dokładną drogę, którą przeszedł zespół! Gdzie dokładnie miał pan wrażenie, że Faust przestał być pierwszym piperem? A gdzie zauważył to McKellar, jeżeli to możliwe, też dokładnie?

Drzwi rozwarły się szeroko. Pojawił się major T.S. Turner. Pustynny Mors wrzasnął do Silversa: - A czego pan tu szuka, właśnie pan! Przeszkadza mi pan w moim dochodzeniu, Silvers!

- Uzupełniam je, sir, jeżeli chce pan wiedzieć. Na polecenie pułkownika. Może pan sprawdzić, jeżeli panu na tym zależy.

- Na pana też przyjdzie czas! - zezłościł się major. - Na pana i pańskich wyperfumowanych kompanów! Już ja się o to postaram! Odszedł przeklinając niewyraźnie ale za to głośno. Trzasnęły drzwi.

- To są właśnie normalne tutaj metody, które musimy znosić - powiedział po chwili zadumany Silvers. - Jak długo jeszcze? Pułkownik wysyła kapitana; gdy ten zostaje załatwiony, alarmuje majora, a ten wpada na sierżanta wysłanego przez swojego pułkownika, nie wiedzącego dokładnie, po co. I w ten sposób jeden drugiemu siedzi na karku.

- A pan - mnie!

- Bzdury, Schulz! Przecież wcale panu nie grożę. Mam tylko dla pana propozycję -

powiedzmy na początek butelka whisky na głowę dla całego zespołu. A potem opłacalne zajęcia specjalne w Kairze. Bo powoli zaczynam przeczuwać, że ten Faust jest wiele wart. Można by z nim wiele zdziałać, gdyby się go miało.

- Tutaj - powiedział feldfebel Schulz i stuknął palcem w mapę obozu. - Zbliżaliśmy się powoli do bloku drugiego, gdy zniknął. Blok drugi usytuowany był po lewej stronie z boku. Za nim stały trzy szopy. Jedna z instrumentami muzycznymi, jedna ze zwłokami, a jedna z zapasami i narzędziami, jak piły, siekiery, motyki, grabie i łopaty.

- Zniknął, jakby się pod ziemię zapadł!

- Prześledźmy to jeszcze raz dokładnie - skwitował Sid Silvers lekko podniesiony na duchu. - Punkt po punkcie, miejsce po miejscu, metr po metrze. I spróbujmy przy tym myśleć tak, jakby to robił Faust. Obawiam się, że to nie będzie dla mnie wcale takie trudne.

- Tego ja się właściwie też obawiam - przyznał Schulz.

\*\*\*

- A kim ten człowiek jest? - chciał się tym razem bezzwłocznie dowiedzieć pułkownik von Schwerin-Sommershausen. - Nazwisko Faust nie utkwiło mi dotychczas w pamięci.

Adiutant, kapitan Müller-Wipper, skinął głową trzeciemu mężczyźnie obecnemu w pomieszczeniu, którego ze sobą przyprowadził, dodając mu tym sposobem odwagi. Był to major Alfred Rossberg. Z zawodu historyk, pełniący funkcję oficera sztabowego w korpusie afrykańskim, obecnie tylko jeniec wojenny, lecz nawet jako taki, jak uważał, doceniany i szanowany w tym co miało stanowić o jego specyficznej wartości. Należał do niemieckiego dowództwa obozu.

- Niejaki Faust - wyjaśnił Rossberg - jest zwykłym żołnierzem najniższego stopnia, ale posiada podobno umiejętności techniczne, potrafi obsługiwać czołgi. Nie został jednak za nic odznaczony, nie widać było, by się z kimś przyjaźnił, nie uczestniczył w żadnych zajęciach grupowych.

- Czy ma to oznaczać, że nie jest koleżeński?

- Jak widać nie - w najmniejszym nawet stopniu.

- Ale zawsze - pułkownik dał pod rozwagę - zachował się jak prawdziwy oficer - tylko oni mają w zwyczaju uciekać.

- Co tutaj jednak - szybko uzupełnił kapitan Müller-Wipper - jak to się mówi, na środku pustyni, nie wchodzi praktycznie w rachubę. Udowodnił to już dość dawno jeden z naszych najlepszych oficerów, porucznik Hartmannsweiler - pomimo najstaranniejszych przygotowań i intensywnego wysiłku nie wyszedł poza wewnętrzne ogrodzenie. Rozniosło się

to w całym obozie, więc i Faust musiał o tym wiedzieć. Ale ten nie jest zdolny do niczego więcej niż do stwarzania niepotrzebnych kłopotów!

- Najwyraźniej mamy do czynienia z nienormalnie reagującym człowiekiem - wyjaśnił major Rossberg ochoczo. - Usiłowałem nawiązać z nim rozmowę, ale odmówił. Nie podał mi najprostszych danych. Nie do zdobycia były również opinie jego kolegów o nim. Podobno wychował się w najskromniejszych warunkach, ojciec jego jest robotnikiem w przemyśle metalowym albo czymś w tym stylu; o ile się orientuję, nikt, kto mógłby przysłużyć się państwu. Tu, w obozie, zajmował się majsterkowaniem i czytaniem obcojęzycznych książek, a oprócz tego należał jeszcze do tego szkockiego zespołu rozstrajaczy nerwów.

- Jeżeli o mnie chodzi - krzyknął kapitan - to może on się nawet modlić z Koranem w rękę i bić czołem po trzykroć w stronę Mekki, ale jednego mu nie wolno. Stawiać nas wszystkich w tak drażliwej sytuacji!

- A do tego, Müller, zdaje się doszło - potwierdził pułkownik.

- Proszę mi pozwolić na pewne wyjaśnienie w tej sprawie - zabrał głos major Rossberg ośmielony przez kapitana Müllera. - Myślę, że należy widzieć tę sytuację w szerszym kontekście. Brytyjczycy wywalczyli sobie tutaj w Afryce zwycięstwo nad naszymi rozproszonymi siłami zbrojnymi z najwyższym trudem. I to nie z powodu niezwykłej dzielności czy uzdolnień strategicznych, lecz prawie wyłącznie przez zmasowaną przewagę materialną. Jeszcze dzisiaj i nawet tutaj cierpią z tego powodu.

- Tak właśnie jest! - powiedział kapitan Müller-Wipper. - Brytyjczycy tylko udają luz, ale wewnątrz są niepewni.

- Mogłoby się to w tym wyjątkowym wypadku niestety zgadzać - potwierdził pułkownik w zamyśleniu. - A mówię, niestety, bo sprawa jest nad wyraz drażliwa - i to dla obu stron!

- Czy to przypuszczenie, panie pułkowniku, czy są na to określone dowody?

- Pułkownik Nelson byłby wielce szczęśliwy, gdybyśmy odhaczyli tego Fausta na naszej liście strat - wyjaśnił pułkownik.

- Domagał się tego?

- Może nie dosłownie, ale sugerował coś takiego - pułkownik starał się na nikogo nie patrzeć. - I myślę, że powinniśmy pójść mu na rękę.

- Co proponuje w zamian?

- Ależ panowie - jest to rodzaj porozumienia między dżentelmenami.

- Ci Brytyjczycy spuścili wyraźnie z tonu - Müller ochoczo snuł domysły. - Trzeba to wykorzystać i to w określonym celu. Zapędzimy tę czarną owcę prosto do ich własnej

zagrody!

- Taki pogląd pokrywa się z moimi obserwacjami - zgodził się major Rossberg. - Dokładnie obserwowałem Tunera - zachowywał się idiotycznie. A potem usiłował zrzucić odpowiedzialność na innych, na przykład na sierżanta McKellara, a nawet na naszą komendanturę, nie mówiąc o jego własnym kapralu Coplandzie. Nie opamięta się nawet przed pułkownikiem!

- Kolej więc teraz na nas! - krzyknął kapitan energicznie. - Zażądamy: większej samorządności, wpływu na przydział racji żywnościowych, wzmocnienia niemieckiej policji obozowej, ograniczenia mocy decyzyjnej starszego sierżanta, rozwiązania tej specjalnej formacji muzycznej lub chociaż podporządkowania jej naszej komendanturze. I wszystko musi być pisemnie potwierdzone - a wtedy możemy nawet zafundować pułkownikowi Nelsonowi oficjalne pożegnanie!

- Ależ panowie! - zareagował pułkownik z nieco sztuczną godnością. - Trochę umiaru! Ostatecznie jeszcze nie zapadła żadna decyzja! Jeszcze wszystko jest możliwe - nie wykluczam nawet swoistego cudu.

\*\*\*

- Piękny mamy dzień, sir, nieprawdaż? - sierżant Sid Silvers zagadnął wesoło kapitana Moone'a. - Deszczu nie należy się chyba tutaj spodziewać, jak w naszej starej Anglii!

- Głupieje pan z dnia na dzień, Silvers - zauważył Moone. - Ale to klimat - nie każdemu służy.

- A tak w ogóle, sir, mam nadzieję, że się panu dobrze wiedzie?

- Zwykle tak - lecz niekoniecznie wtedy, kiedy jestem zmuszony zajmować się panem, Silvers.

- Bynajmniej nie mam zamiaru nadmiernie długo cieszyć pana moim widokiem, sir. Czy nasz stary jest w swoim biurze?

- Mówi pan o swoim pułkowniku, Silvers?

- Tak, o naszym pułkowniku, sir.

Z biegiem czasu utrwalił się między nimi ten sposób porozumiewania się, ale tylko wtedy, gdy byli sami. W obecności osób trzecich ograniczali się do krótkich, stosownie brzmiących sformułowań. Ich prywatna poufałość opierała się jednak na świadomości, że w tym obozie oni obaj byli najbliższymi pułkownika Nelsona. Moone załatwiał jego sprawy służbowe, Silvers dbał o jego życie prywatne, co polegało przede wszystkim na dbałości o jego rolls-royca.

- Tym razem - powiedział kapitan - nie uda się panu tak łatwo sprawić radości pańskiemu, naszemu pułkownikowi. Ten Faust zdaje się być twardym orzechem! Nie do strawienia!

Sid Silvers uśmiechał się; jak zwykle usiłował sprawiać wrażenie irytująco niewinne. - Czy to pana poglądy, sir, czy raczej majora Turnera?

- Będę się, Silvers, pilnie wystrzegał przedstawiania akurat panu mojej prywatnej oceny tej sytuacji. Ale major Turner zna już kilku winnych - wymienił ich nawet pisemnie. Żąda zwiększonego zabezpieczenia, ograniczenia wszystkich podejrzanych przywilejów jeńców wojennych i wprowadzenia wreszcie i w tym obozie systemu klatek.

- I coś takiego robi na panu wrażenie?

- Nie jest to mało, moim przynajmniej zdaniem.

- Pana zdaniem - sierżant skinął głową w stronę kapitana.

Po czym skierował się w stronę drzwi, na których widniało nazwisko pułkownika. Trzykrotnie zapukał. W umówiony sposób. Równocześnie mrugnął po przyjacielsku i uspokajająco do Moone'a. Potem otworzył drzwi i wszedł.

Silvers zobaczył pułkownika siedzącego za biurkiem. Najwyraźniej zatopionego w myślach. Nie całkiem obecny skinął głową sierżantowi. A ten, nieproszony, najnaturalniej w świecie usiadł na krześle przeznaczonym dla interesantów.

- Sir - powiedział ostrożnie - mam pewien problem z rolls-roycem.

Pułkownik Nelson spojrzał na niego zaniepokojony.

- Jak to możliwe? - zapytał.

- Zegarek za głośno tyka, sir, nawet jak silnik jest włączony.

- Czyli trzeba ten zegarek po prostu wyłączyć - rozstrzygnął spontanicznie pułkownik.

- To rzeczywiście jest wyjście, sir - odparł Silvers. - To, co przeszkadza należy usuwać. Takie to oczywiste. Podstawowa zasada.

- Silvers, co myślicie o tej dość drażliwej sytuacji? - pułkownik zażądał odpowiedzi.

Sid Silvers pochodził z Manchesteru; jego ojciec pracował w fabryce bawełny. - Sir - odparł rozsiadłszy się wygodnie - ma pan wyraźne upodobanie do wielkoduszności, czym może się pan szczycić, co jednak w pewnych okolicznościach, jak te tutaj, może być błędem.

- Pan mnie nie docenia, Sid - powiedział pułkownik w tonie szczerzej serdeczności. - W każdym razie w stosunku do tych Niemców.

Sid Silvers przytaknął. Jego nieprawdopodobna wszechstronność nigdy jeszcze nie zawiodła. Do tego stopnia, że dla jednych był niezwykle pociągający, a dla wszystkich innych lekko podejrzany. Na co nic nie mógł poradzić, a co bez wahania wykorzystywał. Dlatego nie

usunął ręki, gdy pułkownik w pełni zaufania, położył na niej swoją dłoń.

- Zdaje się, Sid, że do mojej zawsze tak wzorowej organizacji wkradły się pewne błędy. Ale jakie?

- Bierze pan na siebie, sir, o ile mogę mówić szczerze i w upraszczający sposób, wszelką odpowiedzialność, i to w końcu bez potrzeby. Robi to co prawda dobre wrażenie, ale może być piekielnie niepraktyczne. Niecelowe!

- Co mi pan tym razem podszeptuje, Silvers? - pułkownik usiłował wyglądać na rozbawionego.

- Podstawowa organizacja tego obozu, sir, nie jest najgorsza. Operuje się nią jednak zbyt centralnie, zbyt ociężale. Co oznacza, że pan zwała sobie na barki zbyt duży ciężar.

- Silvers, ma pan ogromną fantazję! - pułkownik był pod wrażeniem. - Ale co można z tym dalej praktycznie począć, w tym konkretnym wypadku? Proszę nie zapominać, że ten obóz był przeze mnie od samego początku pomyślany jako wzór. Do pokazania w każdej chwili! Każdemu!

- Nikt też nie chce panu w tym przeszkadzać, sir!

- A ten Faust?

- Nawet ten nie - pan musi się jedynie zabezpieczyć.

- Ale jak, Sid, pana zdaniem?

- Jest to dość proste, sir. Ma pan pod swoją władzą co najmniej trzech ludzi, którzy z ochotą zdjąliby z pana wszelką odpowiedzialność. I są do tego przygotowani. Po pierwsze Turner - chce sam i z przekonaniem dbać o bezpieczeństwo; proszę mu na to pozwolić. Po drugie Ken McKellar - jego nadopiekuńczość w stosunku do Niemców jest bezgraniczna. Niech pan to wykorzysta! A kapitan Moone jest aż nadto gotów koordynować te wysiłki - i niech to robi!

- Spodziewa się pan, Sid, że podzielę się moją odpowiedzialnością?

- Właśnie, sir, co najmniej trzykrotnie!

Pułkownik Nelson zapadł się głęboko w fotel. Obserwował stamtąd swojego Sida Silversa z uznaniem znawcy. - A co będzie Sid, gdy komuś rzeczywiście uda się zwiąć, chociażby takiemu Faustowi?

- Wtedy, sir, musi pan unikać brania na siebie wyłącznej odpowiedzialności za to wszystko. W obozie koło Aleksandrii generał Forester wprowadził coś w rodzaju systemu spisowego. Zgodnie z nim jeńcy przekazywani są pisemnie z rąk do rąk - z brytyjskiej komendantury oficerowi bezpieczeństwa, a dalej niemieckiej komendanturze obozu i szefom poszczególnych oddziałów. I tak dalej. W takim systemie automatycznie każdy jest za kogoś

odpowiedzialny. Tylko jedna osoba jest, jakby to powiedzieć, ponad tym wszystkim: brytyjski komendant obozu!

- Ma pan jeszcze jakieś pomysły w związku z tą sytuacją, Sid?

- Całą masę, sir! Ostatecznie opiekuję się pana rolls-roycem. I dla niego jestem gotów ponieść nawet duchowe niewygody. I przy tej sposobności, sir, pozwalam sobie po raz kolejny zwrócić panu uwagę, że tutaj, w tym obozie, marnuje się wiele cennej siły roboczej. Można wykorzystać wielu specjalistów!

- Silvers, mój drogi, niech mi pan znowu z tym nie wyskakuje! - pułkownik spojrzał na swojego bliskiego zaufanego z łagodną przyganą. - Myślę, że przejrzałem pana w pełni. Chce pan rozwinąć skrzydła - pewnie aż do Kairu!

- Znam się trochę na tamtejszych stosunkach, sir. Oni tam koniecznie potrzebują fachowców każdego rodzaju - szczególnie rzemieślników, elektryków, instalatorów i tym podobnych specjalistów. A takich mamy wystarczająco wielu w tym obozie. Moglibyśmy nacieszyć nimi wiele punktów usługowych i urzędów w Kairze!

- Silvers, czyżby pan usiłował i ze mną robić swoje interesy?

- Panu dostarczam wszystko co mam do zaproponowania, gratis, sir. Odkryłem ponadto, że nie lubi pan być obdarowywany, to znaczy, że lubi pan wiedzieć, czym można się zrewanżować.

- Jedno wiem z całą pewnością, Silvers - nie podetnie pan gałęzi na której pan siedzi.

- Zgadza się, sir - potwierdził uprzejmie sierżant.

- Nie zawahałby się pan też chyba nigdy, Silvers, skorzystać z nadarzającej się okazji?

- Zgadza się, sir. Tylko, że korzyść jednego nie musi od razu oznaczać straty dla drugiego.

- No dobrze, Silvers - zna pan w każdym razie mój obecny problem. Nazywa się Faust. I zdaje się, że nikt go tutaj nie może rozwiązać. A czy pan może?

- Jeżeli powstanie z tego pierwszy elitarny oddział specjalny, sir, pod moimi rozkazami w Kairze...

- Zgoda, Silvers. Pod warunkiem, że rzeczywiście rozwiąże mi pan problem.

- Zwiększy to naturalnie moje poczucie obowiązku, sir - Silvers mówił poważnie - swoje duże poczucie humoru demonstrował rzadko. - Jestem dobrej myśli. Zająłem się już tym Faustem. I myślę, że znalazłem coś godnego uwagi. Ten facet myśli podobnie jak ja. Jednego jestem więc pewien: potrafię myśleć jak on!

- Tylko bez lekkomyślnych posunięć, Silvers - ostrzegł pułkownik Nelson. - Nie mogę sobie na nie teraz pozwolić.

- Ja również - zapewnił poważnie sierżant Sid Silvers. - Zbyt wiele już zainwestowałem w tę sprawę. Może pan wkroczyć do akcji, sir.

\*\*\*

- Najwyraźniej nie pozostaje mi nic innego, jak wkroczyć w to osobiście - oznajmił pułkownik Nelson swojemu adiutantowi niecałe pół godziny później. - Ostatecznie ktoś tu musi zacząć działać - chociaż nie należy to do moich obowiązków! Cóż jednak mam począć, gdy wszyscy zawiedli.

Kapitan obserwował swojego pułkownika z wesołą, jednak pełną szacunku ciekawością. W tle bowiem dostrzegł Silvers, który zaprezentował wiele obiecujący uśmiech. - Czy wolno mi zapytać, co pan zamierza, sir?

- Zobacz pan, Moone!

Pułkownik Nelson demonstrował teraz zupełnie niezwykle przedstawienie. Stał sobie zupełnie zwyczajnie na zadaszonym tarasie przed budynkiem komendantury. Stał sobie po prostu i zdawał się wpatrywać w nieskończoność pustyni w nieruchomym oczekiwaniu. Owiany był tajemnicą. Było to zamierzone i celowo stwarzało pewien niepokój. Nelson szybko spojrzął na Silvers, on odpowiedział mu również dodającym otuchy spojrzeniem. Mijały długie minuty. Szybko rozeszło się w obozie, że pułkownik prezentuje się zupełnie inaczej. Efekt był piorunujący.

Zaraz potem w okolicy wewnętrznej bramy obozu pojawił się również kapitan Müller-Wipper z majorem Rossbergiem. Obaj postarali się, by został powiadomiony pułkownik von Schwerin. I on więc pojawił się wkrótce, ale zrobił to tak, jakby udawał się jedynie na spacer.

Brytyjskich wartowników - było już ich czterech - zmobilizowała wyraźnie obecność pułkownika, bo trzymali się ściśle przepisów. Sprawdzali każdego przechodzącego jeńca aż do gołej skóry. Obmacywali, opróżniali kieszenie, kazali zdejmować koszulę.

- Co to ma znaczyć! - warknął Ken McKellar, który również się zjawił.

- Rozkaz majora Turnera - padła lapidarna odpowiedź.

Na ostatku nadbiegł sam major Turner, za nim podążało z zachowaniem wynikającego z szacunku dystansu jego dwóch praktykantów, Miller i Mills. - Sir - zameldował się zdyszany u pułkownika - sytuacja bez zmian!

- Co oznacza majorze, że nie macie mi nic pozytywnego do zreferowania.

- Zarówno nic pozytywnego jak i nic negatywnego, sir.

- Więc nic, zupełnie nic! - I po przeciągłym, zasepionym spojrzeniu: - Nigdy nie sądziłem, Turner, że przyjdzie mi wykonywać pańską robotę.

- Sir! - sapnął obrażony i odetchnął głęboko.

- Niechże pan chociaż wykona swoje rutynowe czynności, majorze, nie chcę panu w tym przeszkadzać.

T.S. Turner cofnął się czerwony jak burak, kiwnął na Millera i Millsa i szybko pogonił ich w dwóch różnych kierunkach. Po czym przed oczyma pułkownika przystąpił do ogólnie przyjętych ćwiczeń obozowych. Przywołał do siebie pojedynczo wartowników bramy wewnętrznej, zadał im rutynowe pytania, sprawdził mundury, wymruczał trochę pochwał i uwag krytycznych. Zainteresował się czystością paznokci, sznurówkami butów, stopniem ogolenia.

- Przepuścić! - krzyknął niechętnie, gdy pojawiło się dwóch jeńców odkomenderowanych do sprzątnięcia oddziału szpitalnego. - Może myślicie, że chcą przetransportować półwiotłowanego Fausta do brytyjskiej części obozu?

Do stojącego obok McKellara powiedział ostro: - Może by pan przestał się szczerzyć, sierżancie! Nie ma najmniejszego powodu ku temu - pan nie ma go w szczególności!

Tymczasem pułkownik przyglądał się niebu. Patrzył na stalowy błękit, który rozciągał się nad bezkresnym horyzontem. Spojrzał potem na zegarek, po czym na Silvera. A ten kiwnął lekko głową, swoją starannie ufryzowaną głową, w kierunku wewnętrznej bramy.

Tam właśnie pojawił się osioł, a obok niego człapał z mechanicznym spokojem starszy jeńiec. Osioł ciągnął dwukołowy wózek, na wózku znajdowały się trzy ściśle do siebie przylegające podłużne kształty: trumny.

Ten przewoźnik trumien był postacią ogólnie znaną w obozie, lecz nigdy mile widzianą. Był to niejaki Jabłoński, imieniem Josef. Josef, chociaż tuż po pięćdziesiątce, sprawiał wrażenie szacownego starca - a to dzięki swojej brodzie. Jako jedyny w obozie miał przywilej zachowania swojego zarostu. Josef Jabłoński cieszył się szczególnymi względami pułkownika Nelsona. Założył mu bowiem tuż pod oknami jego służbowego pokoju coś w rodzaju ogrodu. Nawoził go odpadami z brytyjskiej kuchni obozowej, nawadniał skonstruowaną do tego celu instalacją i pielęgnował dwie palmy, cztery krzaki gladioli, dekoracyjną plataninę niebieskiego jak noc tropikalna powoju.

Jabłoński pozdrowił pułkownika z oddali. I podążył dalej za swoim osłem. W tym obozie był nie tylko ogrodnikiem pułkownika, lecz również stolarzem robiącym trumny, przewoźnikiem zwłok, i grabarzem. A jego osioł był oślicą - jasnoszarą istotą o ogromnej i pełnej oddania cierpliwości. Josef nazwał ją na swoją cześć Josefa.

Mieszkał ze swoją Josefą, trumnami i kolejnymi zwłokami w budynku przypominającym stajnię - w składziku numer dwa w lewym końcu niemieckiej części obozu.

Tam właśnie miał zwyczaj wiele razy dziennie i zawsze głośno modlić się oraz śpiewać kościelne pieśni. Nikt mu w tym nie przeszkadzał. Jego cmentarz znajdował się poza obozem.

- Ten sam ładunek, co zwykle, mister.

Jeden z brytyjskich strażników otworzył szeroko bramę. Nawet Turner odsunął się na bok, a jego postawa sugerowała szacunek - przywiązywał znaczenie do takich demonstracji brytyjskiej przyzwoitości, przynajmniej w obecności pułkownika, chociaż ten zdawał się gapić nieprzerwanie w powietrze.

Tego dnia Josefa ciągnęła na wózku trzy trumny. Dość niecodzienna liczba spowodowana ostrą, duszącą, dwudniową burzą piaskową. Jeden z przewożonych zmarłych zmarł na atak serca, jeden na udar słoneczny, a trzeci sam się zabił wykorzystując do tego celu kawałek liny. Stwierdził to lekarz niemiecki, a brytyjski potwierdził. Były na to dokumenty.

- Zatrzymać się! - zawołał pułkownik.

- Stój spokojnie, Josefa - powiedział Jabłoński do swojej oślicy. Co też ona bezzwłocznie uczyniła. Nawet Josefa przyzwyczała się całkowicie do niemieckich rozkazów i brytyjskiej organizacji.

Pułkownik przywołał do siebie energicznym ruchem ręki dwóch strażników, którzy też pospieszyli najgorliwiej jak tylko mogli.

- Otworzyć pierwszą trumnę! - rozkazał.

Żołnierze zwlekali patrząc po sobie bezmiernie zdumieni. Tę chwilę wykorzystał ochoczo kapitan Moone. Szepcząc nagle zwrócił pułkownikowi uwagę: - Sir, coś takiego może być źle zrozumiane!

Także major Turner nadbiegł ponownie i zakłopotany dodał:

- Sir, zapewniam pana, że nie należę do ludzi szczególnie pobożnych, z całą pewnością nie, ale śmierć tych ludzi została przecież potwierdzona przez lekarza, a więc oficjalnie. Duchowny pożegnał ich ostatnią modlitwą, zanim ostatecznie zamknięto trumny. Ci zmarli, których przecież sprawdziłem należy tylko pochować. I to winniśmy im zapewnić - jeżeli nie chcemy tu niepotrzebnie napsuć krwi!

Cmentarz znajdował się poza obozem, lecz blisko zasieków. Zważywszy sytuację wyglądał niemal majestatycznie. Na kamiennych grobach umieszczono kamienne krzyże. Można go było rozszerzyć. Utrzymany był przy tym w idealnych warunkach sanitarnych. Zgodnie z zarządzeniem należało chować zmarłych na głębokość co najmniej półtora metra. Za to odpowiadał niezawodny Jabłoński.

- Otworzyć pierwszą trumnę! - rozkazał pułkownik nieporuszony.

Tak też się stało. Strażnicy rozpoczęli gorliwą pracę nie odkładając swoich karabinów. Musieli odkręcić jedynie dwie śruby, by podnieść pokrywę trumny.

Oczom wszystkich ukazał się sinożółty, intensywnie pachnący zmarły.

- Tylko zwłoki, sir - zameldował jeden z żołnierzy.

- To otwórzcie drugą trumnę! - zarządził pułkownik.

- Sir - dał do zrozumienia tuż za Nelsonem stojący kapitan - w pewnych okolicznościach można by było to potraktować jako profanację zwłok!

Major również skomentował: - Nie twierdzę, że ci Niemcy zasłużyli sobie na jakieś szczególne względy, sir, na pewno nie. Ale ostatecznie reprezentujemy tu Królestwo i nawet te gnoje powinny to poczuć. W momencie, gdy ja już osobiście sprawdziłem te zwłoki, ponowna kontrola może być zrozumiana bezpośrednio jako nieufność w stosunku do moich poczynań, sir.

- Znowu to samo, sir - stwierdził rzeczowo jeden z żołnierzy. - Tylko zwłoki.

Drugi trup był niebieskawoblady, już dotknięty rozkładem, ale można go było jeszcze rozpoznać. Zwłoki pozostawały tu dość długo w dobrym stanie. Z powodu suszy. Jednak zgodnie z rozkazem wszystko, co tutaj oficjalnie zmarło, musiało być pochowane w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

Josefowi Jabłońskiemu zostało to oświadczone w sposób obowiązujący, czyli na piśmie. I nawet Josefa zdawała się o tym wiedzieć - popatrzyła na pułkownika swoimi umęczonymi, poczciwymi oczami i wypuściła z siebie mlecznożółty płyn na pustynny piasek. Był to jej komentarz.

- Mogę pana jedynie ostrzec, sir! - wyszeptał kapitan Moone. - Tylko nie tą trzecią trumnę!

A major Turner dodał: - Kontrole są zawsze dobre, sir, tylko nie należy z nimi przesadzać. Zbyt łatwo można się przy tym ośmieszyć. Z całym respektem, sir...

Gładka, leciutko opalona twarz pułkownika Nelsona była lekko zaczerwieniona i pokryta cienką warstwą potu.

- No to chcemy obejrzeć sobie jeszcze trzecią trumnę - zarządził. I stało się. Nie od razu, lecz po krótkiej zwłoce dwóch żołnierzy zaczęło odkręcać przednie i tylne śruby. Potem unieśli pokrywę.

Ukazała się postać, która leżała ze skrzyżowanymi rękami na warstwie słomy. Po chwili zaczęła mrugać oczyma pod wpływem oślepiającego słońca. Podniosła się, rozejrzała się dookoła i uśmiechnęła się.

Postać ta wyszła z trumny, rozprostowała nogi i wykonała kilka przysiadów. Po czym

stanęła nieruchomo, uśmiechając się nieprzerwanie w stronę pułkownika.

- A kogo my tu mamy? - krzyknął Nelson uszczęśliwiony.

Miał Fausta.

\*\*\*

- A teraz niech pan opowiada - zażądał dość przyjaźnie od stojącego przed nim jeńca wojennego Fausta. - Lecz proszę niczego nie pominąć!

- Nazywam się Faust - powiedział zapytany nie mniej przyjaźnie. - Mam stopień grenadiera. Moja jednostka miała numer poczty polowej 17 307. Numeru mojej dawnej blaszki rozpoznawczej nie znam na pamięć. Tutaj oznaczony jednak zostałem jako BW - co pewnie oznacza Bliski Wschód - z numerem 172 211.

- Niech pan tutaj komedii nie odstawia! - major Turner ostro doprowadził go do porządku. - Niech pan nawet nie próbuje brać nas za głupców!

- Panie majorze, jest to ogólnie przyjęte. Zgodnie z konwencją genewską jeńiec wojenny jest zobowiązany do podania swojego nazwiska, stopnia wojskowego i swojego numeru rozpoznawczego. A poza tym do niczego więcej - Faust rozejrzał się uśmiechnięty dookoła.

I zobaczył w pokoju służbowym brytyjskiego komendanta obozu: po pierwsze pułkownika Nelsona, potem majora Turnera, wreszcie kapitana Moone'a - dopiero chwilę potem także sierżanta Silversa. Wszyscy, może z wyjątkiem Silversa, obserwowali go z zaciekawieniem.

Najwyraźniej mamy do czynienia z kawalarzem - powiedział kapitan Moone. - Ale nie musi nim być do końca.

- Proszę mi dać tego nad wyraz komicznego typka na małą godzinę - zażądał major Turner. - Już ja się postaram, żeby w tym czasie zaśpiewał!

- Nie będzie to chyba konieczne - odparł pułkownik z naganą w głosie. - Wiele wskazuje na to, że nasz przyjaciel Faust dysponuje pewnym rozumem. Dlaczego właśnie teraz miałby go nie użyć? A więc?

- Faust, grenadier, 17 307 w niemieckiej jednostce, BW 172 211 w tym zakładzie - odrzekł Faust.

- Nie lubi publiczności - stwierdził sierżant Silvers. - Myślę, że powinniśmy go jej pozbawić, jeżeli chcemy się posunąć o krok dalej.

Pułkownik zgodził się. Powoli podniósł lewą rękę i kiwnął nią do Turnera i Moone'a. Zrozumieli i oddalili się bez zapalu, lecz posłusznie.

Z chwilą, gdy major i kapitan opuścili pokój, Faust w niezmiennie przyjazny sposób zapytał: - I co teraz?

- Teraz - z uśmiechem zapewnił pułkownik - jesteśmy wśród swoich.

Faust spojrział na Silversa: - I on jest z nami?

Nelson wskazał na wolne krzesło przed swoim biurkiem. Faust usiadł.

- Sierżant Silvers opiekuje się moim rolls-roycem, ale i w innych sprawach mam do niego zaufanie. Samo to wynikło.

Faust uważnie przypatrzył się sierżantowi. I zapytał: - To pan mnie wytropił?

- Tak - odparł sierżant przyjaźnie.

- A jak?

- Wystarczyło, że wyobraziłem sobie, że jestem panem. Sprawdziło się. Prawdopodobnie pracujemy na tej samej długości fali.

- To bardzo źle - dla mnie - Faust oglądał Silversa jak atrakcyjny towar na wystawie sklepowej. - Chyba się nie mylę, sądząc, że nie musi być tak stale?

- Nie musi, ale może - Sid Silvers mrugnął. - To zależy.

- Od czego?

- Prawdopodobnie zaraz się pan dowie.

Silvers przyciągnął jeszcze jedno krzesło i usiadł obok Fausta. Powolnym ruchem wyłowił z kieszeni swojego munduru etui, otworzył je i zaproponował Faustowi papierosy.

- Niech pan się spokojnie częstuje, proszę wziąć nawet dwa, jeśli pan chce - powiedział sierżant. - Posiadam przywilej palenia w obecności pułkownika bez obowiązku proszenia o pozwolenie. Lecz jest to zupełnie prywatny przywilej, nie korzystam z niego w obecności innych Brytyjczyków.

- To chętnie się przyłączę - Faust wyjął papierosa ze złotego etui. Tylko jednego. Zapalił go, zaciągnął się ze smakiem i głęboko jego aromatem i wypuścił dym. Przyglądał się przy tym uważnie pułkownikowi i zapytał: - Czego pan ode mnie oczekuje?

- Szczerości, Faust - o ile jest to możliwe.

- Może pan ją mieć, pułkowniku. Lecz niech pan się po niej zbyt wiele nie spodziewa.

- I ode mnie może pan oczekiwać szczerości, ale i po niej niech się pan wiele nie spodziewa - Nelson powiedział to prawie łagodnym głosem odchylając się na oparcie fotela, by móc wygodniej obserwować gościa. - Wyjdźmy od niezaprzeczalnego faktu, że podjął pan próbę ucieczki. I była to nawet już trzecia pana próba.

- Moja piąta, sir - dwóch nie rozgłoszono w obozie. Były właściwie bez znaczenia.

- Ale ta się liczy. Zostałem z nią niejako osobiście skonfrontowany. Więc muszę

odpowiednio zareagować. Pan to rozumie?

- Liczę się z tym - oświadczył Faust, jak gdyby mówił o czymś oczywistym - myślę, że to będzie paka z zaostrzoną kontrolą i zmniejszoną racją żywnościową. Dwa czy trzy tygodnie? A może nawet cztery?

- Powiedzmy, dwa tygodnie - rozstrzygnął pułkownik uprzejmie. Był przekonany, że może sobie pozwolić na tego rodzaju wielkoduszność, ponieważ ta partia została rozegrana jak najbardziej po jego myśli. Ostatecznie to on osobiście przed całym obozem wytropił tego Fausta. - Przy tym jednak ważne są dla mnie pewne informacje.

- Jakie na przykład?

- Czy ma pan zamiar nadal uciekać?

- Tak - odpowiedział skromnie Faust.

- A dlaczego?

- Z wielu bardzo różnych powodów i z jednego całkiem specjalnego.

Nelson jeszcze bardziej odchylił się w fotelu, wsunął się w niego głębiej, złożył ręce i popatrzył na Silversa. Ten natomiast patrzył prawie z zadowoleniem wprost przed siebie. Podniesiony nieco na duchu pułkownik zajął się ponownie Faustem.

- Czy skarży się pan na traktowanie w tym obozie?

- Prawie wcale - odparł żołnierz Faust uprzejmie. - To nie na tym polega. Jeżeli pan chce, może mieć to pan na piśmie.

- I co jeszcze, Faust? - zapytał teraz Silvers z rosnącą ciekawością. - Jak by to na przykład było z pismem pełnym uznania, które by zmierzało mniej więcej w takim kierunku: brytyjskiej komendanturze udało się dokonać możliwie najlepszego wyboru niemieckiej komendantury obozu?

- Zdaje się, że rzeczywiście pracuje pan na tej długości fali co ja - zauważył Faust. - Więc będzie najlepiej, bo dla mnie najbezpieczniej, gdy się po prostu wyłączę.

- Powoli, Faust - zachęcił Silvers. - Niech pan na razie jeszcze pozostanie przy odbiorze.

- Co mi pan chce wmówić, Silvers?

- Być może jedynie to, Faust, że pańskie stałe próby ucieczki zakłócają określony porządek, po tej i po tamtej stronie bramy wewnętrznej. Ale pan nie tylko się z tym nie liczy, panu to po prostu wisi. Mam rację?

- Załóżmy, Silvers, że ma pan przed sobą rodzaj kreta, który musi nieprzerwanie grzebać w ziemi - nie potrafi inaczej.

Spoglądali przy tym na siebie mocno i z wyczekiwaniem. Pułkownik miał przy tym

wrażenie, że ma do czynienia z obwąchującymi się psami, prawdopodobnie myśliwskimi psami. Nie wiadomo jeszcze było, czy pogodzą się machając ogonami, czy też warcząc rzucają się na siebie.

Silvers zapytał: - A co się stanie, jeżeli mnie to prywatnie nic nie obchodzi?

- Czy ma to oznaczać, Silvers, że pan osobiście będzie mi przeszkadzał w uprawianiu mojego ucieczkowego sportu?

- Tego jeszcze nie wiem, Faust - ale to możliwe. I to nie dla jakichś zasad czy dlatego, że jest pan mi niesympatyczny, bo pan nie jest. Ale całkiem możliwe, że będzie pan dla mnie lokatą kapitału i to powinien pan wziąć pod uwagę.

Pułkownik obserwował swojego sierżanta i niemieckiego jeńca z rosnącym zdumieniem. Odezwał się prawie energicznie:

- Mówił pan o powodach swoich uciezek i o jednym specjalnym. Jaki to jest powód?

- Muszę jak najszybciej wrócić do Niemiec.

- A co pan tam zamierza?

- Zamordować kogoś, sir.

\*\*\*

- Istnienie tego Fausta, którego już spisaliśmy na straty - oświadczył kapitan Müller-Wipper - zaczyna bardzo zagrażać naszej społeczności.

- Ależ dlaczego? - zapytał pułkownik Henning von Schwerin-Sommershausen. - Wydaje mi się, że ten człowiek został unieruchomiony na co najmniej dwa tygodnie.

- Nawet gdyby Brytyjczycy nie wpakowali go do kicia, to kimże on jest? Nic nie znaczący człowiek niskiej rangi. Mały pieniacz - tak uważał podpułkownik Merker, który funkcjonował jako przedstawiciel niemieckiego komendanta obozu. Na razie jeszcze wyraźnie solidaryzował się z pułkownikiem von Schwerin. - Daliśmy sobie przecież radę nie z takimi problemami!

- Gdyby mnie ktoś pytał - wtrącił się jak zwykle nie pytany major Rossberg - to mogę jedynie potwierdzić, że kapitan Müller-Wipper ma niestety słuszne podejrzania. Fakt, że pułkownikowi udało się wykryć Fausta, dostarcza brytyjskiej komendanturze mile przez nią widzianego pretekstu, aby nas na różnorodne sposoby szykanować.

Odbyło się „nadzwyczajne” omówienie sytuacji w obozie. Kapitan Müller-Wipper, adiutant pułkownika, określił je jako nadzwyczaj konieczne. Przyprowadził na nie swojego najniezawodniejszego satelitę - majora Rossberga, który potrafił wyjaśnić wszystko, co zdawało się jakichkolwiek wyjaśnień wymagać. Ale liczył też na to, że podpułkownik Merker

weźmie ich stronę.

Chociaż bowiem na dobrą sprawę Merker nie rozumiał prawie nic z tego, co się tu rzeczywiście działo, Müller liczył na jego nieprzepartą żądzę zaszczytów. Podpułkownik mógł przecież zostać niemieckim komendantem obozu. I wiedział o tym. A Müller wiedział, że on wie.

- Zalecam w tym wypadku najwyższą ostrożność! pułkownik von Schwerin podniósł ostrzegawczo prawą rękę z wysuniętym palcem wskazującym. - Brytyjczycy są ostatecznie obecnymi zwycięzcami. I jako tacy mogą nam narzucać swoje specyficzne reguły gry.

- Mogę się do tego jedynie przyłączyć - zapewnił skwapliwie podpułkownik Merker. Po czym dodał szybko zerknąwszy na Müllera: - O ile nie zdarzą się rzeczy wymagające rewizji takiego poglądu.

- Z takim wypadkiem mamy właśnie do czynienia - kapitan sprawiał wrażenie osoby pewnej i zdecydowanej, chociaż nie nieostrożnej. - A co z dziwną i znaczącą reakcją kapitana Moone'a. Bezustannie odmawia jakiegokolwiek kontaktu!?

- Możliwe, że pan Moone jest szalenie zajęty lub też nie ma panu w tym momencie nic do powiedzenia - stwierdził pułkownik uspokajająco.

- Jednocześnie - zapewniał z uporem Müller-Wipper - zauważalna jest wzmożona aktywność majora Turnera. Nie tylko zaostrza swoje środki bezpieczeństwa, ale posuwa się do tego, by żądać od nas dokładnego sprawozdania. I to o próbie ucieczki tego Fausta. Ale Fausta nie zamierza nam oddać do dyspozycji!

- Proszę jednak zrobić, co w pana mocy, Müller - pułkownik okazał lekką niechęć. - Takie sprawozdanie nie jest niczym więcej niż rutynowym postępowaniem. Uważam, że powinniśmy wyświadczyć Brytyjczykom tę grzeczność.

- Ale to nie wszystko, panie pułkowniku - ciągnął Müller-Wipper. - Nawet McKellar, z którym można było do tej pory jakoś wytrzymać, zaczyna mieć ambicje dyktatora. Nie pozwala przesłuchać swojego zespołu, tych muzyków z Bożej łaski naszym organom bezpieczeństwa, a nawet mnie. Nie dopuszcza również do przesłuchania Josefa Jabłońskiego, który musiał w jakiś sposób brać udział w tym przedsięwzięciu.

- Dosyć, dosyć! - przerwał pułkownik z niechęcią. - Po co to dalej rozdmuchiwać! Pułkownik polecił mi przekazać, że ta sprawa jest załatwiona.

- Dla niego może tak. Ale nie dla nas! Na przykład ten McKellar nie daje nam teraz wyżywienia ryczałtem, a wręcz zaczyna nadzorować jego rozdział!

- Müller, przecież kontrole tego rodzaju nie mogą nam w żaden sposób zaszkodzić! - krzyknął pułkownik.

- Ale powodują nadmierną nieufność! - Kapitan Müller-Wipper wyglądał na oburzonego. - Podważają podstawy naszej z takim trudem wywalczonej samorządności. I to wszystko z powodu jakiegoś Fausta!

- To zastanawiające - ostrożnie zauważył podpułkownik Merker. - Jednak może to być tylko mylne wrażenie, panie Müller - a może i nie?

- Niestety nie, panie pułkowniku, wnioskując z wystąpienia pewnego sierżanta, niejakiego Silversa - zapewnił kapitan z przekonaniem. - To, co Silvers nam zaprezentował, notabene zaufany pułkownika Nelsona, nie pozostawia żadnych wątpliwości. On już ze mną nie rozmawia, on stawia jedynie żądania!

- Gdyby mnie ktoś pytał, uważam, że to niepokojące - wypowiedział się major Rossberg nie pytany.

- Co z tym sierżantem? - zapytał pułkownik.

- Pojawił się tutaj przed kilkoma godzinami i zupełnie bez żenady polecił mi stworzenie oddziału specjalnego, osobiście dla niego. Na początek dwa tuziny ludzi. Zależy mu na profesjonalnych, wypróbowanych i wszechstronnie przydatnych rzemieślnikach.

- Toż to jawna bezczelność! - zauważył podpułkownik Merker.

- A może nie?

- Do tej pory nie zdarzyło nam się nic takiego - przyznał pułkownik. - Jak myślicie panowie, o co temu facetowi chodzi?

- Upatrzył sobie naszych fachowców, których zebraliśmy dla niemieckiej komendantury - zapewniają nam światło, wodę, urządzenia sanitarne, naprawy wszystkich budynków i inne dogodności. I akurat tych niezbędnych dla nas ludzi Silvers usiłuje zagarnąć dla siebie.

- Oczywiście nie wydał pan ich jemu - domyślił się pełen ufności podpułkownik.

- To by się równało sabotażowi - wytypowałem jedynie jakąś tam niewykwalifikowaną siłę roboczą - zapewnił Müller-Wipper. - Zwłaszcza, że nie znoszę takich aroganckich typów jak Silvers - na ich widok zbiera mi się na wymioty!

- Przy czym podejrzewa się, że Silvers nieprzypadkowo cieszy się, powiedzmy, życzliwością pułkownika Nelsona. Możemy to uznać za dość typową brytyjską słabość, o której jednak w żadnym wypadku nie wolno nam zapominać - major Rossberg i tutaj był w swoim historyczno-naukowym żywiole. - Ci ludzie i to wcale nie od czasów Oskara Wilde'a są na to bardzo podatni.

- Dość! - krzyknął pułkownik von Schwerin. - Sądzę, że to nie powinno nas nic a nic obchodzić!

- Ja także uważam - zapewnił podpułkownik Merker, jego echo - że nie powinniśmy lekkomyślnie rozdmuchiwać tej sprawy. Bo i wśród naszych ludzi najprawdopodobniej, podkreślam najprawdopodobniej, doszło do stosunków i praktyk homoseksualnych. W pojedynczych wypadkach. I to raczej z konieczności uwarunkowanej sytuacją. Stan, za który swoją drogą można obciążyć Brytyjczyków, jako ponoszących odpowiedzialność za powstałą sytuację.

- Zostawmy to, proszę! - powiedział pułkownik. - Posunęlibyśmy się za daleko! Winniśmy się skoncentrować na tym, co może rzeczywiście prowadzić do konkretnych rozwiązań, jak na przykład Da poglądach pułkownika. Zostałem zaproszony do niego dzisiaj wieczorem.

- Czy to oznacza, że kazał się panu stawić? - zapytał kapitan.

- Skądże, Müller. Raczej poprosił mnie o prywatną rozmowę w cztery oczy.

- W takim wypadku - włączył się bezzwłocznie major Rossberg - należy ze szczególnym naciskiem zwrócić uwagę na osobliwą mentalność Brytyjczyków. Chociażby na ich zręcznie zamaskowaną, lecz podstępą brutalność, która ostatecznie także i w Nigerii, w Indiach, i u Burów przy okazji powstania pierwszego obozu koncentracyjnego...

- To nie jest temat dla nas, majorze Rossberg - przerwał mu Henning von Schwerin-Sommershausen zaskakująco szorstko.

- Możecie mi wierzyć, że postaram się w tej już powstałej sytuacji zrobić, co się da najlepszego. Do tego czasu, proszę panowie, poczekajcie!

\*\*\*

- Cholera! - wrzasnął do siebie jeniec Faust.

Został osadzony jako uciekinier w pojedynczej celi. I tutaj właśnie leżał lub stał, klęczał, kuczał, zginał się, usiłował zwinąć w kłębek jak jeź. Z uporem próbował każdej możliwości uprzyjemnienia sobie, o ile to w tych okolicznościach było w ogóle wykonalne, pobytu w wąskim, krótkim i płaskim pomieszczeniu.

Pojedyncza cela - na skalnym podłożu, obmurowana kamieniami i pokryta blachą falistą - znajdowała się na tak zwanym terenie izolowanym. Nazywano go również „strefą zero” lub „areną”, posiadał wymiary boiska do piłki nożnej i był najskuteczniejszym wynalazkiem strażników. Wyposażony był w dwie bramy, jedną na stronę niemiecką obozu, drugą dostępną jedynie od strony brytyjskiej. Znajdował się na nim, trochę z brzegu, barak przesłuchań, który jeszcze nie tak dawno zaludniony był przez brytyjskich badaczy mózgu w rangach oficerskich i ich uparcie wypytywane ofiary. Lecz od czterech tygodni był pusty.

Jednak cały czas znajdowały się jeszcze na tym terenie trzy bunkry.

W środkowej z tych pojedynczych cel przebywał teraz Faust. Dwa pozostałe bunkry, po lewej i prawej stronie, były teraz puste. Tak więc Faust prażył się samotnie w zalanej słońcem pustynnej klatce. W południe tylko podłoga zapewniała względnie znośną temperaturę.

Faust leżał więc zwinięty patrząc do góry na właz wejściowy, a przez szczeliny padały na niego ostre promienie słoneczne. Właz posiadał wąskie, żelazne drzwi zaopatrzone w ciężkie zawiasy i gruby nakładany zamek. Nawet młot kowalski by tego nie rozwalił. Na dodatek zabezpieczone było to wszystko dodatkowym potrójnym łańcuchem. Wyłącznie ze względu na niego, czym mógł się czuć zaszczycony, ale on odczuwał jedynie koszmarne, gorączkowe pragnienie.

Nie poruszył się nawet, gdy usłyszał dźwięk łańcucha nad głową. Zamek zazgrzytał, a poruszone w zawiasach żelazne drzwi wydały piskliwy dźwięk. Faust zamknął na chwilę oczy, gdy padł na niego snop rażącego słońca. Mrugając rozpoznał powoli zsuwającą się zwałistą postać.

- Witam sierzancie! - zawołał Faust do McKellara. - Ma pan jedynie zamiar mnie odwiedzić czy musi mi pan przez dłuższy czas dotrzymać towarzystwa? Może dlatego, iż pana pokaz muzyczny znowu wzbudził nieuchronne niezadowolenie?

- Niech się pan tak nie rozpycha, Faust! - rozkazał starszy sierżant. - Niech pan się przesunie! - McKellar zatrzaskał drzwi nad sobą i kucnął tuż przed Faustem. Obejrzał go z ciekawością i powiedział: - W każdym razie pańska beczelna gęba jeszcze funkcjonuje.

- Owszem. Jeżeli chce się mnie zamordować, to ją trzeba potraktować dodatkowo. Wiele nie posiadam, ale ją to już do ostatka.

- Faust, człowieku - powiedział starszy sierżant rozważnie - niech pan nie pluje takim wielkim łukiem!

Zabrzmiało to iście po berlińsku, co wcale nie było przypadkiem, ale nikt tego tutaj nie wiedział. Ken McKellar, szkocki siłacz, pojechał w 1936 roku na olimpiadę do Berlina. Rzucił tam kulą, ponieważ rzut pniem drzewa, zwyczajem jego kraju, nie został dotychczas uznany za dyscyplinę olimpijską. Nie zdobył, co prawda, żadnego medalu, ale utrzymał się na znaczącym dziewiątym miejscu.

Do tego doszedł fakt, że McKellar nie wyjechał z Berlina po olimpiadzie - pozostał w mieście prawie dwa lata. Ma się rozumieć u jednej z berlinek. Nauczyła go obrazowego niemieckiego - co było powodem, dla którego otrzymał ostatecznie tę właśnie funkcję.

- Faust - powiedział zatroskany. - Znajduje się pan w tej dziurze nie dłużej niż

dwadzieścia cztery godziny, a ma pan jeszcze przed sobą trzynaście dni. Już teraz pan sapie, więc jak pan chce się utrzymać w dobrej formie?

- Jeżeli mnie pan, sierżancie, od czasu do czasu zaszczydzi swoim szacownym widokiem, to znakomicie mnie to ożywi.

- To mogę panu obiecać - powiedział McKellar. - Ale pod pewnym warunkiem.

- Czy mam się zobowiązać, że w przyszłości nic innego nie będę robił, tylko dmuchał u pana w kobzę?

- Ależ to nie jest zobowiązanie, tylko wyróżnienie - skwitował McKellar z niezmaconą godnością.

Odpowiedź na to pytanie była dla starszego sierżanta najwyraźniej zbędna. Wyciągnął spod munduru pękaty przedmiot - był to termos. Prawie uroczyście postawił go przed sobą i tym samym przed Faustem.

- Jak pan myśli, kochaneczku, co jest w środku?

- Prawdopodobnie woda z lodem.

- Dokładnie! Dla pana!

- I czego pan za to oczekuje?

- Faust, powiedzmy, że jedynie informacji. Nic więcej. Niekoniecznie dla mnie, raczej dla pułkownika, dla jego pozycji służbowej. Przecież pan zna te wszędzie stosowane metody, Faust, przełożeni rozkazują, a podwładni muszą słuchać lub dostarczać. W tym wypadku chodzi o szczegóły pańskiej ucieczki.

- I za to proponuje mi pan termos z wodą?

Starszy sierżant roześmiał się: - Przecież to pan powinien najlepiej wiedzieć, co to znaczy, względność. Co? Ostatecznie Einstein był Niemcem!

- Gdyby Einstein pozostał w Niemczech potraktowaliby go gorzej niż było - ostatecznie by go zagazowali albo zbili na śmierć!

- Niech się pan tak nie zapędza w swoim moralnym oburzeniu - powiedział - sierżant.

- Jak na razie jest to tylko nasz przywilej. Jeżeli wspominałem o względności, to miałem na myśli jedynie fakt, że w pana obecnej sytuacji termos z wodą znaczy o wiele więcej niż grudka złota. Dostanie pan niejeden, lecz codziennie jeden termos, tak długo, jak długo będzie pan tu siedział.

- I za to oczekuje pan ode mnie możliwie dokładnych szczegółów? Jak na przykład: kto mi pomógł spreparować trumnę? Kogo należy więc uznać za współnika? Może wykryje się przy tym jakąś organizację? Lecz nie ze mną takie numery.

- Tutaj - kusił zapraszająco Ken McKellar otwierając rozkosznie wolno korek termosu

- niech pan powącha! Niech pan zanurzy palec! Niech pan sobie łyknie spokojnie troszkę - woda jest lodowato zimna. I nie jest to zwyczajna woda. Pochodzi z mineralnego źródła - ze specjalnych zapasów pułkownika. Silvers przyniósł ją dla pana.

- Serdecznie dziękuję - powiedział Faust. Odchylił się najdalej, jak mógł aż dotknął głową kamiennej ściany. Była gorąca jak piekarnik. Zamknął oczy. - Niestety nie mogę panu zaoferować nic z tego, czego się ode mnie oczekuje - powiedział po chwili.

- No dobrze - starszy sierżant podniósł się. - Jak pan sobie życzy. Pójdę już.

- Niech pan znika razem z pana zasranym termosem i wodą!

- Termos należy do pana - powiedział opierając się o drzwi McKellar. I każdego dnia, spędzonego tutaj jeszcze jeden. Powiedzmy dlatego, że jest pan niezłym pierwszym piperem.

- I to panu wystarcza?

- Raz na zawsze! - starszy sierżant sapnął potężnie prawdopodobnie z powodu ciężkich żelaznych drzwi, które musiał pchnąć lub też z głębokiego wzruszenia.

- Jedno powinien pan wiedzieć, Faust, kocham moją muzykę. Jest to najpiękniejsza rzecz na całym tym zasranym świecie. A pan się na niej trochę zna. Do ciężkiej cholery - przecież to zobowiązuje!

- Proszę zostać chwilę, sierżancie - poprosił go Faust. - W trzy minuty wyjaśnię panu wszystko, co pan chce wiedzieć.

- Nie musi pan już tego robić - naprawdę!

- Niech pan to potraktuje jak przyjacielską przysługę między miłośnikami muzyki, między nami.

Faust ściągnął swoją zalaną potem twarz w uśmiechu. - Po pierwsze i musi mi pan uwierzyć: jestem samotnikiem i nie włączam nikogo bezpośrednio do moich specjalnych przedsięwzięć.

- Dobrze, wierzę panu, wygląda pan na takiego. Lecz ten numer z trumnami musi mi pan dokładniej wyjaśnić - jak pan wpadł na taki pomysł?

- Major Turner sam mi go podsunął swoją wypowiedzianą przed kilkoma tygodniami wskazówką, która miała być groźbą: „Obóz strzeżony przeze mnie można opuścić jedynie jako trup!”

- Ucieszy go to, gdy mu powiem - powiedział rozradowany McKellar.

- Niech mu pan to powie - mogę nawet na piśmie zeznać: jego pomysł był dobry! I okazja się nadarzyła. Przez burzę piaskową zapełniły się nagle trzy trumny w składziku Jabłońskiego i musiałem jedynie poczekać, aby Jabłoński codziennym zwyczajem przeistoczył się ze stolarza i grabarza w ogrodnika pułkownika i podrażował do brytyjskiej

komendantury. A to się stało na krótko przed tym, jak nasz zespół przemaszerował koło jego składu - wystarczyło otworzyć drzwi dorobionym kluczem.

- Ale Turner osobiście kontrolował zwłoki!

- Rzeczywiście - Faust pił małymi łykami i rozkoszował się swoją lodowatą wodą. - Major kazał otworzyć wszystkie trumny, pełne i puste, rezerwowe. I też znalazł trzy trupy. Gdyby jednak kazał je wyjąć, zobaczyłby mnie. Ponieważ w jednej z trumien wyjąłem spodnie deski i ułożyłem się pod zmarłym. I to wszystko.

Ken McKellar chwycił kubek Fausta i opróżnił go jednym haustem. - Człowieku - wykrztusił zdumiony - jest pan nie lada spryciarzem!

- Niestety nie ja jeden. Gdyż parę godzin po Turnerze pojawił się jeszcze ktoś. Wcale się tego nie spodziewałem. Ukryłem się w jednej z pustych trumien, którą sobie wyszykowałem jako przejściową kryjówkę, ale gość zniknął zaraz potem. Prawdopodobnie po dokładnym obejrzeniu trumien. Także i od spodu, należy przypuszczać. I dlatego zauważył pewnie wyjęte deski i wysnuł stąd odpowiednie wnioski.

- Tak, kochanieńki, to był Silvers - sierżant kiwnął znacząco głową. - Jest z tego samego gatunku co i pan, tylko nie ma w nim śladu muzykalności.

- Pan się z nim przyjaźni?

- Powiedzmy, że nikt nie może sobie na to pozwolić, by nie mieć z nim dobrych stosunków. Pana to też dotyczy Faust. A tak w ogóle jego dewizą jest: żyj i daj żyć innym.

- Brakujący trzeci trup leży w przedostatniej trumnie rezerwowej przykryty dla niepoznaki deską. Tam może go pan znaleźć - poinformował więzień swojego gościa.

- Faust, kochany - powiedział McKellar z dziękczynnym podziwem - następny numer, który zamierzam przeciwyczyć z naszym zespołem to będzie *Farewell to Gibraltar*. Świetna melodyjka dla urodzonego pierwszego pipera. Mam nadzieję, że się pan cieszy. Zaraz z tym zaczynamy.

- Jak pan chce to urządzić - w tych okolicznościach?

Moja w tym głowa! - zapewnił starszy sierżant. - A pan niech się tymczasem nacieszy swoją zimną wodą.

\*\*\*

- Feldfebel Schulz do mnie! - krzyknął McKellar stojąc przy niemieckiej bramie obozu. Wydawało się, że krzyczy w kierunku pustyni.

Ale rozkazy starszego sierżanta były tu niezwłocznie wypełniane. Tak nakazywała mądrość. Oprócz tego pułkownik zarządził z naciskiem, że należy w każdych okolicznościach

unikając jakichkolwiek komplikacji z Brytyjczykami.

Znajdujący się w zasięgu głosu jeniec wojenny pospieszył więc bezzwłocznie. Należał do „nadzorców” kapitana Müller-Wipperera, czyli oficjalnie do niemieckiej komendantury, a w niej do grupy „0”, co znaczyło „porządek”. Niecałe pięć minut później pojawił się wywołany feldfebel.

- Schulz - zarządził starszy sierżant - nasz zespół uformuje się tutaj za dziesięć minut!

- Tak jest - odpowiedział feldfebel, bo więcej powiedzieć nie uważał ani za stosowne, ani za konieczne. Ilekroć bowiem McKellar postanowił odstawić dyrektora filharmonii, nie można było na to poradzić.

Tak więc Schulz oddalił się z niejaką skwapliwością i przywołał bębniem ekipę specjalną czyli pozostałych jedenastu chłopców. Nie było to szczególnie trudne. Członkowie zespołu „Scottish-Bavarian-Band” byli wspólnie zakwaterowani w jednym pomieszczeniu pierwszego baraku na zlecenie starszego sierżanta, bo ten życzył sobie mieć swoich ludzi stale pod ręką.

Feldfebel Schulz ustawił ludzi przed sierżantem-dyrygentem - sześciu drummersów i pięciu pipersów. Starannie się wyprężył, po czym zameldował: - Jednego pipera brakuje.

- Bardzo dobrze. Wiem!

- Ale przezornie kazałem przynieść jego instrument.

- Chłopcy - Ken McKellar spojrział badawczo i oznajmił - dzisiaj przejdziemy do punktu kulminacyjnego naszej działalności - będziemy ćwiczyć *Farewell to Gibraltar*.

Chłopcy dobrani na podstawie surowych kryteriów muzycznych popatrzyli na swojego szefa z przyjaznym zainteresowaniem. Przywiązali się właściwie do niego. Bo on nie tylko wymagał, lecz i dawał.

Po każdej godzinie ćwiczeń należała im się dodatkowa racja żywnościowa. A za szczególnie dobre rezultaty były i nagrody: papierosy, czekolada czy też ciasto. Jako jedyni, oprócz stu wybranych przez kapitana Müller-Wipperera członków niemieckiej komendantury obozu, mogli również rozkoszować się codziennym dodatkowym przydziałem białego pieczywa.

- Złożyć kobzy, przytroczyć bębny! - komenderował McKellar. Za mną!

Szedł na przód, dumnie i trochę sztywno, a obraz, jaki wszyscy razem stanowili, był w obozie dostatecznie znajomy. Pysznie kolorowy, napuszony kogut, za którym podążało jednaście chudych, wyskubanych kur. Niemiecki strażnik przy bramie pozdrowił ich mechanicznie i zapisał na swojej liście: 15.30 - 11 ludzi - SS, co miało oznaczać „starszy sierżant”.

Przekroczył wraz ze swoimi ludźmi szeroko dla niego otwartą wewnętrzną bramę, pomaszerował dalej na teren wielkości boiska do piłki nożnej zwany „areną”. Tutaj zatoczył najpierw duże potem mniejsze koło wokół położonego centralnie bunkra, by po chwili skierować się prosto na niego. Na pięć metrów przed nim kazał się wszystkim zatrzymać.

- Gramy więc *Farewell to Gibraltar* - wyjaśnił siadając na bunkrze. - Bębny zaczynają - tamtatamteramtamtam - ale cicho, z uczuciem, jakby z oddali, jakbym odstawił was na pustynię. Jasne? Tu po ośmiu taktach wchodzi kobzy. Wesoło, radośnie! Potem burzliwie! Wycie nawałnicy! Jakbym wszystkich naraz kopnął w tyłek! I dalej w ten sam sposób - pełnią płuc!

Ken McKellar wyśpiewywał rozpromieniony melodię - głosem potężnym i zachrypłym. Wybijał przy tym obiema pięściami rytm, wałąc w żelazne drzwi bunkra. A potem zamilkł, lekko wzruszony własną reakcją. Wzruszeniem, które jednak nie trwało długo.

- Więc zaczynamy! - krzyknął zachęcająco. - Pokażcie, ludzie, na co was stać!

Wysilali się - ostatecznie było to jak zawsze opłaczalne. Jeden z nich wypatrzył w zapasach starszego sierżanta puszkę z puddingiem śliwkowym. Dudnili więc i kobzowali aż pot strumieniami spływał im po twarzach.

- Dość! - krzyknął wreszcie McKellar po piątej próbie przebrnięcia przez pierwszych dwanaście taktów. - Bębny nie są takie złe. Ale kobzy nie nadają się do niczego! Jak płynne letnie gówno! - powiedział.

- Brakuje prowadzącego - powiedział feldfebel Schulz z wyraźną znajomością rzeczy. - Faust dałby radę z prowadzeniem tej melodii.

- Ale on usunął się z uczestnictwa w naszych muzycznych prezentacjach - powiedział sierżant bębniąc w pokrywę bunkra.

- Ale jest pod ręką - odparł Schulz-Lisek, prostodusznie.

- Mógłby przecież grać razem z nami ze swojego bunkra. Przynieśliśmy jego instrument.

\*\*\*

Ten godny uwagi koncert w „strefie zero” w bezpośredniej bliskości bunkra wywołał w krótkim czasie lawinę aktywności w obozie.

Zaczęło się od tego, że jeden z niemieckich wartowników w pobliżu bramy nie chciał uwierzyć w to, co widział i słyszał. Powiadomił jednak natychmiast niemiecką komendanturę obozu. Wyraził przy tym następujące przypuszczenie: - To, co się tam dzieje, wygląda tak jakby Faustowi urządzano serenadę!

Kapitan Müller-Wipper, pułkownik von Schwerin, podpułkownik Merker i major Rossberg udali się w kierunku wewnętrznej bramy. Aby po chwili naprawdę się zdumieć.

- Ależ to absolutnie niemożliwe! - krzyknął kapitan Müller-Wipper.

- Możemy mieć tutaj do czynienia z bardzo typowym dla Brytyjczyków posunięciem; chodzi o zamaskowany, wyrafinowany bezczelny manewr - poddał pod rozwagę major Rossberg.

- Ale przecież nie można nas tak traktować! - zauważył podpułkownik Merker.

Pułkownik Henning von Schwerin-Sommershausen usiłując zachować pełną spokoju osobistą suwerenność, wyjaśnił: - Proszę nie wysnuwać przedwczesnych wniosków! Jednak brytyjska komendantura obozu powinna zostać poinformowana o tym dość dziwnym zajściu.

Tak też zrobiono, zresztą za pomocą telefonu. Kapitan Müller-Wipper zażyczył sobie natychmiast rozmawiać z kapitanem Moone'm. Ów był jednak jak zwykle nieosiągalny. Jedynie kapral z kancelarii gotów był wysłuchać adiutanta niemieckiego komendanta obozu. Müller-Wipperowi było to tylko na rękę, mógł bez skrępowań wyrazić się dosadnie.

- Niechże ktoś zwróci uwagę na to, co się dzieje w strefie zero! Przecież to się włosy na głowie jeżą! Mogą wyniknąć z tego bardzo poważne konsekwencje!

- Zrozumiałem - potwierdził kapral. - Zamelduję wyżej!

Patrzył na kapitana Moone'a, który przysłuchiwał się tej rozmowie. Ten skinął jedynie głową.

- Powiadomię pułkownika, a pan niech zawiadomi majora Turnera. Ale proszę mu powiedzieć, by nie działał na własną rękę, najpierw ma się zameldować u pułkownika czyli u mnie.

Pułkownik Nelson, poinformowany, machnął ręką prawie ziewając. Uśmiechał się przy tym do Sida Silvera, który stał obok niego, zbyt blisko, jak zauważył kapitan. A pułkownik powiedział: - Czy muchy istnieją rzeczywiście tylko dlatego, by można z nich było robić słonie?

- Sir - relacjonował radośnie kapitan Moone - ten McKellar rzeczywiście pozwolił sobie, by notorycznemu uciekinierowi urządzać serenady.

A major Turner, który nadbiegł zasapany, wycharczał oburzony: - Właśnie przed tym zawsze pana ostrzegałem, sir! Sierżant po prostu nie dorósł do swojego zadania. Nigdy mi się nie podobały jego wątpliwe formy współżycia z niemieckimi jeńcami.

- Ach, co tam! - powiedział pułkownik. - Odkąd McKellar jest odpowiedzialny za wewnętrzny porządek w obozie, nie było w tym względzie żadnych reklamacji.

- Dotychczas nie, sir - trzeba przyznać! Przynajmniej nie było żadnych meldunków o

jakichś kłopotach lub też nie dotarły one do nas. Ale nie powinniśmy zapominać o tej bezpardonowej próbie ucieczki, a wydarzyło się to bezpośrednio pod okiem McKellara!

- Jeżeli wolno mi zauważyć, to odpowiednie organy bezpieczeństwa nie zdołały jej wyjaśnić, chociaż pomysł z trumnami, jak się okazało, był do wykrycia - powiedział Sid Silvers w bardzo uprzejmy sposób.

- Sir - odpowiedział sztywno major Turner - czy muszę tego wysłuchiwać? Czy straciłem pana zaufanie? Jeżeli tak, to proszę o niezwłoczne zdjęcie mnie z tej funkcji!

- Sierżant McKellar do mnie! - rozkazał pułkownik.

Starszemu sierżantowi, który zameldował się krótko potem, błąkał się po twarzy swobodny uśmiech. Majora Turnera i kapitana Moone'a pominął nonszalancko. Silversowi puścił szybko oko. Oddał honory jedynie pułkownikowi Nelsonowi lecz nie wypadło to zbyt uroczyście.

- McKellar - zapytano go - czy pan wie, że obwinia się pana o zakłócanie z takim trudem przywróconego w tym obozie porządku i spokoju?

- Jak to sir? Czym?

- Uważa się, że pan urządził serenadę temu Faustowi.

- W żadnym wypadku, sir.

- Co więc zaszło sierżancie?

- Kazałem tylko pograć, sir, chociaż nie bez pewnego celu.

- Rzeczywiście? - major Turner próbował być ironiczny. - Chce pan tego Fausta - pańskiego protegowanego - wprowadzić w muzyczne oszołomienie, żeby wyjawiał tajemnice dotyczące jego ucieczki?

- Już je znam - wyjaśnił sierżant świadomy swojej przewagi, nie racząc zaszczyścić T.S. Turnera nawet spojrzeniem. - Teraz chodziło mi jedynie o pewien rodzaj testu.

- Rodzaj czego? - zapytał pułkownik.

- Testu, sir. Chodziło mi o zbadanie, czy można traktować Fausta jako istotę społeczną. Przy czym okazało się szczęśliwym trafem, że jest to niewątpliwie muzykalny człowiek.

- I co jeszcze - zachnął się major Turner. - To oczywiście należy do rzemiosła tych facetów, że potrafią się maskować. Specjaliści od ucieczek są ministrantami, czyścicielami latryn albo właśnie kobzianymi rzępołami. Robią to, czego właśnie się od nich oczekuje. I że właśnie na naszym terenie musiał się taki znaleźć, to pech. Ale jest na to skuteczna metoda: zamknąć, pilnować i przy pierwszej lepszej okazji usunąć.

- Nie wchodzi to u mnie w rachubę - zdecydował pułkownik jakby znudzony.

- Jak długo on gra w moim zespole... - powiedział McKellar.

- Przecież nie gra u pana przez dwadzieścia cztery godziny na dobę - powiedział przyjaźnie kapitan Moone. - A pan sam sierżancie jest odpowiedzialny ostatecznie za wszystkich niemieckich jeńców - potrzebujemy kogoś, kto z jednej strony dorastałby do metod Fausta, a z drugiej strony nie sprawiał wrażenia przeciążonego.

- Mnie ma pan na myśli? - zapytał rozradowany Silvers.

- Właśnie pana.

- On nie da sobie rady - stwierdził zdecydowanie Turner.

A pułkownik kazał rozważyć: - Jest to delikatna propozycja. Przecież Silvers ma specjalne zadania do wykonania.

Każdy wiedział, że chodzi o pieczę nad jego rolls-roycem.

- Trzeba to gruntownie przemyśleć.

- Podejmę się tego - powiedział sierżant Silvers. - Ale tylko pod warunkiem, że będę mógł stosować własne metody i że absolutnie nikt nie będzie mi w tym przeszkadzał. Co praktycznie oznacza, że będę miał wolną rękę.

- Zezwalam panu na to - głos Turnera brzmiał wesoło. - Przy czym chcę dodać, że ostrzegałem.

- A więc dobrze - powiedział pułkownik. - Propozycja kapitana Moone'a została, choć nie bez zastrzeżeń, zaakceptowana. Silvers przejmuje Fausta!

- Od zaraz! - powiedział Sid jakby uzupełniając.

- Jeszcze musi swoje odsiedzieć! - wykrzyknął Turner.

- Natychmiast zostaje zwolniony z paki - zdecydował łagodnym głosem pułkownik Nelson. Spojrzał potem na majora Turnera, który właśnie otwierał usta i prawie zmartwiony dodał: - To był rozkaz.

\*\*\*

- Masz się stawić u kapitana! - oznajmił człowiek z niemieckiej grupy porządkowej obozu pochylając się nad Faustem. - Słyszałeś? Müller-Wipper chce z tobą rozmawiać.

- Ale ja z nim nie chcę! - powiedział Faust leżąc na ściworze. - Mam ważniejsze zajęcia - muszę się lenić. Tak na zapas.

- Czy ty masz wszystkie klepki? - odparł człowiek od porządku. - Jeśli kapitan ma życzenie ciebie widzieć, to masz się łaskawie zjawić.

- Jeżeli koniecznie chce ze mną rozmawiać, to niech sam się do mnie pofatyguje. Powiedz mu to - zaproponował Faust.

- Człowieku, masz natychmiast wstać! Czy mam ci w tym pomóc?

Faust przyjrzał się ze znanstwem stróżowi porządku - był stosunkowo dobrze odżywiony. Bary miał dość szerokie. Jego kanciasta twarz nacechowana była zawodowym zdecydowaniem. Był urodzonym egzekutorem. Dlatego też Faust podniósł się z posłania choć z niechęcią.

- Christian, słyszałeś kto mnie zaprosił - powiedział do starszego gefrajtera Schafgotta, który leżał na sąsiedniej pryczy.

- Powiadom feldfebla Schulza. Jeżeli za godzinę mnie nie będzie, niech powie o tym sierżantowi McKellarowi.

- Zrobi się - odpowiedział zagadnięty.

- Zamelduję o tym - zapewnił człowiek od porządku.

- Tego się właśnie po tobie spodziewam - odrzekł Faust. - Bo wyglądasz na takiego idiotę.

Z tymi słowami opuścił swoje lokum, barak numer dwa. Przeszedł trzydzieści do pięćdziesięciu metrów po piaszczystej ścieżce i wszedł do baraku pierwszego, gdzie mieściła się niemiecka komendantura. Faust wiedział, że jego stróż był tuż za nim. Nie musiał się nawet odwracać, słyszał jego sapanie. Faust przeszedł po skrzypiących deskach podłogowych przez dwa pomieszczenia administracyjne aż dotarł do pokoju, który bezpośrednio sąsiedował z biurem pułkownika. Tutaj oczekiwali go z widocznym zniecierpliwieniem kapitan Müller-Wipper i major Rossberg. A tuż za nimi stali, jakby gotowi do skoku porucznicy Kern i Langohr - dwa w tym czasie najostrzejsze psy w niemieckiej części obozu.

- Heil Hitler, panowie! - zakrzyknął do nich Faust.

- Niech pan da spokój z takimi dowcipami! - powiedział kapitan Müller-Wipper.

- A pan to uważa za dowcip? - zapytał Faust uprzejmym tonem. - To byłby już jakiś postęp.

- Nie przyszedł pan tu po to, by demonstrować nam aż nadto znane wygłupy, lecz by udzielić nam różnych informacji.

- Na pewno nie jestem tu dobrowolnie, chciałbym to wstępnie stwierdzić.

Faust obserwował wyczekująco kapitana i majora. Nie zwracał natomiast uwagi na poruczników Kerna i Langohra, co świadczyło o jego zdrowym instynkcie. - Zostałem zmuszony do przyjścia pod groźbą użycia siły.

- Niech pan nie próbuje grać wrażliwego typu - powiedział kapitan. - Nie przed nami. Nie po pana cmentarnym wyskoku.

- Nawet żołnierz Faust ma prawo do życia prywatnego - wyjaśnił wielkodusznie major

Rossberg. - Lecz niestety zdaje się on pomijać fakt, że jeszcze i tutaj jest częścią określonego porządku.

- Dla mnie ta wojna już się skończyła - sprostował Faust.

- Proszę wyjaśnić to Brytyjczykom - powiedział major Rossberg. - Jedyne oni są odpowiedzialni za panujące w tym obozie stosunki. My w żadnym wypadku! Usiłujemy jedynie wykorzystać je jak najlepiej.

- A dlaczego to wam się nie udaje?

- Niech pan nie odbiega od tematu - Müller-Wipper stłumił z niezmiernym wysiłkiem swoje oburzenie. Po czym zapytał: - Faust, dlaczego został pan przedwcześnie zwolniony z paki?

- Tego nie wiem - odpowiedział Faust zgodnie z prawdą.

- Kto dał taki rozkaz?

- Nie jest mi wiadome.

- Może McKellar?

- Jego niech pan zapyta, nie mnie.

- Może mamy do czynienia ze szczególną formą uprzywilejowania. Na coś takiego pozwalają sobie Brytyjczycy jedynie, gdy im się to opłaca - wtrącił się ponownie major Rossberg. - Właśnie to, Faust, może praktycznie oznaczać jedno - że ci ludzie zażądali lub oczekują wzajemności. Na przykład informacji o naszej wewnętrznej organizacji obozowej?

- Pan się tego obawia?

- Mogłoby to doprowadzić do nieporozumień - odpowiedział kapitan z trudem się opanowując.

- Ale nie u nas! - zapewnił porucznik Kern zdecydowanie z głębi pokoju. A porucznik Langohr zgodził się z nim natychmiast. Wyglądali tak, jakby chcieli się rzucić na Fausta - z czystego poczucia obowiązku.

- Nieporozumień? - zapytał Faust cicho, ale wyraźnie. - Nie widzę tu miejsca dla nieporozumień.

- Nie odważył się pan chyba na obsmarowanie nas przed Brytyjczykami? - Müller-Wipper wydawał się zatroskany.

- Ostatecznie nie jest pan chyba zmęczony życiem! I tak nie będzie pan próbował wciąż na nowo stąd uciekać. Jedno panu powiem: jeżeli próbuje pan snuć przeciwko nam intrygi, to koniec z panem!

- Tym ja się zajmę - zapewnił porucznik Kern, obecnie pierwszy pies - i to skutecznie!

- I ja też! - obiecał porucznik Langohr, najznakomitszy towarzysz pracy Kerna, a

równocześnie najzagorzalszy jego konkurent.

- I ja miałem to na myśli, gdy przed chwilą mówiłem o braku nieporozumień - wyjaśnił Faust.

- Proszę zrozumieć naszą szczególną sytuację - major Rossberg był prawie ojcowski. - Musimy tutaj - wspólnie - ratować naszą skórę. Nic więcej nie robimy, niczego też nie oczekujemy ani nie żądamy od naszych przypadkowych współtowarzyszy niedoli.

- Też chcę przeżyć - wyjaśnił Faust nadal powściągliwie. - Życzę też wszystkim innym, żeby przeżyli. Możliwie z odrobiną godności. Ale Hitler nie żyje. Jego Wielka Rzesza też skończyła marnie. Naziści nie są teraz niczym więcej niż kupą gnoju, co widać wyraźnie. I wreszcie powinno to do was dotrzeć!

- Cóż tutaj słyszemy! - zakrzyknął kapitan Müller-Wipper oskarżycielsko. - Czyżbyśmy mieli do czynienia z ukrytym komunistą? To jest ton, w który nawet Brytyjczycy nie uderzają!

- Proszę go nam zostawić, panie kapitanie - zaproponował porucznik Kern. - Już my mu pokazemy, co jest prawdziwie niemieckie!

- I w dodatku tak, że będzie skomlał do mamusi - potwierdził gorliwie porucznik Langohr.

- Moja matka została zamordowana i mój ojciec też - powiedział Faust.

- Drodzy panowie, proszę was! - major Rossberg podniósł obie ręce. - Powinniśmy być cierpliwi i wyrozumiali dla niektórych naszych młodych kolegów, ponieważ nie są na tyle dojrzały, by znieść szok przejściowo przegranej wojny. Wydaje się pewno panu, że to już koniec.

- A czy tak nie jest? - zapytał Faust.

- Etap przejściowy, pośredni. A cóż by innego? - Rossberg uśmiechał się wyrozumiale. - I nie przypadkiem mamy do czynienia z pułkownikiem Nelsonem. Właśnie z nim.

- A co ma być takiego szczególnego w tym pułkowniku? - zainteresował się Faust.

- Jego wygląd myli, jego zachowanie też, tak samo jego pozornie poprawne, a czasami nawet dość wielkoduszne postępowanie. Zdaje się jednak, że w rzeczywistości mamy do czynienia z bestialskim mordercą czynnym w armii brytyjskiej. Zaangażowany w krwawe tłumienie powstań w Indiach, osławiony z powodu rzezi mieszkańców Afryki Centralnej, a chociażby i tym, że w bitwie pod El Alamein w bezwzględny sposób wysłał swoje oddziały na pewną śmierć. I na takie rzeczy, Faust, musimy być przygotowani. Ten człowiek i tutaj nie będzie ani sekundy zwlekał, by urządzić nam jatkę. O ile nadarzy się mu okazja.

- I z takim facetem chce pan współpracować przeciwko nam! - wykrzyknął do Fausta kapitan Müller-Wipper.

- Nie zdąży - powiedział porucznik Kern. - Niech go pan tylko odda w moje ręce.

- W nasze ręce - dodał porucznik Langohr. - Posiadamy skuteczne i wypróbowane środki przeciw zdradzie stanu i podobnym działaniom.

- Czy ci dwaj muszą tu być? - zapytał Faust.

- Ja także preferowałbym rozmowę wewnętrzną - powiedział major Rossberg.

- Wyjść! - rozkazał kapitan Müller-Wipper obu porucznikom. - I czekać!

Szybko usłuchali - najpierw Kern, potem Langohr.

Kiedy tylko opuścili pomieszczenie, Rossberg ponownie odezwał się po ojcowsku: - Trzeba na to patrzeć możliwie bez uprzedzeń, drogi Faust.

- Lecz potem należy się zdecydować! I to na nas! - wyjaśnił Müller-Wipper. - Nie mogę sobie po prostu wyobrazić, żeby mogło panu zależeć na współpracy z takim krwiożerczym psem.

- Niezależnie od tego, że to, co się tutaj zarzuca pułkownikowi Nelsonowi, a co prawdopodobnie jest wyssane z palca, śmierdzi na odległość propagandą dawnej Rzeszy, nie zamierzam w żadnym razie współpracować z kimkolwiek w tym obozie. Jestem tutaj jeńcem na czas nieokreślony. I właśnie ten czas zamierzam skrócić. To wszystko.

- Boże święty! - kapitan Müller-Wipper uderzył energicznie dłonią w blat stołu. - Nawet pan powinien wiedzieć, gdzie pan przynależy! Musi się pan teraz ostatecznie zdecydować! Albo na nas, albo przeciwko nam! Na taką wolność wyboru pozwalamy każdemu.

- A nie przewiduje pan trzeciej możliwości? - zapytał Faust.

- Nie. Tutaj należy przyjąć pewne konsekwencje, Faust, i dokładnie tego oczekujemy teraz od pana. Czy ma pan w ogóle jakikolwiek wybór?

\*\*\*

- Zadanie specjalne! - oznajmił starszy sierżant swojej grupie specjalnej, liczącej ponownie dwunastu ludzi. Patrzyli na niego z oczekiwaniem. - Tym razem chodzi o pielęgnację rolls-royca.

Ken McKellar patrzył zgodnie z oczekiwaniem na dwanaście bez zastrzeżeń radosnych twarzy. Bo to, co przed chwilą oznajmił, zostało szybko odebrane przez jego pupilków jako zadanie, zarówno łatwe jak i opłacalne. Dwie, może trzy godziny przyjemnej pracy, a potem dwa do trzech papierosów na osobę. Dodatkowo herbata, a może i tak zwana

kanapka. Po tym prysznic trwający cztery do pięciu minut, a chociaż letni to jednak nadzwyczajnie odświeżający.

- To chodźmy, koledzy! - zakrzyknął z niepotrzebną zachętą w głosie feldfebel Schulz. Wykonał coś w rodzaju oddania honorów przed starszym sierżantem, który się odsunął, i pomaszerował z kolegami do wewnętrznej bramy.

„13.30. 12 ludzi” - zarejestrował brytyjski wartownik i zapisał na swojej liście. - Z czyjego rozkazu?

Odpowiedź: - Z rozkazu sierżanta McKellara. Sam sierżant natomiast był nieobecny, przebywał gdzieś w niemieckiej części obozu.

- Z jakim zadaniem?

Odpowiedź: - Czyszczenie rolls-royca! - Odpowiedzialny za takie zadania był sierżant Silvers, co wszyscy w obozie wiedzieli. Ale jego również nie było.

- Kto przejmie tę zgraję? - zapytano.

Major T.S. Turner, który znalazł się przypadkowo przy bramie wewnętrznej, przejął ją, chociażby dlatego, aby nie przeciągać w czasie czyszczenia rolls-royca, ukochanej maskotki pułkownika. Turner wskazał lekko ręką wejście. Nawet, jeżeli było prawdą, iż nie cenił zbyt pułkownika Nelsona, to w związku z jego rolls-roycem odczuwał coś w rodzaju dumy narodowej.

- Przyłóżcie się do roboty, chłopcy! - krzyknął major do dwunastki zanim spragniony odpoczynku oddalił się w stronę swojej kwatery. Rolls-royce pułkownika, uroczyście czarny z dyskretnymi srebrnymi akcentami, stał, jak zawsze, gdy miał być doprowadzony do połysku, nad rowem przykrytym deskami, pod płócienną wiatą. Tuż koło budynku komendantury. Ludzie przyprowadzeni przez feldfebla Schulza, a między nimi znajdował się Schafgott oraz Faust, otoczyli to jedyne w swoim rodzaju, techniczne cacko w spontanicznym zachwycie.

Wkrótce potem pojawił się sierżant Sid Silvers. Pod prawą pachą niósł dziesięć świeżo upranych, niebieskobiałych, puszystych, z całą pewnością nie gubiących nitek, bawełnianych ręczników. Uważnie przyjrzał się każdemu z jeńców. Uśmiechnął się, gdy dostrzegł między nimi Fausta.

- Więc, jeden człowiek do przednich kół, jeden do tylnich łącznie z osią. Dwóch ludzi do przedniej karoserii, dwóch następnych do tylnej, granica przebiega przy tylnym zamku przednich drzwi. Dwóch ludzi do silnika, dwóch do wnętrza wozu, łącznie z bagażnikiem! - zarządził.

- To dziesięciu - stwierdził feldfebel Schulz. - A jest nas dwunastu.

- Pan będzie to wszystko nadzorował - rozporządził Silvers.

- Pozostaje jednak jeszcze jeden.

- Ten, który zwie się Faust - rozstrzygnął sierżant Silvers. - Z nim chcę porozmawiać.

- Tak jest - powiedział ochoczo feldfebel Schulz. Wziął ręczniki i rozdzielił je. - Koledzy, a teraz pokażemy, na co nas stać! - zawołał gorliwie.

Faust natomiast podszedł do Silversa, zatrzymał się przed nim i w milczeniu patrzył na niego. Sierżant wskazał na skrzynkę stojącą w cieniu. Usiedli na niej.

- Faust, chce pan zapalić? - zapytał sierżant. Wyciągnął swoje etui, to złote, i otworzył je. Virginia po lewej stronie, po prawej orienty - może pan wybierać.

- Właściwie mało palę, ale pana opalę z przyjemnością - powiedział Faust.

- Ależ proszę bardzo - zachęcił go Silvers. - Jeżeli o mnie chodzi, to może pan spokojnie spróbować obu gatunków. A nawet może pan wziąć, jeśli pan sobie życzy, wszystkie papierosy łącznie z etui.

- Czyżby chciał pan we mnie zainwestować, sierżancie?

- Nazywam się Sid Silvers - może pan mówić do mnie Sid, gdy będziemy sami. A może napiłby się pan whisky - dobrej starej, wyleżakowanej, opalanej nad torfem whisky, zwanej Malt Whisky? Mogę panu taką załatwić. Powiedzmy, że nawet parę butelek.

- Dlaczego?

- Ponieważ rzeczywiście będzie pan dla mnie dość dobrą lokatą kapitału, po tym wszystkim, czego się o panu dotychczas dowiedziałem.

Faust wyjął z wyciągniętego do niego etui po trzy papierosy virginia i orient. Zawinął je starannie w gazetę i włożył je do kieszeni na piersi. Po czym powiedział: - To, że to pan mnie wytropił w trumnie, już wiem. A co, pana zdaniem, może jeszcze z tego wyniknąć?

Silvers uśmiechnął się. - Kolego Faust, jestem tutaj czymś w rodzaju zaufanego pułkownika. Powierzył mi swojego rolls-royca, a to już niemało. Gdyby chodziło o jego życie, właściwie znaczyłoby to mniej. Ale on nie zwraca uwagi na takie drobiazgi. My też nie będziemy zwracać.

- I co w związku z tym obiecuje pan sobie po mnie, kolego Silvers?

- Bardzo wiele! Dziwi się pan, co? Tylko niech to się nie przerodzi w chroniczny stan. Musi się pan tylko rozeznać, kto siedzi na właściwym końcu. W każdym razie został pan oficjalnie oddany pod moją opiekę. I postaram się z całą pewnością, żeby pan nie zginął.

- Prawdopodobnie przecenia pan któregoś z nas i to nie tylko w tym względzie.

- Poczekajmy. Każdy człowiek ma swoją wartość - można go chociażby przerobić na mydło. A pan jest dla mnie szczęśliwym trafem! Bo chcę tutaj, a dokładnie w Kairze robić interesy. Możliwie opłacalne interesy - dla pana również. O ile jest pan chociaż w połowie tak

mądry, jak przypuszczam.

- Co pan uważa za mądrość, Silvers, w takich czasach, w których cały czas toczy się wojna, chociaż, jak to się pięknie mówi, armaty milczą.

- A cóż to za wojna! W gruncie rzeczy to miliardowy interes - trupy zaliczane są do nieuniknionych kosztów. Lecz ten, kto choć trochę przejrzał obowiązujące i często zawstydzająco prymitywne reguły gry, może zbić majątek. Nawet dwa!

- Oczywiście z moją pomocą? - Faust otarł dłonią pot z czoła. Przyglądał się Silversowi z rosnącym zainteresowaniem. - Musi mi pan to dokładniej wyjaśnić.

- Sytuacja jest dość prosta i przejrzysta. Dla pułkownika i niemieckiej komendantury jest pan wicherzycielem zakłócającym pożądany porządek. Jak już powiedziałem, dla mnie mógłby pan być lokatą kapitału.

- W jaki sposób - możliwie ściśle?

- Nie zna pan Kairu, dzisiejszego Kairu - inaczej zrozumiałby pan mnie natychmiast. Tam rynek wchłonie wszelkie pomysły. Żeby móc tam trochę zamieszać, potrzebny jest najpierw kapitał obrotowy. Takowy posiadam. Potem potrzebni są fachowcy wszelkiej maści, a niemiecka komendantura mogłaby ich dostarczyć. Ale nie dostarcza. Przydzielili mi jedynie jakiś marny, wybrakowany towar. Już parokrotnie. Dlatego potrzebuję koniecznie współpracownika, który zna dokładnie panujące stosunki, a również ma odwagę i uzdolnienia do wykorzystania swoich wiadomości. I to właśnie jest pan!

- I czego jeszcze oczekuje pan ode mnie?

- Pełnowartościowego, wszechstronnego, pełnego pomysłów partnera - i to takiego, który nie wystawi mnie do wiatru, żeby znowu wylądować w pace.

Faust przyglądał się swoim wilgotnym od potu dłoniom, przysłuchując się pogodnemu i spokojnemu głosowi Silversa.

- Jeżeli dobrze pana rozumiem - powiedział rozważnie - ma to oznaczać, że będzie pan usiłował zapobiec każdej mojej próbie ucieczki. Pan osobiście! I tylko po to, by mnie zmusić do pomocy w interesach.

- Zgadza się! - przyznał Silvers rozbijając szczerze. - Z tego zaś wynika na przyszłość, że będziemy współpracować dla obopólnej korzyści.

- Więc pan też! - stwierdził Faust obserwując pracowicie pucowanego rolls-royca. - I pan żąda: albo-albo!

- Bzdura! Proponuję panu jedynie spółkę. I jestem pewien, że pan zaakceptuje tę nad wyraz wielkoduszną propozycję. Może nie?

\*\*\*

- Sid, ruszamy znowu - powiedział pułkownik Nelson rozkoszując się przez chwilę z niezmaconą radością widokiem błyszczącego rolls-royca. - Do Kairu - a tam najpierw jak zawsze!

- Hotel „Semiramis” - potwierdził Silvers otwierając tylne lewe drzwi samochodu.

Pułkownik Nelson skinął głową. Widok własnej wspaniale lśniącej limuzyny doprowadzał wciąż na nowo jego serce do przyspieszonego bicia. Rolls-royce był prezentem od teścia, lorda White-Whitecastle'a, z okazji udekorowania pułkownika Orderem Wiktorii, co nawet uhonorowano w Timesie. W związku z bitwą pod El Alamein. Nelson zasłużył się tym samym zarówno Królestwu, jak i własnej rodzinie.

- Dobra robota, Silvers! - powiedział pułkownik z uznaniem ostukując wręcz czule karoserię, oczywiście prawicą odzianą w rękawiczkę, bo plamy po wilgotnych palcach na jego rolls-roysie byłyby niemal równoznaczne z plamami na honorze. - Rzeczywiście, mój drogi, wspaniała robota!

- Ci Niemcy - powiedział Silvers - są bardzo przydatni, trzeba jedynie skierować na właściwe tory ich chęć działania.

Pułkownik Nelson skinął ponownie głową, uśmiechając się do Silversa. - Pan wie, jak mnie ucieszyć, Sid.

Pułkownik wszedł wreszcie do samochodu, oparł się i z błogością przeżywał miękką solidność skóry, obramowania drzwi i deski rozdzielczej wykonanej ze szlachetnego drewna, stabilność karoserii, niby kasy pancerniej, której to mógł się powierzyć z ufnością.

Czuł się prawdziwie szczęśliwy.

Silvers nacisnął delikatnie pedał gazu. Ze względu na powstawanie zbyt dużej ilości kurzu należało unikać zbyt gwałtownego przyspieszenia, choć można je było w rolls-roysie uzyskać bez wysiłku. Na pierwszych kilometrach drogi z obozu do Kairu bujał się ten wspaniale resorowany pojazd na zjeżdżonej piaszczystej szosie pustynnej. Dopiero później wjeżdżało się na asfaltową szosę biegnącą tuż nad Nilem.

I tutaj Silvers dodał gazu, a rolls-royce zaczął swój śpiew. Radosne, łagodne wycie silnika było dla pułkownika swoistą melodią. Wyciągnął nogi, rozparł się rozluźniony na siedzeniu, uśmiechał się i do siebie, i do Silversa.

Potem powiedział poufale: - Nawet pan nie wie Sid, jak bardzo się cieszę, gdy mogę uciec z tego obozu. Nawet jeżeli trwa to jedynie parę godzin.

- Świetnie to rozumiem, sir! Tym bardziej, że może pan już naprawdę zapomnieć o tym Fauście - właśnie go zainkasowałem.

- Nie lubię jakiegokolwiek niepokoju - powiedział zadumany pułkownik - który wywołuje automatycznie reakcję zwrotną, która z kolei nieuchronnie doprowadza do działań obronnych. I zanim się człowiek obejrzy, katastrofa gotowa. Jeżeli można tego uniknąć, wszystko jedno jak, to potrafię to docenić.

Nelson patrzył na otępiająco monotony krajobraz za oknem: jasnożółta płaskość usiana rozrzuconymi kamieniami, porośła nieskończenie żmudną wegetacją. Skromnie przystrojony księżycowy krajobraz w pełnej krasie.

- Zgodnie z pana życzeniem, sir, zająłem się Faustem. Jego reakcji nie można do końca przewidzieć. Jest zdeklarowanym samotnikiem.

- Tacy są najgorsi - ma się rozumieć w wojskowości!

- Każdy ma swój słaby punkt - zauważył Silvers - jak również swoją cenę. Faust na pewno nie jest tani, ale prawdopodobnie będę mógł zapłacić jego cenę. Włączę go do naszych przedsięwzięć w Kairze.

- Sid, jak pan tego dokona bez zapewnienia mu swobody poruszania się? I to w dodatku w milionowym mieście.

- Nie wypuszczę go z rąk! Przywiążę go do siebie. Uwiążę go na linie, która zwie się zysk.

Sierżant Silvers miał pułkownika stale na oku, w lusterku, nawet, gdy dodawał gazu. I widział siedzącego za nim chudego jak patyk mężczyznę usilnie zachowującego godność z wytworną, wąską, końską czaszką, przejściowo dającego wyraz skrywanemu niepokojowi, w momentach, kiedy nie wiedział, że jest obserwowany. Nelson gapił się strapiiony przed siebie.

- Już ja się dogadam z tym przedsiębiorczym obwiesiem - zapewnił Silvers. - W jego obecności mam zawsze dziwne uczucie, że mogę czytać w jego myślach. A jak on lustrował przed chwilą tego rolls-royca. Jakby zamierzał przywłaszczyć sobie naszą reprezentacyjną karoce.

- Myślę, że tak od razu do tego nie dojdzie - powiedział pułkownik z lekkim uśmiechem.

Silvers roześmiał się. - Już sama myśl jest komiczna. Ale Faust jest dostatecznie sprytny, żeby się zorientować, że nie może zbliżyć się do naszego wozu ani wsiąść do niego. Na przykład do bagażnika. Bo w bagażniku można się udusić.

- Ale nie w tym - powiedział pułkownik. - Jeszcze pan tego nie odkrył? Ten bagażnik jest przystosowany dla Antoniego i Agaty.

- A kim są u diabła, przepraszam sir, na Boga, Antoni i Agata?

- Wierni towarzysze mojego szacownego teścia - dwa charty. Wspaniałe stworzenia i

jeszcze bardziej rozpieszczone niż jego córka, co już wiele znaczy. W każdym razie lord zlecił wykonanie specjalnych zmian w bagażniku dla Antoniego i Agaty: odprowadzanie zużytego powietrza, dostarczanie świeżego, blokada zwrotna. Co praktycznie oznacza, że bagażnik może być równocześnie sypialnią dla dwóch psów średniej wielkości, a przy parkowaniu można go przemienić w bardzo komfortową budę.

Silvers nie miał ochoty dzielić z pułkownikiem jego rosnącego zadowolenia. Zapytał:  
- Ależ, sir, to przecież nie jest samochód lorda?

- Oczywiście, że nie. Odebrałem go prosto z fabryki, ale jako prezent od Jego Lordowskiej Mości. A zamówił w fabryce dokładnie taki sam egzemplarz jak dla siebie. Oba są tego samego koloru, mają to samo wyposażenie, ze wszystkimi dodatkami, jak w jego rollsie. Być może, nie miał niczego na myśli, ale jest też możliwe, że zamierza mi swe psy przekazać w spadku. O ile go przeżyją, o czym wielu marzy.

- Jeżeli tak sprawy stoją - powiedział Sid Silvers - to proszę o pozwolenie zatrzymania się.

- Człowieku, pan chyba nie myśli... - zawołał przestraszony pułkownik.

Sierżant zdjął nogę z gazu, nacisnął hamulec i rolls-royce przesunął się bezszelestnie, jak żaglówka w łagodnym wietrze, na prawą stronę szosy. I stanął prawie niezauważalnie. Przez kilka sekund słyhać było jedynie tykanie zegarka i nic poza tym.

Silvers wysiadł. Obszedł samochód. I otworzył rzeczywiście nie zamknięty bagażnik.

W środku zobaczył leżącego Fausta - a ten uśmiechał się do niego życzliwie.

\*\*\*

Prawie w tym samym czasie zauważono w obozie, co zaraz oficjalnie stwierdzono, brak jednego człowieka, z początku jakiegoś nieokreślonego.

Opóźnienie było pośrednio sprawką Silversa. Bo po skończonej pracy kazał ugościć oddział myjący rolls-royca z oczekiwaną hojnością. W jego szopie obozowej kapral Copland, Sportowiec należący do kliki Silversa wręczył im papierosy, ciastka, i po puszcze piwa na osobę.

Schulz przebywał ze swoimi ludźmi w tej szopie, ponad pół godziny. Siedzieli na workach i skrzynkach, palili, jedli, pili, mówili niewiele, wypoczywali. Wyglądali na szczęśliwych i odprężonych. Jeden z nich nawet usnął, chrapał słodko przewróciwszy się na bok.

- Kończymy, chłopcy! - zawołał do nich kapral Copland. - Nocleg nie jest przewidziany!

- Koledzy ruszamy z powrotem do Niemiec!

Feldfelbel Schulz uśmiechnął się, wstał, podziękował uprzejmie kapralowi i rozkazał: - Dwójkami za mną!

Powlókł się wraz z podążającymi za nim ludźmi przez plac koło brytyjskiej komendantury do wewnętrznej bramy obozu.

Dotarłszy do niej, powiedział do wartownika: - Wraca oddział od czyszczenia rolls-royca.

- Znowu nażarci, co? - zażartował wartownik. - Za dobrze wam się tutaj powodzi! Może byście się tak porządniej ustawili! Trzymajcie się pierwszego - wyrównać bok!

Schulz skinął głową, zupełnie obojętny, w stronę swoich ludzi. A ci uformowali się spokojnie, dołączyli na styk, wyrównali. I poczłapali dalej. Było gorąco, piwo poszło im do głowy - ogarnęła ich leniwa obojętność.

- Jednego brakuje! - stwierdził wartownik na podstawie swojej listy. - Co najmniej jednego!

- Co też pan opowiada! - odrzekł feldfelbel Schulz patrząc z udawaną naiwnością.

- Tu jest napisane - dwunastu ludzi, a ja widzę tylko jedenastu. Brakuje jednego gnoja. A może pan myśli, że jestem głupi?

- Z całą pewnością nie - odpowiedział uprzejmie feldfelbel Schulz. - Być może brakuje jednego. Prawdopodobnie jest jeszcze potrzebny w części brytyjskiej. Dołączy więc do nas później. Może pan określić tylko jedenastu.

- Nie ma mowy! - wyjaśnił dobitnie wartownik. - Nie jest to zgodne z nowym rozkazem, który brzmi: taka sama ilość wchodzi, jak i wychodzi.

Schulz milczał. Schafgott przycisnął się do niego. Ale został dość energicznie odsunięty. Pozostali ludzie w grupie usiłowali zachować możliwie nieświadomie szczerzy wyraz twarzy. I większości z nich udało się to w przekonujący sposób. Byli w tym wyćwiczeni.

Tymczasem wartownik dodzwonił się do komendantury obozu. Po niecałych trzech minutach pojawił się kapitan Moone, adiutant pułkownika. - Co to znowu za afera? - zawołał prawie z nadzieją. - Gdzie jest wasz dwunasty człowiek?

- Tego nie wiem, sir - stwierdził Schulz absolutnie niespeszony. - Może jeszcze gdzieś pracuje albo poszedł za potrzebą. To też się czasami zdarza, sir.

- Tylko bez wymówek! Za tę bandę jedynie pan jest odpowiedzialny.

- W żadnym wypadku, sir! Zażądano nas, więc zostaliśmy przepisowo przekazani.

- Sprawdzę to! - wykrzyknął kapitan Moone.

Po czym rzeczywiście to sprawdził. I stwierdził, że Silvers zażądał poprzez komendanturę brytyjską niemieckiego oddziału roboczego w celu wyczyszczenia i zadbania o rolls-royca. To żądanie przekazano przepisowo sierżantowi McKellarowi. Jednak ani McKellar nie potwierdził pisemnie wymarszu tej dwunastki z niemieckiej części, ani Silvers jej wejścia na część brytyjską. Inni zrobili to za nich, tym samym byli za to odpowiedzialni.

- Nikt nie rusza się z miejsca! - zarządził rozbawiony kapitan Moone. - Należy wstrzymać jakikolwiek ruch między obiema częściami, aż do wyjaśnienia tej sprawy. Gdzie jest major Turner?

Major Turner pojawił się kilka minut później z zaróżowioną od snu twarzą niemowlaka. Mimo to był jak zwykle gotów do działania. - Czyżby znowu chodziło o jedno z tych podobno humanitarnych i demokratycznych idiotyzmów, które muszę tuszować?

- Na to wygląda! - stwierdził kapitan Moone ostrożnie rozbawiony. - Co do idiotyczności, to się zgadza. Że też musiało się to wydarzyć pod nieobecność pułkownika! Brakuje jednego niemieckiego jeńca.

- Co, znowu jakiś uciekł?

- Obawiam się, że nie jakiś tam, lecz znowu ten sam.

- Nie, chyba nie Faust?

- Na to wygląda, sir.

- To woła o pomstę do nieba! Sprawdzę to! wykrzyknął Turner silnym acz drżącym głosem.

T.S. Turner przywołał do siebie swoich dwóch poruczników, Millsa i Millera. Spojrzał na nich z uzasadnioną nadzieją. Potem wydał polecenia gardłowym tonem rozkazu.

- Wszystkich przeszukać! Przenicować każdy kąt! Nie pominąć niczego! Przeszukać również pomieszczenia pułkownika! Nie zajmujcie się zbytnio skrzynką pod moim łóżkiem, bo to bzdura, tam i tak nie zmieści się żaden człowiek. Rozumiecie mnie chyba! A poza tym sprawdź każdą sralnię, otwórz każdą szafę, możecie zedrzeć równie dobrze wszystkie podłogi, ale ten łobuz musi być znaleziony! Wszyscy dostępni ludzie mają w tym uczestniczyć!

Bezpośredni podwładni majora T.S. Turnera, obaj porucznicy, Miller i Mills, rozbiegli się.

- Tymczasem - powiedział major do kapitana Moone'a - może mi pan nalać whisky z prywatnych zapasów pułkownika. Ostatecznie to ja jestem zastępcą podczas jego nieobecności.

Kapitan Moone napełnił wspaniałomyślnie szklankę do połowy. Miał nawet lód w

kostkach. Major Turner wziął podaną mu szklankę do ręki, powąchał ze znanstwem jej zawartość, wypił trochę płynu, kiwnął głową najpierw do siebie, później do kapitana.

Wreszcie odezwał się roześmiewszy się krótko: - Nagabywanie o Fausta zaczyna mnie już powoli nudzić. Co to ma wszystko znaczyć! Przyjmijmy na spokojnie, że istotnie uda mu się stąd uciec, chociażby z powodu wybitnego zaniedbania swoich obowiązków przez pewnych ludzi, na przykład McKellara i innych. No dobrze, ale co dalej? Wokół niego nie tylko pustynia, w oddali Morze Śródziemne i wszędzie ludzie mówiący jedynie po arabsku. I on w swoim tropikalnym wdzianku. Jakże on chce się przedostać?

- Nie wiem - powiedział kapitan Moone. - Ale mam fatalne przeczucie, że on to wie.

- Tylko że prawdopodobnie mnie nie wziął pod uwagę - stwierdził T.S. Turner.

Lecz to przez długie lata narastające przekonanie miało zostać poddane w poważną wątpliwość już za pół godziny, po dwóch następnych szklankach whisky. Gdy przed Turnerem i Moone'em pojawiło się równocześnie dwóch poruczników. Obaj, Miller i Mills, zasalutowali i zameldowali:

- Nic, sir!

- Nic? - zapytał major z niedowierzaniem.

- Wszystko przeszukane! Żadnego najmniejszego śladu!

- Ktoś tu widocznie zaniedbał haniebnie swoje obowiązki - Wykrzyknął T.S. Turner oskarżycielsko - i możemy go pociągnąć do odpowiedzialności. Już ja go dopadnę!

- To niestety może być prawda - potwierdził major nie bez wyrachowanej grzeczności.

- Gdyż na podstawie dostępnych dokumentów może być bardzo dokładnie określony ten, kto był odpowiedzialny za powyższą grupę.

- No właśnie! - T.S. Turner wykrzyknął triumfująco. - O to mi śnie chodziło! Chcę go mieć! Kto to jest!

- Pan, sir.

- Człowieku, niech pan nie usiłuje mnie w nic wrabiać!

- Bardzo mi przykro, sir, ale grupa dwunastu jeńców została przez pana pisemnie przejęta. Tym samym jest pan zgodnie z nowym rozporządzeniem obozowym za tych ludzi odpowiedzialny. Niewiele może pan na to poradzić.

\*\*\*

- Cholernie tutaj gorąco, nie sądzi pan? - zapytał żołnierz Faust wyczołgując się z bagażnika. - I przy całym komforcie tej psiej chatki, można tu łatwo zeszywnieć.

Faust chciał rozprostować sobie nogi, machał więc rękoma jak wiatrak, tańczył

wreszcie na asfalcie pustynnej szosy jak bokser na ringu. Spoglądał przy tym, mrużąc oczy, na rolls-royca, na sierżanta Silversa stojącego przed samochodem na szeroko rozstawionych nogach, wreszcie na pułkownika, który oparł się sztywno o karoserię, z niedowierzaniem, bez słowa wyczekując.

- Nieprawdopodobna sprawa - taki bagażnik - powiedział Faust z niezmaconą uprzejmością. - Wspaniały, jednak dla mnie trochę za ciasny. Na buldogi, prawda?

- Dla chartów! - objaśnił go Silvers.

- Bardziej do mnie pasują - to chciał pan powiedzieć?

Faust nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Ponieważ sierżant spoglądał pytająco na pułkownika, również nie otrzymując jakiegokolwiek odpowiedzi.

Nelson pokręcił jedynie głową z widoczną niechęcią. Po czym wsiadł do samochodu.

- Nie zna się na żartach? - zapytał Faust Silversa poufałym tonem.

Lecz ten jedynie uśmiechał się do siebie. - Ja również nie uważam, by numer, który nam pan właśnie wykręcił, był aż tak komiczny.

- A czegoż więcej pan oczekuje? - zapytał Faust. - Ostatecznie znowu wykrył pan uciekiniera, a to przecież zawsze się opłaca. Czyż nie? Tym samym mój widok powinien być panu miły i drogi.

- Trochę mniej znaczyłoby dla mnie prawdopodobnie więcej.

- Silvers! - zawołał pułkownik z samochodu. - O czwartej mam spotkanie z córką w hotelu „Semiramis”. Potem, o piątej, rozmowę w Ambasadzie Brytyjskiej - te dwieście metrów przejdę na piechotę, powrót o szóstej. Proszę się postarać, by ten program został zrealizowany!

- Tak jest, sir! - odpowiedział Silvers. A do Fausta powiedział: - Więc z powrotem do pańskiej psiej zagrody. Lecz tym razem zostanie zamknięta.

Faust kiwnął głową i wczołgał się ponownie do bagażnika. Klapa zamknęła się nad nim, zamki zatrzasnęły i zostały sprawdzone. W dodatku dość pieczołowicie, jak mu się wydawało. Dobroczynny półmrok otoczył Fausta. Temperatura była znośna, a wentylacja działała wręcz odświeżająco.

Podczas jazdy Faust zarejestrował, że rolls-royce zatrzymał się raz na prostej drodze w środku znacznego ruchu ulicznego. Najwidoczniej wysiadał pułkownik. Gdyż zaraz potem samochód pojechał nieporównanie żwawiej, odważniej brał zakręty i zatrzymał się wreszcie po wielu minutach po raz drugi. Gwałtownie.

Po kilku sekundach bagażnik otworzył się znowu. Faust mrużąc oczy dostrzegł w padającym świetle Silversa.

- Mógłbym pana zostawić w tej klatce na wiele godzin, by się pan dostatecznie poddusił, ale to byłoby za mało.

- Więc czego pan chce?

- Uprorowadzić pana - powiedział Silvers. - Warto zobaczyć, co pan jeszcze może znieść. Niech pan wysiada!

Faust wysiadając dostrzegł wawóz utworzony z kamiennych fasad domów. Tak przynajmniej odebrał, przyzwyczajony przez wiele miesięcy do monotonnej pustynnej równiny, szeregi domów czynszowych z betonu. Produkt masowy dla średnio zamożnej do bardzo zamożnej klasy średniej. Postawione prawdopodobnie na jednej z bocznych ulic blisko centrum.

- Ale jedno musi pan wiedzieć - powiedział Silvers ostrzegawczo. - Jestem w lepszej kondycji fizycznej niż pan. Może pan to sobie spokojnie tłumaczyć lepszym odżywianiem. A przede wszystkim jestem posiadaczem pistoletu, ponieważ należę do zwycięzców. Miech więc pan nie żywi płonnych nadziei.

- Jasne - oświadczył Faust. - Co zamierza mi pan zaproponować?

- Niech pan idzie przede mną do drzwi wejściowych. Dalej pójdzie pan przez korytarz na lewo do windy. Żadnego nieprzemyślanego ruchu, ani teraz, ani później. Kapujesz?

- Kapuję!

Wsiadli do windy. Silvers nacisnął guzik z numerem szóstym. Wjechali na górę. Poszli potem - Faust przed Silversem - korytarzem w kolorze jasnego błękitu do drzwi, na których można było dostrzec numer „606”. Tutaj Silvers posłużył się przygotowanym kluczem.

- Przygotować do zwiedzania! - zawołał przez otwarte drzwi.

Pojawiła się kobieca istota - ciemnowłosa, jędrna, o płynnych ruchach - i rzuciła się na Silversa. Objęła go ramionami, dotykała go, wtulała się w niego. Faust szybko opanował swoje zdumienie. Przyglądał się temu okazowi kobiecej obfitości z rosnącym zachwytem.

- To jest Sitah, moja przyjaciółka - wyjaśnił Silvers. - Lub też, jak ktoś sobie życzy, moja obecna towarzyszka życia. A to jest - powiedział po chwili wskazując na Fausta - mój partner w interesach, o czym sam jeszcze nie wie.

Sitah zdawała się widzieć jedynie Silversa: - Chcesz najpierw coś zjeść, a może się czegoś napić, czy może coś jeszcze?

- Skarbie - powiedział Silvers z trudem uwalniając się od niej - mamy dzisiaj gościa, którym musisz się zająć przez małą godzinkę. Potem wrócę.

- Znowu chcesz mnie opuścić? - zakwiliła w tonie skargi. - Tak mało mam ciebie!

- Tylko bez tych tonów, kochanie - polecił Sid ciepło. - Nie powinnaś się zachowywać jak inne kobiety. To działa na mnie odstraszaająco.

Sitah wykazała się wysokim stopniem przystosowania. - Jak uważasz - powiedziała jedynie i odsunęła się od niego. Poprawiając sobie włosy i wygładzając sukienkę przyglądała się bacznie Faustowi. - Jak na niego wpadłeś?

- Jestem swego rodzaju chartem - wyjaśnił Faust uprzejmie.

- Przyjrzyj mu się nieco bliżej, Sitah, podczas, gdy będę. załatwiał parę spraw. Celem podniesienia naszego standardu życia. Ten oto Faust jest niebezpieczny tylko pod jednym jedynym względem. Usiłuje bowiem ciągle i na nowo zwiewać, odpływać, znikać. Rozumiesz?

Sitah skinęła głową. I dopiero teraz zaczęła się dokładniej przyglądać Faustowi. Czyniła to krowimi, aksamitnymi oczyma, przyjmując lekko ociężałą postawę. Wreszcie stwierdziła: - On wcale na takiego nie wygląda.

- Oczywiście, że nie wygląda na takiego, kochanie. Umie sprawiać wrażenie najniewinniejszej z owieczek. Nawet jeżeli mu się teraz wydaje, że jest czymś więcej niż chartem - a ma po temu specjalne powody.

- I z nim chcesz mnie samą zostawić?

- Ja nie chcę skarbie, ja muszę. Przecież nie mogę go ze sobą ciągnąć, jeszcze nie teraz. Zawali mi moje interesy, gdyż jeszcze nie ma pojęcia, jak są dobre, nawet dla niego.

- Chwileczkę Silvers! - wmieszał się Faust energicznie. - Nie może mi pan czegoś takiego insynuować.

- Posłuchaj go tylko, Sitah - on uważa ciebie za insynuację.

- Tego nie powiedziałem, Silvers! Chciałem jedynie dać wyraz temu, że nie można wymagać od panny Sitah, by była obciążona jeszcze moimi problemami. A nawet moją osobą.

- Z tym, kochany, jeszcze poczekamy. Ale przynajmniej jedno mogę już twierdzić o panu z niejaką pewnością: nie jest pan brutalnym, idącym bezmyślnie po trupach facetem. Więc nigdy nie użyłby pan - w stosunku do kobiety - czystej siły. Mam rację?

Faust milczał. Silvers roześmiał się. A Sitah zaczęła się z ulgą uśmiechać. Najpierw uśmiechnęła się do Silversa, potem dopiero do Fausta.

- Jedną sprawę już wyjaśniliśmy - stwierdził Sid Silvers. - Zamknę was tutaj oboje, swój klucz zabiorę ze sobą i klucz Sitah też. W tych mocnych drzwiach zamontowany jest zamek patentowy, nie można więc go wyłamać, Faust. Ponadto: fasada domu jest gładka, schodów przeciwpożarowych tu nie ma, no i wreszcie znajdujemy się na szóstym piętrze.

Jeżeli jednak mimo to usiłowałby pan stąd uciec, to Sitah w odpowiedniej chwili zrobi tyle hałasu, że zaalarmuje tym samym nie tylko cały dom, ale wręcz całą dzielnicę. Zrobisz to skarbie, prawda?

- Ależ oczywiście - jeżeli tego ode mnie oczekujesz.

- Oczekuję, Sitah. I z pewnością mnie nie rozczarujesz, jak cię znam, bo musisz sobie uzmysłwić następującą rzecz: ten oto Faust został mi powierzony, jak worek z pieniędzmi. Gdyby wymknął się spod mojej opieki, to cholernie dużo by mnie to kosztowało - ciebie zresztą też. Najzupełniej możliwe, że już nigdy więcej byś mnie nie zobaczyła.

- Niech pan już wreszcie znikną, Silvers! Zanim się panu uda jeszcze bardziej zaniepokoić pannę Sitah. A to jest absolutnie niepotrzebne. Zostanę tu do pańskiego powrotu.

- Daje pan słowo honoru?

- Więcej niż tylko słowo honoru - obiecuję to panu. Z przyklepaniem rąk, jeżeli pan tego chce, tak jak przy ubijaniu interesu. Ale zapamiętaj sobie, Silvers, nie po to, by ci zrobić grzeczność, lecz ze względu na pannę Sitah. Nie chcę, żeby się martwiła.

- Dobrej zabawy! - zawołał Silvers wesoło zanim zniknął.

\*\*\*

Siedzieli i przyglądali się sobie nawzajem. Przez wiele minut. Nie wymieniając ze sobą ani jednego słowa. Minął tak prawie kwadrans.

- Co mam z panem począć? - zapytała wreszcie Sitah.

- Co pani tylko chce - odparł Faust uprzejmie.

Siedział na krześle wyściełanym skórą, ledwie na jego brzeжку, sztywno i wyczekująco. Sitah usiadła wygodnie na sofie, skrzyżowała nogi i obserwowała go z ostrożnym zainteresowaniem.

- Rzeczywiście nie wygląda pan na uciekiniera - powiedziała po chwili wybuchając śmiechem. - Pana wygląd mówi tylko, że wymaga pan czyszczenia. Chce się pan umyć?

- Zgaduje pani moje najgłębsze myśli - zapewnił z wdzięcznością Faust. - Czy byłoby to możliwe?

- Mam w pełni wyposażoną łazienkę - wyjaśniła Sitah nie bez dumy. Wstała i otworzyła jedne z drzwi. - Może pan jej użyć, lecz proszę nie zamykać za sobą drzwi.

- Wspaniale! - krzyknął Faust na widok szerokiej umywalki. - Już chociażby z tego powodu jest pani dla mnie aniołem.

- Mam nadzieję, że tylko z tego powodu, bo nie chcę nikogo rozczarować.

- Nie istnieje taki, którego mogłaby pani rozczarować.

Odkręcił kurki, rozejrzał się i znalazł przygotowane dla Silversa przybory toaletowe. Pośpiesznie obnażył swój tors.

- Kawy? - zapytała Sitah wycofując się. Drzwi zostawiła otwarte. Dostrzegła jeszcze, że potakuje wyraźnie, a potem, jak zamurowany, wpatruje się w lustro: był zdumiony swoim wyglądem.

Po kwadransie pojawił się zaróżowiony, wesoły i wdzięczny. Sitah przyglądała mu się z wyraźnym uznaniem. - Wygląda pan teraz znacznie bardziej po ludzku.

- Cieszę się panienko Sitah. Przypominają mi się czasy, w których jak mi się zdaje, wyglądałem jak człowiek. Sięgnął po przygotowaną kawę, powąchał ją z rozkoszą i upił trochę. - Wspaniała! - zawołał. - Będę mógł z ręką na sercu powiedzieć, że zawdzięczam pani jedno z najcudowniejszych przeżyć ostatnich lat.

- Niech pan nie opowiada lepiej takich rzeczy - powiedziała przeciągając się Sitah mile polechtana pochlebstwem. - Nie mogłabym sobie nigdy na to pozwolić, w każdym razie przy Sidzie Silversie.

- Długo go pani zna? - zapytał Faust.

- Jak długo żyję, świadomie żyję, chciałam powiedzieć. - Zamknęła oczy. - Moi rodzice są bardzo biedni. Gdy byłam już dostatecznie duża, by zarabiać, próbowałam tańczyć. Ale na szczęście tylko przez jeden wieczór. Bo przypadkowo na sali był Sid i zabrał mnie ze sobą. I od tego czasu żyję bez kłopotów.

- A czy szczęśliwie?

- Czy to nie to samo?

- Być może - przyznał Faust.

- Jest pan pierwszym mężczyzną, którego Silvers tu przyprowadził. I to mnie niepokoi. Bardzo. Dlaczego pan tu jest?

- Nie wiem - wyznał Faust - najprawdopodobniej ma zamiar robić ze inną interesy. Zdaje się, że przykładą wielką wagę do źródeł zarobku.

- Ale czego on jeszcze chce, przecież ma już wszystko?

- Tak, ma panią.

Sitah spojrzała na niego promiennie dużymi, ciemnymi oczyma. - Pan rzeczywiście jest niebezpieczny - powiedziała szybko oddychając. - Jest pan taki, jakim opisał pana Sid: wykorzystuje pan każdą okazję.

- Ale z uwzględnieniem Silvers'a. Na nic więcej nie mogę sobie pozwolić w mojej obecnej sytuacji. Chyba, że zależy pani na tym.

- A dlaczego?

Faust głośno upił kawę. - Pani chce go przy sobie utrzymać, lecz jeżeli on, z moją pomocą, zechce rozszerzyć swoje interesy, to mogą pojawić się kłopoty. Te interesy mogą go od pani odciągnąć. Co jest dla mnie absolutnie niepojęte, z czym jednak należy się w jego przypadku liczyć.

- Pan jednakże, na jego miejscu...

- Nie ma żadnej wątpliwości, na co bym się zdecydował. Wyłącznie na panią. Ale nie jestem na jego miejscu. Za kilka godzin znowu wyląduję w jakiejś ziemnej norze.

\*\*\*

Gdy około siódmej rolls-royce pułkownika Nelsona zbliżał się do podlegającego mu obozu, Sid Silvers dostrzegł po pierwsze, że warta zewnętrzna na drodze była wzmocniona i wyposażona w ciężką broń. Zwrócił na to uwagę swojemu szefowi.

- Z jakiego powodu to wzmocnienie i wyposażenie? - zapytał pułkownik wartowników. - To odpowiada drugiemu stopniowi gotowości. Kto go zarządził?

- Major Turner, sir! Rozkaz bezpośredni!

Nelson kiwnął głową nie okazując najmniejszego zaskoczenia. A nawet zaczął się uśmiechać do Silversa. Ten dyskretnie dodał gazu i rolls-royce zaczął dostojnie sunąć w kierunku obozu.

A tam, przy zewnętrznej bramie, pojawili się po krótkim telefonie w pozornej harmonii po kolei: major Turner, kapitan Moone, sierżant McKellar.

Pułkownik wysiadł z rolls-royca z godnością. Zapadło chwilowe, kłopotliwe milczenie. Oficerowie i starszy sierżant salutowali wytrwale. Nelson przyglądał im się dokładnie.

Potem zapytał: - Panowie, co się tu znowu dzieje?

Kapitan Moone czuł się najpewniej, więc jako pierwszy zabrał głos. - Zdarzył się przykry wypadek, sir, chociaż jeszcze nie w pełni wyjaśniony.

- Przykry? - zapytał pułkownik z zadowoleniem. - Dla kogo? I dlaczego od razu drugi stopień gotowości? Ostatecznie jest to zarządzenie, które przysługuje jedynie komendantowi tego obozu.

- Lub też, sir, zastępcy pełniącemu akurat jego obowiązki - wyjaśnił kapitan Moone pospiesznie. - W tym wypadku majorowi Turnerowi.

- A więc to pan? - zapytał pułkownik. - To pan jest odpowiedzialny za ten niezbyt radosny stan rzeczy?

- Ale nie bezpośrednio, sir! - pospiesznie zapewnił major Turner. - Tylko w takim

zakresie, w jakim jestem odpowiedzialny za zewnętrzne bezpieczeństwo tego obozu.

- I z jakim rezultatem, majorze?

- Z żadnym, w jakikolwiek sposób dostrzegalnym -jak dotychczas! - musiał przyznać T.S. Turner.

- Sir - powiedział kapitan Moone przejmując zřęcznie inicjatywę - ewentualną ucieczkę zameldowano mi o trzeciej trzydzieści. W grupie roboczej, przejętej pisemnie, brakowało jednego człowieka.

- Kto przejął ją podpisem? - zapytał pułkownik.

- Ja, sir! - musiał przyznać się major Turner. - Ale to było czysto rutynowe postępowanie.

- Rutyna nie wyklucza odpowiedzialności.

- Ja jedynie podpisałem, sir! A grupa została przejęta przez sierżanta Silversa.

Sierżant Silvers wyjaśnił spokojnie: - Zatrudniłem tych ludzi. Byłem odpowiedzialny za wyniki ich pracy, a nie za nich samych.

- Odpowiedzialność za to skandaliczne zajście można uznać za ustaloną! - powiedział pułkownik Nelson. - Lecz mnie interesuje rzecz następująca: dlaczego nie zostałem natychmiast o tych wydarzeniach powiadomiony? Przecież poinstruowałem pana kapitanie, gdzie można mnie w Kairze znaleźć.

- Oczywiście, sir - odparł kapitan z widoczną potrzebą silnych przeżyć. - Istniała jednak jeszcze nadzieja, podtrzymywana usilnie i wielokrotnie przez majora Turnera, że sprawa ta szybko się wyjaśni. Chociaż nie chodziło o nikogo innego, jak o tego Fausta.

- No i?

- Przepraszam, sir - jest to ten sam Faust, który już wielokrotnie...

- Mogliście sobie zaoszczędzić tego całego teatru, gdybyście tylko zadzwonili do mnie do Kairu. Wszystko bym wam wyczerpująco objaśnił.

Major Turner, kapitan Moone oraz sierżant McKellar mogli teraz podziwiać nieprawdopodobnie niezależnego pułkownika. Nelson wyraźnie rozkoszował się tym stanem. I przeciągał go w czasie.

- Silvers - powiedział po dłuższej chwili - pokażemy panom nasz polów.

- Tak jest, sir - odpowiedział ten z uśmiechem. Obszedł rolls-royca w wystudiowany, celowo powolny sposób, by osiągnąć możliwie największe napięcie. Po czym otworzył bagażnik.

Oczom wszystkich ukazał się Faust.

\*\*\*

- Przeczuwam coś złego - oznajmił kapitan Müller-Wipper mocno przytłumionym głosem. - Coś się szykuje, czuję to w moczu.

Przed nim, w pomieszczeniu administracyjnym niemieckiej komendantury obozu, stali: porucznik Kern, odpowiedzialny za porządek i bezpieczeństwo, obok porucznik Langohr, jego zastępca, a tym samym, w razie konieczności, jego następcą. Za Müllerem usadowił się major Rossberg. I on zdawał się być zaniepokojony

A powód do niepokoju miało tutaj wielu - Müller-Wipper był o tym przekonany. Podczas spotkania porannego z porucznikiem Hartmannsweilerem, przed tylnymi barakami, ten także i tutaj wpływowy oraz respektowany oficer zwrócił się do niego w swoim jak zawsze jasnym i dosadnym stylu: - Zaczyna tu strasznie śmierdzieć. Jeżeli wy, z komendantury obozu, nie potraficie usunąć tego smrodu, to znaczy, że się nie nadajecie.

Była to jawna bezczelność, ale też pogrożka nie całkiem bez pokrycia. Hartmannsweiler prowadził tutaj jeszcze swoją wojnę - jego wrogami byli, tak jak i przedtem, Brytyjczycy. Z nimi nie zamierzał się układać. Nikomu w tym obozie nie wolno było się układać. On jedynie ostrzegał.

Sytuacja wyglądała następująco: pewna grupa oficerów była na świeczniku. A Brytyjczycy stosowali naciski. Musiało się wydarzyć coś rozstrzygającego.

Rossberg powiedział również przytłumionym głosem: - Kontrole są częstsze, apele się przedłużają, wymagania strażników przekazywane są z coraz większą bezceremonialnością - zagrożenie rośnie. A czynnikiem wyzwalającym jest ten Faust.

- Musimy go szybko załatwić - zaproponował Kern.

- Szybko i skutecznie! - powiedział Langohr.

- Nie tak głośno! - przestrzegł kapitan i wskazał na drzwi do przylegającego pokoju. - Pułkownik śpi i nie chcemy mu w tym przeszkadzać.

Tego nie chciał nikt. Rossberg powiedział: - Nie chcemy go obciążać problemami wewnętrznymi, które winny być praktycznie dawno załatwione.

I ciągnął dalej rzucając badawcze spojrzenie Kemowi i Langohrowi: - Przez kompetentnych, zaufanych ludzi.

- Już się do niego dobrałem i potraktowałem tego gówniarza w aksamitnych rękawiczkach - relacjonował Kern. - Dobrze radziłem temu skurwielowi. A ten co mi odpowiedział?

- Żebyś go w dupę pocałował - domyślił się Müller.

- Mniej więcej - potwierdził Kern gwałtownie wzburzony. - Najchętniej

wypolerowałbym mu tę jadaczkę. Ale tego nie da się przecież tutaj zrobić, bo nigdy nie jest się całkiem wśród swoich. Zawsze znajdzie się ktoś niepożądany w pobliżu. A świadkowie nie są przy tym specjalnie potrzebni.

- Ja również usiłowałem przemówić mu do rozsądku, ale ten łobuz po prostu nie słucha. Powiedział do mnie jedynie: „Nie ze mną takie numery” - opowiadał Langohr.

- Naprawdę niebezpieczny człowiek - zapewnił major Rossberg.

- Zachowuje się tak, jakby nic go nie obchodziło. A tymczasem można udowodnić, że macza w pewnej sprawie swoje brudne łapska. McKellar ma od niedawna kartki dla tego Silvera - na których wypisane są nazwiska. Nazwiska fachowców. A te może mieć jedynie od Fausta.

- To nie może trwać tak dalej! - wykrzyknął Müller-Wipper i spojrzał znacząco na Kerna, a potem na Langohra.

- Jak i gdzie można go najbezpieczniej i najskuteczniej załatwić?

- Tutaj - w komendanturze! - zaproponował porucznik Kern ze znajomością rzeczy.

A Langohr zauważył: - Tutaj przynajmniej nikt nie będzie przeszkadzał.

- Nie możemy tego jednak wymagać od pułkownika, on nie czuje takich spraw - zdecydował Müller.

- Musielibyśmy dysponować jakimś wyizolowanym pomieszczeniem, panie kapitanie - zaproponował ponownie porucznik Kern.

- Co już wcześniej proponowałem - zapewnił porucznik Langohr. - To, co jest dobre dla Jabłońskiego, grabarza, powinno pasować i nam, odpowiedzialnym za bezpieczeństwo.. Nam też przysługuje taki składzik.

- W rachubę wchodzi jedynie szopa numer trzy - powiedział Kern. - Obecnie przechowywane są tam narzędzia. Wspaniale nadawałaby się na coś w rodzaju wartowni, gdzie równocześnie moglibyśmy przeprowadzać przesłuchania.

- Niezły pomysł - powiedział kapitan w zamyśleniu i spojrzał na majora Rossberga.

- Przy czym - oświadczył tenże - nie może dojść do jakichkolwiek nieporozumień, z Brytyjczykami, ma się rozumieć. Uważają co prawda, że należy nam się rodzaj samorządu, ale najmniejsze przejawy samosądu zostały zakazane pod najcięższą karą.

- Będziemy tam jedynie rozmawiać - zapewnił Kern.

- Najchętniej z Faustem! - Langohr mrugnął porozumiewawczo. - I nie chciałbym uprzedzać przy tym mojego kolegi Kerna.

- Pułkownik wyda pozwolenie - poddał pod rozagę major Rossberg - ale musi jeszcze uzyskać zezwolenie Brytyjczyków.

- To się da zrobić - stwierdził ufnie Müller-Wipper. - Jemu i tak jest tu za głośno - już wielokrotnie przerwano mu jego popołudniową drzemkę. Kapitan kiwnął równocześnie do Kerna i Langohra. - Dostaniecie swoją szopę, ale chcę wreszcie widzieć przekonujące rezultaty!

\*\*\*

- Nie jesteś całkiem normalny, Sid - powiedział Ken McKellar prawie ciepło. - Żądasz ludzi, którzy należą do mojej grupy specjalnej i to po nazwiskach.

- Nie rób z siebie ważniaka, Ken - odparł krótko Silvers. - Ja żądam, a ty dostarczasz. Ostatecznie mamy ze sobą umowę. A może potrzebujesz specjalnego polecenia od pułkownika osobiście? Mogę się o nie postarać - jeżeli tak bardzo ci na tym zależy.

- Sid, jeżeli tylko chcesz, możesz zainkasować te tysiąc i sześćdziesięciu ośmiu ludzi, ale nie tych stu dwudziestu z niemieckiej komendantury obozu, a już na pewno nie moich dwunastu, z mojej grupy specjalnej.

- Ken, jeżeli masz na myśli swojego pierwszego pipera, Fausta, to wcale nie chcę go zainkasować, lecz jedynie wypożyczyć.

- I Schaffgota też?

- Żeby nasz Faust nie czuł się taki samotny - już taki jestem wielkoduszny. Niezależnie od tego Schaffgott jest całkiem zmyślnym elektrotechnikiem.

- Ale i całkiem niezłym muzykiem. Praktycznie nie mogę zrezygnować z żadnego, jeżeli nie chcę zawalić roboty.

A myślał tutaj o swoim zespole.

- Ależ nikt od ciebie tego nie wymaga - zapewnił Silvers prawie serdecznie. - Faust ma pozostawać pod twoją opieką. U ciebie jest przynajmniej bezpieczny. I u mnie jest bezpieczny. Co znaczy, że my obaj zapewniamy mu najlepszą opiekę. Więc podzielimy się nim. Przy czym mogę ci zagwarantować, że będzie do twojej dyspozycji podczas każdej wyznaczonej godziny ćwiczeń twojego zespołu.

Ken McKellar stał z Silversem przy wewnętrznej bramie i myślał w najwyższym skupieniu nie szczędząc na to czasu. Po czym powiedział zadumany: - Zdaje się, że ten Faust jest dla ciebie wiele wart. Co?

- A co byś powiedział na dwanaście butelek whisky, wyleżakowanej whisky, oczywiście. Do tego trzy skrzynki słodyczy - dla twojej, i naszej również, przyjaciółki, siostry przełożonej.

- Nieźle - przyznał starszy sierżant zwlekając jednak z odpowiedzią.

- A może bardziej zależy ci na kilku instrumentach? Nowiusieńkich. Najlepsza robota prosto ze Szkocji. Mógłbym je dostarczyć - zarówno kobzy jak i bębny. Powiedzmy trzy sztuki - po trzy sztuki każdego instrumentu.

- Brzmi to cholernie wielkodusznie, Sid - stwierdził McKellar pod wrażeniem. - Twoja propozycja wychodzi naprzeciw moim szczególnym życzeniom. Bo chciałbym powiększyć mój zespół.

- Zrób to, Ken! - odparł Silvers z entuzjazmem. - Rozszerz swoje stowarzyszenie - dla dobra muzykalnej części ludzkości.

- Wszystko porobiło się cholernie skomplikowane - wyznał Ken McKellar zatroskany. - I to w ciągu jednej nocy. Dotychczas wszystko było jasne, przejrzyste i uporządkowane - i nagle każdy się miesza w nie swoje sprawy. Każdy zgłasza swoje specjalne życzenia. Przypomina mi to walki kogutów. Krótko i węzłowato, Sid - okazało się, że jest tu kupa niewrażliwych na muzykę ludzi. Z tobą na czele, mój przyjacielu.

- Musisz się do tego przyzwyczaić - zalecił Silvers. - Ten teatr, który się tutaj urządza, może być jedynie skromnym początkiem. Zdaj się na mnie, Ken - możesz na tym jedynie zyskać.

- No dobrze, Sid - będziesz miał swoich wybranych ludzi, nawet jeżeli będę musiał rozłożyć na części pierwsze całą niemiecką komendanturę obozu, a z Turnerem urządzić publiczne walki bokserskie. Powierzę ci nawet mojego Fausta, najlepszego człowieka w moim zespole. Ale jeżeli ci zwieje, to niech Bóg ma cię w swej opiece.

- Spokojnie, zachowamy go dla siebie. Będę na niego uważał jak na swój portfel. A jeżeli mnie rozczaruje, to jeśli o mnie chodzi, może grać już do końca życia na kobzie w twojej drużynie.

- Czego od niego oczekujesz? Jakiegoś numeru cyrkowego?

- Chcę się wreszcie dowiedzieć, czy jest człowiekiem, za jakiego go uważam lub też jestem zmuszony uważać, po tym wszystkim, co do tej pory nawyprawiał.

\*\*\*

- Witam serdecznie! - zawołał pułkownik Nelson i podszedł do pułkownika Schwerina. - Cieszę się, że przyjął pan moje zaproszenie.

- Uważałem je za zobowiązujące polecenie - odparł trochę sztywno przybysz.

- Ależ, szanowny panie, proszę bez tej ceremonialności.

Pułkownik otworzył drzwi do swojego pokoju służbowego szerokim, zapraszającym gestem.

- Traktuję to nasze tutaj spotkanie jako prywatną, ludzką rozmowę. Powiedzmy w cztery oczy, jeśli pan woli, między oficerami, o ile to panu odpowiada.

Pułkownik von Schwerin odziany był w swój pedantycznie czysty, ale już mocno pognieciony i zużyty mundur letni. Z trudem oparł się tej skoncentrowanej uprzejmości. Usztywnił się, ułożył swoją twarz wojownika w szacowne fałdy i poruszając się kanciasto zajął miejsce w przygotowanym dla niego fotelu.

- Co mogę panu zaproponować, panie pułkowniku? - zabrzmiał uprzejmy głos pułkownika Nelsona. - Lekkie jak piórko wino mozelskie z Traben-Trarbach, z winnicy niejakiego doktora Melsheimera, o ile znane jest panu to nazwisko?

Pułkownik Hennig von Schwerin-Sommershausen uważał za stosowne skinąć jedynie potakująco głową. Usiłował przy tym myśleć o ważnych sprawach, pomysłach i problemach zasadniczych, które chciał omówić z brytyjskim komendantem. Na co się wspólnie z majorem Rossbergiem i kapitanem Müller-Wipperem przygotował. Lecz pułkownik Nelson odwoził go od tego bardzo skutecznie.

- Niestety nie udało mi się zdobyć niemieckich cygar przedwojennej jakości - powiedział Nelson z żalem. - Za to, za pół godziny, zostaną nam zaserwowane kanapki. Odpowiada to panu?

Pułkownik von Schwerin był pokonany, ale usiłował jeszcze rozprawić się po męsku z tym wzruszeniem. Starając się o rzeczowość powiedział: - Chętnie skorzystam z okazji porozmawiania z panem o pewnych budzących podejrzenia zajściach w tym obozie.

- Panie pułkowniku, ależ ja pana proszę! - odparował pułkownik z serdecznością, przed którą nie ma ucieczki. - Uwarunkowania konkretnej sytuacji to jedna sprawa, a pewna ponadczasowa gotowość porozumienia między sprawdzonymi oficerami - druga. Nie uważa pan, pułkowniku?

- Definicja jak najbardziej do przyjęcia. Bardzo zgrabna - naprawdę. Chodzi jedynie o to, by zrobić z niej jak najlepszy użytek.

- A czyż tak się nie dzieje? - zapytał Nelson z dyskretnym uśmiechem. - Chciałbym zapytać, czy pan też walczył pod El Alamein?

- Pan także? - zapytał z nadzieją von Schwerin.

On także! Wyglądało to tak, jakby się szukali i odnaleźli. Braterstwo broni. I choć po przeciwnych stronach, to jednak towarzysze walki - dzięki przeżyciom pozostającym ze sobą w ścisłym związku.

- Przypomina pan sobie jakieś szczegóły? - chciał natychmiast dowiedzieć się pułkownik Nelson.

- Każdy najmniejszy.

- Czy akcję dywizji pancernych też?

- Niestety tak! - potwierdził pułkownik. - Ponieważ wprowadzenie do akcji na pustyni ciężkich czołgów uważam za absurdalne. I zawsze tak uważałem. Ostrzegałem, że utkną w piasku. Osobiście zwróciłem na to uwagę Rommla.

- A ja Montgomery'ego!

Spojrzeni na siebie - i było tak, jakby dopiero teraz się dobrze poznali. Kiwnęli do siebie porozumiewawczo głowami i podnieśli szklanki.

- To jest nasz temat - powiedział pułkownik Nelson z nieoczekiwanym ożywieniem. - Strategia i taktyka pod El Alamein. Powinniśmy się tym dokładniej zająć. Nie uważa pan?

Pułkownik von Schwerin był tego samego zdania. Przysunął swój fotel bliżej stołu i tym samym bliżej butelki z mozelskim winem i pudełka z cygarami. Lecz tylko po to, by zestawić je łącznie ze szklankami na podłogę. Bo na stole pułkownika została rozpostarta mapa sztabu generalnego z El Alamein w jej punkcie centralnym.

- My zaatakowaliśmy w tym kierunku - powiedział Nelson przesuwając ręką ze wschodu na zachód po mapie. - A gdzie wy staliście?

\*\*\*

- Faust? - zapytał Sid Silvers i uśmiechnął się. - Cieszy się pan?

- Z czego, sierżancie?

- Z małej godzinki rozrywki w środku Kairu. I to nie tylko w moim towarzystwie. Sitah również będzie w tym uczestniczyć. Nie jest pan zachwycony?

- W zasadzie tak, Silvers. Ale pytam się: co pan sobie po tym obiecuje?

- Mniej więcej tyle samo, co pan - nawet jeżeli jest to zupełnie coś innego. Ale szybko się pan w tym połapie, jak podejrzewam.

Sid Silvers mógł zająć się Faustem, podczas, gdy żądana grupa specjalna została zarejestrowana i załadowana na ciężarówkę. Nadzorował to jeden z liczącego dwie do czterech osób grona ścisłych współpracowników sierżanta, tym razem kapral Copland. Kapral Copland, sportowiec, należał do tych godnych zaufania naganiaczy, których pełno na tym świecie pełnym rzeźnego bydła, ostro trzymających w garści, lecz przy tym niekoniecznie brutalnie. W ciągu trzech minut upchnął całą bandę. Jego dzienny przydział przy tego rodzaju zadaniach specjalnych wynosił trzy butelki whisky lub też trzydzieści puszek portera.

- Faust usiądzie przy mnie, z przodu - zarządził Silvers. - A ty, Copland, zostaniesz z tyłu i będziesz pilnował, żeby nikt nie dobrał się do specjalnego przydziału, a strażnicy nie

zaczęli kimać. I jazda, do Kairu!

Podróż przebiegała sprawnie, choć niespecjalnie wygodnie - wojskowa ciężarówka to nie rolls-royce. Kiedy się opuściło plandekę, powietrze się zagotowywało, kiedy się ją podniosło, to z kolei kurzyło się. Ci z tyłu, na ciężarówce, mieli wrażenie, że się duszą. Więc milczeli głucho.

Na przedzie natomiast w przewiewnej kabinie kierowcy, gdzie siedział Faust, Silvers i kierowca, niejaki Peter O'Casey - najczęściej tępo milczący człowiek z dobrotliwą twarzą konia - miały miejsce wesołe i nic nie znaczące rozmowy. Wyglupiali się, zabawiając się wzajemnie.

Gdy dotarli do Kairu, Faust milczał i uważnie obserwował Silversa przy załatwianiu swojego pierwszego ze zwykłych interesów. Wszystko działo się zgodnie z planem, szybko i zgrabnie.

Ciężarówka wjechała najpierw w podwórko należące do brytyjskiej jednostki. Tutaj czekał już na nią jeden z urzędników administracyjnych. - Dziesięciu specjalistów i strażnicy, sir! - krzyknął do niego Silvers.

- Na siedem godzin! Opłata za wypożyczenie jak ustalaliśmy - do uiszczenia z góry, bardzo proszę.

Podano mu do kabiny kierowcy dwa kartony, z dwunastoma butelkami whisky i ginu w każdym. Silvers sprawdził zawartość szybko, lecz z wytrawnością znawcy. Potem powiedział: - Okay, sir! I zarządził: - Następny przystanek!

- Nieźle - skomentował Faust z uznaniem. - To chyba się opłaca.

- Małe ryby! - wyjaśnił Sid SiWers. - Nie więcej niż zarobek uboczny - przynęta na rekiny.

Zaraz potem dostarczyli drugą część swojego ładunku - dziesięciu kolejnych fachowców, do tego drugiego ze strażników i kaprała Coplanda. Tym razem grupę specjalną przyjął porucznik, który chciał wypucować jakieś kasyno. Silvers załatwiał takie rzeczy bez problemów i zaczynało się o tym mówić w Kairze. Świadczeniem zwrotnym był tym razem karton z puszkowaną kawą.

- To byłoby na tyle! - powiedział sierżant do kierowcy ciężarówki. - Następnym i jak na razie ostatnim celem będzie mój prywatny adres.

O'Casey, kierowca, kiwnął głową ze znajomością rzeczy. Poprowadził ciężarówkę okrążając egipskie Muzeum Narodowe na jedną z bocznych śródmiejskich ulic - w okolicę, którą Faust zdążył już poznać: tunel czynszowych kamienic z budynkiem, na którego szóstym piętrze mieszkała Sitah.

- Masz godzinę przerwy, O'Casey - zarządził Silvers. - Możesz ją wykorzystać, jak chcesz. Kieszonkowe - jeden brytyjski funt. Po godzinie zameldujesz się tutaj z powrotem. Faust będzie mi towarzyszył.

Faust towarzyszył mu aż do apartamentu, w którym stała Sitah. Czekała. Poświęcając całą swoją uwagę Sidowi Silversowi. Zupełnie nieskrępowana. Uśmiechała się przy tym do Fausta.

- Rozgośćmy się - powiedział potem Sid. - Niech się pan nie krępuje, Faust - niech pan zdejmie z siebie tę obrzydliwą szmatę.

Faust się nie krępował. Zdarł z siebie swoje zapocone odzienie tropikalne. Z ulgą wyciągnął ręce. I zauważył: - A teraz kąpiel i czysta bielizna a kolejna kulminacja mojej egzystencji zostanie osiągnięta.

- To się da zrobić! - Silvers puścił oko do Sitah.

- Kompletny zestaw mojej bielizny jest do pana dyspozycji a nawet mój szlafrok. Sitah wszystko przygotowuje.

- A co nastąpi potem, Silvers - pierwszy rachunek? - zapytał Faust.

Silvers usiadł na kanapie stojącej w dużym pomieszczeniu. Przyciągnął Sitah do siebie, na co obojętnie zezwoliła. I głaszcząc ją prawie automatycznie, powiedział: - Muszę pana zostawić samego z Sitah. Może to potrwać godzinę albo i dłużej. Zakładam, że nie jest pan zbyt na mnie wściekły z tego powodu. A może zechce pan być mi wdzięczny?

- Ale na jakich warunkach odbywa się to wszystko, Silvers?

- Niech pan popatrzy - powiedział Silvers i wyjął z portfela kilka kartek papieru, które wręczył Faustowi. - Co pan na to?

Ten najpierw zdawał się zwlekać z oględzinami. Potem, po szybkim spojrzeniu, powiedział ostrożnie: - Prawdopodobnie dokumenty w języku arabskim.

- To są umowy - wyjaśnił Silvers starając się zachować cierpliwość. W dodatku umowy kupna. W sumie dwie. Jedna na dom w śródmieściu, druga na łódź mieszkalną nad Nilem. I pan ma je dla mnie sprawdzić.

- Dlaczego właśnie ja?

- Ktoś to musi zrobić, ktoś, komu mogę zaufać. A jest nim w tym stanie rzeczy pan.

- Jedną chwilkę! - wykrzyknął Faust zaniepokojony. - Jak pan wpadł na pomysł, że znam arabski?

- Ponieważ, jak pan wie, zajmowałem się panem, Faust. I przy tym odkryłem między innymi, że musi być pan niezwykle językowo uzdolniony.

- Przecenia mnie pan, Silvers! - stwierdził Faust podekscytowany. - Przyznaję, mówię

dość płynnie po angielsku i trochę po francusku. Ale dlaczego pan zakłada, że znam również arabski?

- Musiał się go pan nauczyć podczas kampanii afrykańskiej - wyjaśnił Sihers. - Być może w jakimś obozie zaopatrzenia, u jakiegoś szejka lub też w łóżku tancerki uprawiającej taniec brzucha. Albo coś w tym guście. W każdym razie zna pan.

- Jest pan w tym momencie bardzo pewny swego, Silvers, właściwie dlaczego?

- Bo mam mózgowicę i potrafię jej czasami używać. Wiem na przykład - od pana przyjaciela Schafgotta i od McKellara - że wlecze pan ze sobą arabskie książki i nawet je czyta. Ale najważniejszą wskazówkę zawdzięczam majorowi Turnerowi.

- Akurat jemu?

- Kochany przyjacielu - ów Turner może być ograniczonym idiotą, aroganckim bucem, ale w zakresie środków bezpieczeństwa jest specjalistą. Wie nawet, albo przynajmniej się domyśla, jak można pana podejść.

- Ode mnie?

- Turner zadał sobie pytanie: „Dlaczego on chce uciec?” Bo taka próba ucieczki, nawet udana, jest w tej pustynnej okolicy zupełnie bezsensowna. Istotnym punktem jest pytanie: Co zamierza zrobić dalej?

- Zawierzyć swojemu szczęściu.

- Bzdury, Faust. Pan nie jest błędnym rycerzem, pan raczej zawiera swojemu rozumowi. I dlatego Turner zupełnie słusznie zrozumiał, na co pan rzeczywiście liczy. Jediną pana szansą przedostania się gdzieś dalej po ucieczce jest znajomość arabskiego.

Dlatego jestem tak pewny swego. A tym samym jest pan dla mnie właściwym człowiekiem.

- A gdyby to nie była prawda?

- To może pan dalej dusić się w obozie, dmuchać w tę pańską kobzę i wydać się w łapy niemieckiej komendantury obozu, która naprawdę pana nie kocha. Ale może pan również - jeżeli udostępni mi pan swoją znajomość arabskiego - ucztować ze mną, pić i oprócz tego zabijać czas w sposób najprzyjemniejszy z możliwych. Prawda Sitah, kochanie?

- Zawsze do twoich usług! - odpowiedziała Sitah, popatrując ostrożnie na Fausta. Ale króciutko, bo jej główne zainteresowanie skierowane było na Silversa. Przynajmniej tak długo, jak był obecny.

- Więc jak to z panem jest, przyjacielu? Nie zechciałby się pan wreszcie zdecydować?

- Najpierw przestudiuję pańskie dokumenty - powiedział Faust. - Będę na to potrzebował około godziny.

- Dam panu na to nawet dwie godziny - powiedział uradowany Silvers podnosząc się.  
- W wolnym czasie Sitah na pewno chętnie pana zabawi.

- Jak sobie życzysz - odparła Sitah.

Zanim Sid Silvers opuścił apartament 606 zdążył jeszcze uściślić: - Ale moi państwo, proszę bez przedwczesnej, źle pojętej romantyki. Tu w grę wchodzi interesy. Pamiętajcie o tym z łaski swojej.

\*\*\*

- Jest na ciebie zapotrzebowanie - powiedział jeden z policjantów obozowych, nachylając się nad Faustem groźnie. - Komendantura prosi! Rozkaz służbowy!

- Nic na to nie można poradzić, co?

Faust obejrzał dokładnie człowieka od porządku i podniósł się z siennika wypchanego słomą ryżową. Był to dzień jak każdy inny w obozie: niebo było wysoko, upał przygniatał wszystko, pustynia zdawała się nie mieć końca. Ludzie leżeli dookoła bez życia.

Również Schafgott prawie się nie poruszył, gdy zapytał wkładającego buty Fausta: - Nasza stała umowa, tak?

Faust potwierdził. - Nie więcej niż godzina! Więcej im nie daję!

Maszerowali gęsiego, jednak nie w kierunku niemieckiej komendantury, lecz skręcili w bok w stronę szopy numer trzy.

- Nasz terenowy oddział, dla specjalnych klientów, takich jak ty.

Mężczyzna otworzył drzwi i Faust został wepchnięty do środka. Znalazł się naprzeciwko porucznika Kerna, którego różowa twarz błyszczała jak naoliwiona. Połyskiwała zza czegoś co miało być biurkiem i unosiła się raz w tę raz w inną stronę zbliżając się do Fausta: Kern wychodził Faustowi naprzeciw.

- Serdecznie witam w naszym nowym ośrodku - powiedział. Potem kiwnął na swojego pomocnika od porządku i tenże zniknął. - A teraz jesteśmy sami.

Pierwszy obecnie stróż porządku obozu niemieckiego zbliżył się do Fausta jeszcze bardziej i wydawało się, że jest skłonny uderzyć go w ramię albo i gdzie indziej. Faust jednak zrobił unik. Kemowi to schlebilo.

- Chyba nie masz już pełnych portek? Jeszcze za wcześnie. Być może, że zostaniemy jeszcze przyjaciółmi.

- Nie sądzę, bo nie mogę znieść zapachu takiego jak pan. Co znaczy niemało przy smrodzie, jaki tu panuje.

Człowiek z twarzą niemowlaka pozostał opanowany, jedynie jego dłonie rzeźnika

złożyły się, jakby szukał pocieszenia w modlitwie. Przekrzywił lekko głowę i powiedział: - Niedawno przecież ci powiedziałem: Faust - rozkręcasz tutaj swój własny teatr, a tak nie można, bo tylko my jesteśmy kompetentni w takich sprawach. Czy wreszcie uprzytomniłeś to sobie?

- Zawsze to było dla mnie jasne, panie Kern, ale też zawsze mi to wisiało.

Kern sięgnął, jakby dla zabawy, po kij leżący na jego biurku, coś w rodzaju masywnej linijki około metrowej długości. Po czym ściągnął wargi, najwidoczniej usiłował spreparować uśmiech. Potem powiedział: - Udajesz prowokatora, co? Robisz swoją rewolucję, żeby szybciej dopaść żłobu?

Pomachiwał przy tym trochę swoją linijką, lecz po chwili odezwał się prawie łagodnie: - No dobrze Faust, może zaczniemy inaczej: Co ma być? Nie jesteśmy małostkowi, a ja jestem upoważniony do przekazania ci propozycji. Czy mamy cię wcielić do składu komendantury, co automatycznie oznacza wyższą rację żywnościową? Możesz przy tym wybierać między kontrolą wydawania posiłków, sprzątaniami w sztabie, możliwe, że nawet u pułkownika, lub między pracą u mnie w służbie porządkowej na uprzywilejowanym stanowisku. Muszę i tak zwolnić mojego obecnego zastępcę, za dużo gada i jest mało energiczny.

- Byłoby mnie szkoda do tego gówna.

Porucznik Kern zareagował szybko, nieuchronnym i mimowolnym odruchem. Uderzył. Masywna linijka trzasnęła w grzbiet prawej dłoni Fausta - raz, dwa razy. Potem zapanowała w pomieszczeniu napięta, przytłaczająca cisza.

Faust podniósł wolno lekko krwawiącą dłoń i oglądał ją jakby z ciekawością. Robił to bardzo wolno. Wreszcie zapytał przeciągle:

- Czy to był początek?

- Jedynie próbka do posmakowania! - wyrzucił z siebie podniecony Kern.

- A co nastąpi potem?

- Potem wypoleruję twoją wielką jadaczkę.

- Czy w ten sposób, panie Kern?

I uderzył raz, dwa razy. Jego płaska dłoń strzeliła krótko i sucho w nadętą twarz, która przekrzywiła się najpierw na prawą, potem na lewą stronę. I zaczęła puchnąć przyjmując pomidorowy kolor.

- Ty! - wygulgotał Kern - bezradny, dysząc, łamiącym się głosem. - Ty świński ryju, ty bydlaku, ty skurwielu.

- Może dalej w pańskim stylu, panie Kern? Może pięścią w brzuch? Proszę bardzo!

Faust uderzył błyskawicznie zwiniętą pięścią w gąbczaste mięso, zarejestrował przyduszony jęk, zobaczył Kerna osuwającego się na ziemię. Nie dopuścił jednak do tego. Złapał go przed sobą, podciągnął wyżej i uderzył nim wielokrotnie o ścianę.

Potem powiedział: - To jedynie skromny początek, panie Kern - tylko próbka do posmakowania.

I puścił go na ziemię.

\*\*\*

Za niecałe pół godziny porucznika Kerna „pełnomocnika do spraw porządku” niemieckiej komendantury obozu, znaleziono martwego. W dodatku przez porucznika Langohra, swojego zastępcę, „zupełnie przypadkowo”, jak gorliwie zapewniał.

Porucznik Kern leżał na podłodze lokalu służbowego, który przejął zaledwie przed kilkoma godzinami. Urzędujący lekarz niemiecki stwierdził wielokrotne złamanie podstawy czaszki, spowodowane ciężkim przedmiotem o ostrych krawędziach, przypuszczalnie metalowym. Przybyły lekarz brytyjski potwierdził to rozpoznanie.

Po dalszych trzydziestu minutach poszukiwano już jeńca wojennego Fausta. Nie było go jednak w obozie. Na krótko przedtem pojechał z grupą Silversa do Kaiaru.

\*\*\*

Sid Silvers, w najwyraźniej dobrym humorze, poruszając się miękko, prawie tanecznie, spieszył korytarzem do drzwi apartamentu 606. Wyciągnął klucze i usiłował włożyć je do zamka, wielokrotnie, lecz mu się to nie udało. Lekko zdziwiony uklęknął i próbował dojrzeć coś przez dziurkę od klucza. Ale ta była zasłonięta od wewnątrz.

- A cóż to za nowe metody? - krzyknął waląc w obite drzwi. Zachowywał przy tym ciągle wesołość. Otwórz dziewczyno, to ja twój święty Mikołaj.

Musiał poczekać jeszcze kilka chwil, zanim mu otworzono, co zresztą uznał za rodzaj dowcipu. Sitah patrzyła na niego jawnie oburzona. - Zachowujesz się za głośno! - powiedziała z naganą w głosie. - Ten dom nie jest twoją własnością!

- Jeszcze nie - powiedział Silvers wesoło, chwycił ją za biodra, zakręcił nią wkoło zamykając przy tym drzwi. - Ale mamy jeszcze wiele przed sobą!

Tanecznymi ruchami usiłował skierować Sitah w stronę sypialni.

- Nie oczekiwałam ciebie - powiedziała Sitah.

- I nie musisz - wyjaśnił pogodnie Sid zdejmując mundur. Rzucił go na fotel. - Jak przychodzę, to jestem. A ty jesteś, jak przychodzę.

- Traktujesz mnie jak towar - powiedziała Sitah.

- Są nim również kamienie szlachetne. Ubrania, artykuły Spożywcze, i napoje także. Oraz książeczki czekowe z dobrze Wypchanym kontem w tle. I masz to wszystko. Tym samym wiesz również, jak jesteś mi droga.

I Silvers zaczynał już zdejmować buty i skarpetki siedząc na jej łóżku. Patrzył na stojącą przed nim Sitah.

- Krygujesz się? - zapytał z utrzymującą się wesołością. - Zwykle się tak nie zachowujesz.

- Ja również potrzebuję miłości - powiedziała Sitah i to wręcz poważnie.

Sid Silvers bawił się przednio ściągając spodnie i tuż potem przyciągając ją do siebie. Powoli przechylał ją, aż osunęła się po nim na łóżko. - Nie rób ceregieli - powiedział z ciągle niezmaconą wesołością. - To nie pasuje do ciebie. A poza tym mam cholernie mało czasu - wielkie interesy nie będą na mnie czekać.

- Jak ty mnie traktujesz! - wykrzyknęła Sitah wywijając się spod niego, trochę bez tchu. Popatrzyła na niego z boku prawie oskarży cielsko. - Traktujesz mnie jak, jak...

- No jak, kochanie?

- W każdym razie nie jak damę.

Sid wybuchnął głośnym śmiechem. Położył się na plecach i oddychał ciężko. - Co to za nowe tony! - zakrzyknął. - Stajesz się coraz zabawniejsza, dziewczyno. Rozwijasz w sobie tradycyjne uczucia, a to mnie po prostu zwala z nóg.

- Nie traktujesz mnie poważnie.

- A dlaczego miałbym to robić?

Silvers bawił się nieskrępowanie dalej. - Dla mnie masz się znać na wesołych stronach życia, a nie na smutnych. Inni robią to o wiele skuteczniej. Trzymaj się więc swojej specjalności.

- Inni traktują mnie inaczej - zapewniła Sitah wbijając wzrok w sufit.

- Naprawdę? - zapytał Sid Silvers ponownie wybuchając śmiechem.

- A któż to taki? Chyba nie Faust?

- A gdyby tak było?

- To spadnę ze śmiechu z łóżka! - Sid przekręcił się trochę na bok i podniósł się lekko.

- Akurat ten Faust!

- Co masz przeciwko niemu? - zapytała również się prostując, prawie surowo. - Przynajmniej jest kawalerem.

- Kim? - wykrzyknął Silvers. - Kawalerem? Wyrafinowanym łajdakiem, tym jest!

- Ma serce - wyjaśniła prawie skromnie Sitah.

Sid Silvers związał się w potwornym śmiechu i rzeczywiście spadł przy tym z łóżka. Pacnął na dywan - prawdziwy, gęsty i niezwykle gruby dywan perski z bujnym ornamentem roślinnym, w rozrzutnie niebieskich odcieniach, zdobyty przez Sida niezwykle korzystnie, czasowo oddany do dyspozycji Sitah. Na takim dywanie turlał się nagi Silvers z radości.

Przypadkowo spojrział pod łóżko Sitah. I tam dostrzegł zwiniętą i obleczoną w jasnobrązową chustę postać. Oczy należące do tej postaci patrzyły na Silversa.

- A kogo my tu mamy - wykrzyknął Silvers. Jego niepohamowany śmiech zamarł nagle. - Toż to chyba nie Faust?

- A dlaczegożby nie? - powiedział tenże i wypęzł spod łóżka. Tak jak Silvers zauważył, Faust otulony był w arabską szatę.

Jego postać zdawała się być bezkształtna w tym powłóczystym stroju. A na jego głowie znajdował się irytujący przedmiot przypominający turban. Jego uśmiech był bezbłędnie nieśmiały - a nieśmiałość u tego człowieka należała do wielkiej rzadkości.

- To nie moja wina - wykrzyknęła Sitah przejęta.

- Zamknij swoją piękną i zakłamaną buzię i zostaw nas samych! - zdecydował Silvers prostując się. Ściągnął prześcieradło i osłonił nim swoją nagość. - Postaraj się o mocną kawę. Resztę pozostaw nam, załatwimy to między nami - handlarzami bydlęm.

Sitah oddaliła się pośpiesznie. Starła się przy tym nie spojrzeć na żadnego z nich, a na pewno nie na obu razem. Na nią również nikt nie spojrział, ale tym razem było jej to na rękę.

Faust próbował jak najgustowniej uporządkować na sobie swoją szatę, lecz bez większego rezultatu. Usiadł na łóżku Sitah obok Silversa i zapytał: - I co teraz?

- Znowu chciał pan zwiać?

- Niczego więcej nie pragnę, odkąd jestem jeńcem wojennym Silvers - i mam ku temu, jak sądzę, powody.

- A cóż mnie obchodzą pana powody, Faust. Ja również mam swoje i uważam je za ważniejsze. Niezależnie od tego, że znajduję się w tej wspaniałej sytuacji, że mogę realizować moje pomysły. Pan natomiast - nie!

- Chce mnie pan więc odstawić do obozu?

Faust zobaczył, że Silvers kiwa głową. - No dobrze, ale jako kogo?

- To tylko ode mnie zależy! Jako człowieka z mojej grupy roboczej, jako złapanego uciekiniera lub też, jak ustaliliśmy, jako mojego nieuniknionego partnera w interesach. Zobaczymy!

Faust powiedział zdumiony: - A nie jest pan zirytowany faktem, że znalazł mnie pan pod łóżkiem Sitah?

- A coś pana z nią łączy? - zapytał Silvers.

- A gdyby tak było?

- To wliczyłbym to ewentualnie w koszty interesu i odciągnąłbym pewną sumkę od pańskiego przyszłego honorarium. Zrozumiał pan? Chcę przez to powiedzieć, że jeżeli przywiązuje pan wagę do Sitah lub też już przywiązał, to zainwestowałbym i tę damę.

- To tak się sprawy mają - domyślił się Faust błyskawicznie. - Chce się pan jej pozbyć?

- Niech się pan tak od razu nie ożywia, Faust. Nie mam ku temu najmniejszego powodu, jak zdąży się pan szybko przekonać. A jeżeli chodzi o Sitah, to może ją pan mieć, o ile wyłoży pan odpowiednią sumę - za nią samą łącznie z opłatą apartamentu i innymi kosztami utrzymania.

I zupełnie bez związku zapytał z tą samą spokojną rzeczowością: - A jak pan się tutaj dostał?

- Nie było to takie trudne - wyjaśnił Faust. - Powiedziałem jedynie pańskiemu zausznikowi, kapralowi Coplandowi, który miał mnie pilnować, że ma mnie odstawić do Sitah około piątej, a pan mnie już tam przejmie. Uważał widocznie, że wszystko jest w porządku.

- Ponieważ ja też miałem znaleźć się u Sitah około piątej. - Copland wiedział o tym. Zagrał więc pan w ciemno i trafił pan w dziesiątkę. Ale nie do końca. Bo trafił pan na mój prywatny plac zabaw; ja spadłem z łóżka, pod którym pan leżał. Same niesłychane zbiegi okoliczności, co?

Faust przytaknął prawie pokornie. Powoli zdjął swoją arabską szatę, wczuł się pod łóżko i wyciągnął swój zniszczony tropikalny mundurek. Powiedział przy tym: - Przykro mi, Silvers, że akurat panu psuję szyki, bo lubię pana po prostu.

- Ja pana też, agencie. Ale z tego powodu nie musimy stawać się uczuciowi. Najpierw załatwmy interesy.

Silvers przyglądał się badawczo Faustowi, gdy ten wciągał swój jeniecki mundurek. - Czy dzisiejsza ucieczka ma coś wspólnego z wydarzeniami w obozie? Zatelefonowano do mnie w tej sprawie i dopytywano się o pana?

- A co się tam stało?

- Prawdopodobnie jakieś świństwo i to takie, które można panu przypisać. I chciałbym się przy tym trochę pobawić, zanim złożę panu ostatnią z ostatnich moich propozycji.

\*\*\*

W pięć minut po przybyciu grupy roboczej Silversa do obozu Faust siedział ponownie w bunkrze.

- Bunkier dla tego drania! - rozkazał major Turner. A starszy sierżant McKellar musiał ten rozkaz wykonać.

- Co to za katastrofa? - zapytał Sid Silvers dostatecznie donośnie.

- Nie musi to pana obchodzić! - powiedział surowo major Turner.

Silversa kusilo, by odpowiedzieć tym samym tonem. Wybrał jednak najpierw wyczekujące milczenie. Ponadto powiedział sobie: kilka godzin aresztu w tej wylęgarni, która lubi się nocą zamieniać w lodówkę, może tylko dobrze podziałać na Fausta - w każdym razie pobudzić dojrzewanie określonych decyzji.

Silvers udał się do składziku tuż koło budynku brytyjskiej komendantury. Należał on wyłącznie do niego i do rolls-royca pułkownika. Tutaj znajdowało się posłanie Silversa, jego magazyn zapasów, a nawet prywatny prysznic składający się z uzupełnianego codziennie pięćdziesięciolitrowego kanistra. Jego ulubionym mydłem było Lavendel firmy Yardley z zapasów Nelsona.

Silvers umył się pod natryskiem, otulił się niemal śnieżnobiałym płaszczem kąpielowym i włożył białe buty do tenisa. Zapalił papierosa, wypił jeden gin i udał się do budynku komendantury. W pokoju służbowym kapitana Moone'a spotkał również kapitana Müller-Wipperera.

Usłyszał jak mówi: - Ten przypadek, kapitanie, należy do naszego zakresu kompetencji. Zbadamy go dokładnie i przedłożymy panu wyczerpujące sprawozdanie.

- Jeżeli wolno mi zwrócić panu uwagę - wyjaśnił kapitan z wrodzoną uprzejmością - chodzi tu o sprawę z zakresu prawa wojennego, do czego my jedynie jesteśmy powołani.

- Należy jednak zauważyć - powiedział miękko Müller-Wipperer - że wewnętrzne załatwienie tego bądź co bądź drażliwego przypadku byłoby korzystne dla obu stron.

- Cóż to znowu za pomysły! - wykrzyknął kapitan Moone dość ostro. Dotyczyło to jednak nie Müller-Wipperera a Silversa. - Co to za przebranie! Następnym razem przyjdzie pan chyba w kąpielówkach?

- Nie miałem absolutnie zamiaru denerwować pana w jakikolwiek sposób - chciałem tylko krótko porozmawiać z pułkownikiem.

- Jest nieosiągalny! - powiedział kapitan. - Dla wszystkich! Więc dla pana też! Prowadzi ważną rozmowę z pułkownikiem von Schwerin - prawdopodobnie na temat

szczegółów bitwy pod El Almein.

- Nie można chyba nic na to poradzić - stwierdził Silvers wyrozumiale. Zasalutował i wyszedł.

Wstąpił na taras brytyjskiej komendantury i wyglądał za McKellarem. Zobaczył go przy bramie prowadzącej na ten teren wielkości boiska do piłki nożnej, strefy zero, gdzie znajdowały się bunkry.

Sid udał się w kierunku zamyślonego, jeśli nie zmartwionego starszego sierżanta. - Kłopoty, Ken?

Ten podniósł wzrok i skinął głową. - Zdaje się, że go mają - mojego najlepszego pipera.

- Co chcą mu przypiąć?

- Porucznika Kerna znaleziono martwego w jego specjalnej szopie - jego ostatnim gościem był podobno Faust.

- Można to udowodnić?

- Na podstawie dość wiarygodnego zeznania świadka. Jeżeli to się potwierdzi, to mogę dać sobie spokój z moim zespołem.

- Nikt nie może tego od ciebie wymagać - zapewnił Silvers.

- W pełni to rozumiem!

- Człowieku, nic mi po twoim zrozumieniu. Tym razem Faust chyba długo posiedzi.

Major Turner triumfuje!

- Ale to nie musi przejść w stan chroniczny, Ken.

- Nawet ty nie możesz nic na to poradzić, Sid. Ta sprawa wygląda cholernie groźnie.

Bardzo długo nad tym myślałem.

- Pozwól mi porozmawiać z Faustem, Ken - zaproponował Sid Silvers.

- Nie mogę.

- Wiem, Ken, ale nie musisz się przyglądać, a w żadnym razie przysłuchiwać.

Wystarczy jedynie, że zostawisz otwartą bramę i zagapisz się w przestrzeń. Resztę sam załatwię.

- I myślisz, że wyniknie z tego coś pożytecznego?

- Musi coś pożytecznego wyniknąć - w naszym obopólnym interesie. Jest to decydująca chwila: albo ostatecznie go odrzucimy, albo mamy go wreszcie w całości.

\*\*\*

- Jak się panu wiedzie, agencie? - zapytał Sid Silvers, siadając na bunkrze. - A może

odebrało panu wreszcie mowę?

- Jeszcze żyję - odpowiedział Faust ze swojej jamy - jeszcze jako tako.

Silvers otworzył zamek wejściowej kłapy, odrzucił ją na bok i zajrzał do jamy mrużąc oczy. Zobaczył Fausta siedzącego w kucki przy kamiennej ścianie. - Podobno zamordował pan tego Kerna, zgadza się?

- Niestety nie - powiedział Faust podnosząc wzrok. - Niestety nie jestem dobroczyńcą ludzkości. Dałem mu tylko dwa razy w twarz i jeden hak w brzuch, po tym, jak mi kijem potraktował dłoń do krwi. Zrobiłem mu tylko to, co on chciał mi zrobić - starałem się, jak umiałem.

Sid Silvers przeciskał się tyłem przez właz do środka. Po chwili stanął tuż koło Fausta. Najnaturalniej w świecie usiadł obok niego.

- O co chodzi, Faust? Zapytany o cel pana uciezek odpowiedział pan: Żeby kogoś zamordować. A dlaczego by nie Kerna? Jak już się pan na takie metody zdecydował.

- To jest zupełnie inna sprawa - odpowiedział dobitnie Faust.

- Proszę mi to lepiej wyjaśnić.

- Po prostu, Kern jest najzwyczajszym bydlakiem, a takich jest wielu na tym świecie. Nie znaczy to oczywiście, że należy ich tolerować, ale też niekoniecznie od razu mordować. Są jednak jeszcze inni.

- I za takim innym pan się ugania, o ile dobrze pana zrozumiałem.

Faust przytaknął. Zwlekał trochę z dalszą opowieścią, aż Silvers zmuszony był dać mu kuksańca w bok. Zaczął więc cicho:

- Chcę dostać się do Niemiec, bo chcę tam zobaczyć zdychającego faceta. Doprowadził moją matkę i ojca przed sąd wojenny i zeznawał przeciwko nim. Zostali skazani na śmierć.

- A co mnie to obchodzi? - wykrzyknął głośno Silvers z ramieniem tuż przy ramieniu Fausta. - Może to i prawda, a może wcale nie. Co nie oznacza, że panu nie wierzę, Faust. Lecz niech pan ode mnie nie oczekuje, że z pełnym oddaniem będę obwąchiwał tę niemiecką kupę gnoju. Dla mnie miarodajne jest jedynie to, co istnieje tu i teraz.

- No dobrze, Silvers, a co to jest? Teraz i tutaj siedzi obok pana jeden z tych nieszczęśników masowej produkcji, tych, których w czasie wojny są całe pęczki. Ci, którym nie podoba się mój nos lub też mój sposób myślenia, będą usiłovali mnie zarznąć na podstawie jakichś tam fałszywych zeznań. Przykro mi Silvers i z pana powodu. Będzie pan musiał poszukać sobie innego partnera do interesu.

- Powoli, Faust! Nie spieszmy się zanadto!

Sid Silvers przysunął się trochę bliżej, co nie musiało oznaczać odruchu sympatii. Zmuszała do tego ograniczoność przestrzeni. - Partnerstwo zakłada zawsze istnienie dwóch stron, a ja jestem w gruncie rzeczy niepoprawnym spekulantem. A kimże można być w tym zasranym świecie, gdzie ludzi traktuje się jak bydło rzeźne? I nawet teraz świerzbi mnie, żeby z panem pospekulować.

- Jak pan chce to zrobić? Siedzę tu jak w pułapce. Pewni koledzy wmanewrowali mnie wreszcie w sytuację, w której już od dawna chcieli mnie widzieć. Przed sąd wojenny.

- Przemyślmy to jeszcze raz, Faust. Podejrzewa się pana, ale pan tego nie zrobił. Bezpośredni świadkowie zbrodni nie istnieją. Tylko przypuszczenia. Prawdopodobnie są dowody, ale niewystarczające. Więc należy zadać pytanie: jeżeli nie pan, to kto zabił?

- Skąd mam wiedzieć?

- Nie musi pan wiedzieć, niech pan jedynie pomyśli. Więc kto wchodziłby w rachubę?

- Wielu. Kern nie należał do ulubieńców narodu. Bano się jego i wręcz nienawidzono. Nawet w jego najbliższym otoczeniu. Jego zastępca, porucznik Langohr najchętniej skoczyłby mu do gardła, żeby zostać jego następcą.

- To chyba wystarczy - zauważył Silvers w widoczny sposób podniesiony na duchu. Klepnął Fausta energicznie w udo. - Ale do rzeczy - do naszej rzeczy. Zaproponowałem panu rodzaj umowy. Jest pan teraz tym zainteresowany?

- A czy nie wygląda to dość bezsensownie w tej sytuacji?

- Sytuacja jak ta, może się szybko zmienić, więc zamierzam się zabezpieczyć. Zakładając, że wreszcie się dogadamy.

- A jakie stawia pan warunki?

- Zawrzemy układ - powiedział Silvers. - Pakt!

- Na czas nieograniczony?

- Nie wymagam tego od pana. Będzie pan mógł ukatrupić swojego bydlaka w odległych Niemczech, jeżeli o mnie chodzi, ale nie od razu. Powiedzmy: po upływie sześciu miesięcy. Zgoda?

- A czy mam inne wyjście?

- Oczywiście, że nie, Faust. Ale przetrzyma pan jakoś te sześć miesięcy. Jak długo będzie pan bez zastrzeżeń do mojej dyspozycji - w pierwszym rzędzie do mojej dyspozycji. Bo nie zdołam pana uchronić przed piłowaniem kobzy u McKellara.

- Tak naprawdę to nie jest takie najgorsze - zapewnił Faust z nadzieją w głosie. - Ale dokładnie, czego pan jeszcze ode mnie oczekuje?

- Zainwestuje pan bez oporów swoją znajomość języka arabskiego, w moje

przedsięwzięcia, swoje umiejętności organizatorskie, swoje doświadczenia do niemieckich układów obozowych i pański dar improwizacji. Za to zostanie pan uhonorowany jedną trzecią wszystkich zysków. I to w dodatku za cały przyszły rok, czyli za pół roku więcej, niż obejmuje nasz pakt. Przyjmuje pan warunki, Faust?

- I nie przeszkadza panu, że będziemy mieli kolosalne kłopoty szczególnie ze strony niemieckiej komendantury, Silvers?

- Damy sobie z tym radę - ufnie zapewnił Silvers. - Więc mam pańskie słowo?

- Dzisiaj jest dwudziesty czwarty maja tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku. Jest za trzy minuty osiemnasta. Dwudziestego czwartego grudnia, dokładnie co do minuty, upłynie termin naszego paktu. A potem będzie moja Wigilia. Zgoda?

\*\*\*

Delikatna rozmowa u kapitana Moone'a, w której walczone o dogodną pozycję, przeciągała się. Był jak gumowa ściana; kapitan Müller-Wipper nieustannie próbował się przez nią przebić. Do tej pory jego wysiłki spełzły na niczym.

- Świetnie pana rozumiem - zapewniał kapitan Moone tonem pełnym przychylności. - Macie zamiar potraktować Fausta zgodnie z waszym pojęciem prawa. Lecz pomija pan fakt, że w tym obozie znajdujecie się na brytyjskim gruncie i podlegacie prawu obowiązującemu w Wielkiej Brytanii.

- Lecz to nie musi dotyczyć koniecznie i pod każdym względem niemieckiej części obozu. Byłoby wskazane, żeby pan poszedł szczególnie w tym wypadku na drobne ustępstwa - zaoszczędziłby pan sobie i nam mnóstwo problemów.

Rokowania nie tylko się przeciągały, partnerzy otrzymali jeszcze posiłki. Po stronie brytyjskiej pojawił się major Turner; niemiecką stronę wspomógł major Rossberg. Tak jak i przedtem brakowało, w jawnie zamierzony sposób, pułkownika Nelsona i pułkownika Schwerina. Spędzali czas na analizie bitwy pod El Alamein i jak można było przypuszczać mieli to zamiar czynić dopóty, dopóki ich bezpośredni podwładni się nie wykrwawią.

Major Turner wyjaśniał bezstronnie: - Jeżeli umiera niemiecki jeńiec wojenny, musi potwierdzić to brytyjski lekarz. Jeżeli któryś dopuści się wykroczenia, to podlega brytyjskiemu sądownictwu.

- Funkcje sprawowane przez sąd wojenny - włączył się major Rossberg równie uprzejmie co nachalnie - nie wykazują w cywilizowanych zachodnich społeczeństwach prawie żadnych różnic, przynajmniej żadnych większych, a z pewnością żadnych znaczących. Tym samym godne zalecenia jest zebranie jak najbardziej równorzędnego składu

sędziowskiego.

- Kategorycznie odrzucam! - wykrzyknął T.S. Turner bojowo.

- Można to skomentować jako świadome szykany - sapał Müller-Wipper.

- Nie do pana należy komentarz! - parsknął major Turner. - Ma pan jedynie słuchać i wykonywać nasze polecenia. Nie mogę zrozumieć, dlaczego pertraktujemy z wami.

- Ostatecznie reprezentuję tutaj tysiąc dwieście ludzi, którzy...

-...nie są niczym więcej niż jeńcami wojennymi.

Kapitanowi Moone'owi zaoszczędzone zostało podjęcie kroków pojednawczych: pojawił się sierżant Silvers. Ubrany był, tak jak poprzednio, prowokacyjnie na biało - biały płaszcz kąpielowy, białe buty do tenisa, do tego biały jedwabny szal zawiązany z dekoracyjnym wdziękiem wokół szyi.

- A cóż to znowu! - wykrzyknął major Turner zbity z tropu.

- Pan chyba pomylił kierunki, Silvers! To nie jest kort tenisowy, tu odbywa się narada.

- Absolutnie niepotrzebnie - odezwał się Silvers od niechcenia.

- Niech pan stąd znika, Silvers! - odparł szorstko T.S. Turner.

- Nie jest pan nam teraz do niczego potrzebny. A pański pułkownik jest obecnie czym innym zajęty: bawi się w wojnę, na papierze.

- Zawsze to lepsze niż przelewać z pustego w próżne! - powiedział sierżant w bieli.

- Pije pan do mnie? - zapytał major Turner gotując się w środku.

- Chwileczkę - powiedział kapitan Moone wtrącając się przezornie. - Zakładam, że ma pan istotne powody, aby mieszać się do naszych spraw?

- Takie istnieją.

- Chodzi o Fausta?

- Dokładnie, sir. Bo jeżeli ktoś będzie usiłował zrobić Fausta w jakieś śmieszne świństwo, jak choćby śmierć tego Kerna, to zajdzie konieczność stwierdzenia, że jest to jeden z najmniejszych kawałów.

- Za pozwoleniem - wmieszał się major Rossberg. - Określa pan śmierć człowieka jako śmieszne świństwo? Jako marny kawał?

- Panie majorze! Marny kawał byłby wtedy, gdyby uważano, że to akurat Faust zamordował tego bydlaka.

- Silvers - powiedział kapitan Moone ostrzegawczo - twierdzenie powyższe poparte jest kilkoma dość jednoznacznymi dowodami.

- Zostały wręcz przedłożone na piśmie - potwierdził kapitan Müller-Wipper.

- Ale żaden naoczny świadek nie może stwierdzić, że widział Fausta dającego w łeb

Kemowi. Mylę się? - wykrzyknął Silvers.

- Nie, sierzancie! Ale jedno jest pewne: Faust był najprawdopodobniej ostatnim, przynajmniej ostatnim znanym, gościem Kerna.

Silvers potrząsnął głową. - Niezależnie od faktu, że ten Kern miał sporo wrogów - cierpliwie wyjaśniał sierżant - ludzi, których szykanował, także tych, dla których nie był niczym więcej niż uciążliwą konkurencją - niezależnie od tego mogę udowodnić, że Faust go nie zamordował.

T.S. Turner oddychał z dużym trudem. Major Rossberg obserwował swoje splecione dłonie. A kapitan Müller-Wipper spoglądał to na jednego, to na drugiego jak pies myśliwski wyprowadzony w pole.

A kapitan Moone, lekko podniecony, zapytał: - Jest pan pewien, że się pan nie myli, sierzancie?

- Absolutnie - zapewnił. - Ponieważ ja osobiście przejąłem Fausta do mojej grupy roboczej w bezpośredniej bliskości szopy Kerna.

- W której leżał trup.

- Dopiero później - stwierdził Silvers pełen animuszu. - Bo jak go przejmowałem, ten rzekomo wyprodukowany przez Fausta trup towarzyszył mi do drzwi - i nawet się do mnie uśmiechnął. Potem udałem się z Faustem do ciężarówki i pojechałem z nim do Kairu. Więc nie mógł być to Faust.

- I byłby pan gotowy to potwierdzić?

- Pod przysięgą, jeżeli zajdzie taka konieczność - zapewnił sierżant napawając się ciszą, która zaległa.

\*\*\*

- Niech pan popatrzy, panie pułkowniku! - zawołał zachwycony pułkownik Nelson w miejsce oficjalnego pozdrowienia. I co pan na to?

Pułkownik von Schwerin-Sommershausen popatrzył na mapę sztabu generalnego rozpostartą na zwykle pustym stole pułkownika Nelsona. Zaznaczone były na niej pozycje bitewne - krwawą czerwienią niemieckie, na niebiesko, kolorem budzącym zaufanie, brytyjskie. Kolor czarny, neutralnie przyjemny, przeznaczony był dla oddziałów włoskich.

- Pozostawmy na razie w spokoju kwestię - polecił pułkownik Nelson - Tobruku, czy to tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku, czy tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego. Skoncentrujmy się wyłącznie na El Alamein.

- Pozwalam sobie jednak zauważyć, sir, że przy naszym pierwszym zwycięstwie pod

Tobrukiem, w czerwcu tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego, wzięliśmy do niewoli około dwudziestu pięciu tysięcy Brytyjczyków.

- Panie pułkowniku traktuję ten fakt jedynie jako jeden z wielu - godny uwagi, lecz nie decydujący! - wyjaśnił pułkownik Nelson.

- Ale to co nastąpiło pod El Alamein można uważać za przykład.

- Takie przykładowe wydarzenia wynikają siłą rzeczy - nawet tutaj, w tym obozie! - zauważył pułkownik von Schwerin ostrożnie.

- Czego pan się obawia, pułkowniku? - Nelson patrzył bez przerwy na rozłożoną przed nim mapę.

- Obawia się pan, że śmierci tego porucznika Kerna nie da się wyjaśnić? Ależ proszę pana! Zawsze znajdzie się ktoś, kto ponosi za nią odpowiedzialność. Zawsze ktoś jest odpowiedzialny, tak jak wtedy pod El Alamein.

Pułkownik von Schwerin nie wahał się ani sekundy, by podjąć proponowane mu reguły gry. Tak więc stuknął palcem w mapę i wyjaśnił: - Wtedy dysponowaliśmy, to znaczy niemiecki korpus afrykański, jedynie niewiele ponad siedemdziesięcioma czołgami i pancernymi samochodami rozpoznawczymi.

- Ale walczyliście jak lwy! - przyznał niezwłocznie pułkownik Nelson. - Wasz Rommel jednak nie zrezygnował!

- Za moją radą! - zauważył z dumą, ale skromnie pułkownik von Schwerin. - Wtedy jeszcze mnie słuchał.

- Mimo to z końcem listopada udało nam się przełamać front - stwierdził pułkownik Nelson siląc się na rzeczowość. - I mogę również powiedzieć, że był w tym i mój udział, bo należałem wówczas do sztabu Montiego - generała dywizji Montgomery'ego.

- Jestem pełen uznania! - wyznał szczerze pułkownik von Schwerin. - Ale nasze wielkie wspomnienia nie uwolnią nas całkowicie od kłopotów terażniejszości. Choćby w związku z Faustem. On jest jak nieobliczalne w skutkach wyzwanie, jego istnienie może prowadzić do nieprzemyślanych działań - albo kusić.

- To niech go pan po prostu odizoluje - powiedział pułkownik Nelson tonem podkreślającym uboczność problemu. - Niech pan go każe na przykład zamknąć lub niech pan go uzna za chorego - może pan zawsze liczyć na moją urzędową pomoc.

- Jestem wielce zobowiązany, sir. Byłoby to korzystne wyjście, o ile Faust na to pójdzie.

- Nawet taki człowiek, jak on musi kiedyś przyzwycząić się do realiów naszej egzystencji - powiedział pułkownik Nelson. - Lecz nie do nas należy ta sprawa, nie powinna

zaprządać nam głów. Bo nam chodzi o istotniejszą, o wyższą prawdę, mam rację panie pułkowniku? Monty czyli Montgomery powiedział nam wtedy, czyli oficerom swojego sztabu, że to jest udokumentowane, więc i historycznie potwierdzone: tylko metodyczne postępowanie może odnieść skutek. Wroga należy niszczyć stopniowo. Powoli, ale skutecznie. Tak powiedział Monty. Co może być w tym niejasnego?

- Właściwie nic - odpowiedział jak najuprzejmiej pułkownik von Schwerin-Sommershausen. - Może tylko to: nawet El Alamein nie może trwać wiecznie. Nawet to, jak i wszystko, jest swoistym etapem przejściowym. Ale dokąd?

\*\*\*

- Tak między nami, Faust, ale szczerze - zażądał inkwizycyjnie kapitan Müller-Wipper. - Dlaczego pan się nie przyznaje?

- Ale do czego? - zapytał Faust.

- Że zamordował pan porucznika. A do czego innego?

- Ale ja tego nie zrobiłem, niestety nie, jeżeli ma to pana uspokoić, panie Müller.

Kapitan chciał rzucić się na Fausta, lecz major Rossberg powstrzymał go - łagodnym, ale dostatecznie mocnym chwytem.

- Proszę, nie - powiedział prawie ugodowo. Porozumiewawczo mrugnął do Fausta. - Ostatecznie jest pan rozumnym mężczyzną. I jako taki na pewno pan się zorientował, że nie zależy nam, aby mieć na karku jeszcze jednego trupa więcej. Wzbudziłoby to zbyt wielkie emocje.

- Przynajmniej w tym momencie - warknął Müller.

Siedzieli w służbowym pokoju niemieckiej komendantury. Faust też tam siedział nie poproszony o zajęcie miejsca. Siedział trochę bokiem na skrzynce, kilka kroków od drzwi prowadzących do pomieszczenia, które zamieszkiwał samotnie pułkownik von Schwerin.

- Chodzi nam teraz o to - ciągnął major Rossberg - by wiarygodnie wyjaśnić śmierć porucznika Kerna. Brytyjczykom - nalegają na to. Z pana pomocą udałoby się to nam w najbardziej przekonujący sposób.

- Nie, nie jestem samobójcą - powiedział Faust dobitnie.

- Pan nas nie zrozumiał! - zapewnił go major Rossberg prawie serdecznie. - Nie oczekujemy ani nie żądamy rzeczy niemożliwych.

Przecież mógł być to równie dobrze wypadek, nieprawdaż? Jeżeli pan o tym zaświadczy, będzie to najlepsze rozwiązanie. Dla nas wszystkich. Dla pana też.

- A co potem? - chciał się upewnić Faust.

- Będziemy pana ochraniać, otoczmy opieką, zadbamy o pana bezpieczeństwo. I to z wdzięczności, Faust, za to, że wyciągnął nas pan z trudnej sytuacji.

- Skapuj wreszcie, człowieku! - kapitan Müller-Wipper nie zamierzał dłużej powściągać swojej potrzeby działania. Musiał wreszcie wydobyć z niego decyzję. - Podajemy panu rękę! Zamierza ją pan odrzucić?

- Co mam rozumieć przez otoczenie mnie opieką?

- Otrzyma pan stanowisko, piękne stanowisko - właściwie ma pan wolny wybór - tutaj u nas, w ramach niemieckiej komendantury. Musi pan jedynie zerwać wszelkie kontakty z Brytyjczykami. Odtąd pracuje pan dla nas, tylko dla nas, dla naszej społeczności. Może znowu pan się poczuć w pełni niemieckim człowiekiem, Faust.

Ten wstał z wymuszonym uśmiechem i nagle wprawił się w ruch - podbiegł szybko do drzwi prowadzących do pomieszczenia pułkownika, popchnął je i zobaczył pułkownika von Schwerin, przed mapą ścienną, skoncentrowanego na planie bitwy pod El Alamein.

- Muszę o czymś zameldować! - wykrzyknął do niego Faust.

Müller-Wipper rzucił się do przodu, odepchnął Fausta na bok i powiedział: - Niech pan wybaczy, pułkowniku. Ten facet chyba zwariował!

- Z pewnością działa w swoistym szoku - wyjaśnił major Rossberg stojąc trochę dalej.

- Niech pan przeprosi za to wtargnięcie! - zażądał Müller-Wipper. - A potem niech pan się oddali z łaski swojej.

- Tu nie chodzi o przeprosiny, lecz o meldunek!

- O naprzykrzanie się! - wydarł się Müller-Wipper. - Co to w ogóle znaczy, tak się tu bez pardonu wdzierać. To już zakrawa na czynny atak wobec przełożonego. Natychmiast odmaszerować, człowieku - lub własnoręcznie pana wyprowadzę!

- Niech pan tylko spróbuje! - powiedział Faust.

- Dość! - wykrzyknął tym razem pułkownik von Schwerin. Patrzył surowo i niechętnie nie odstępując od swojego bitewnego planu. - Niech pan podejdzie żołnierzu - powiedział do Fausta.

Faust zbliżył się do pułkownika i stanął na dwa kroki przed nim. Obejrzał go sobie - zobaczył swego słynnego przełożonego, z twarzą bohatera gotową w każdej chwili do fotografii, a w niej efektowne, pocziwe, ojcowskie oczy. Na tego można liczyć.

- Jak się pan nazywa? - zapytał pułkownik z czystej rutyny.

- Jeszcze Faust - odpowiedział. - Muszę złożyć meldunek!

Pułkownik von Schwerin spojrzał badawczo i zajęło mu to trochę czasu. Wreszcie powiedział: - Ten człowiek wygląda bardzo niezdrowo.

- Nic dziwnego przy jego trybie życia - zgodził się Müller-Wipper.

- Chętnie damy mu okazję do gruntownego wypoczynku, panie pułkowniku - zapewnił major Rossberg.

- On mi się nie podoba - ciągnął pułkownik.

- Mnie też nie - skonstatował Müller-Wipper.

- Ten człowiek sprawia wrażenie chorego - powiedział pułkownik z naciskiem. - Jest bardzo blady, głos ma zachrypnięty, porusza się niepewnie.

- Już my go ożywimy - oświadczył kapitan.

- Ten człowiek natychmiast potrzebuje lekarza - powiedział pułkownik von Schwerin tonem rozkazu, który stracił swoją łagodność. - Proszę się tym natychmiast zająć, Müller!

- Ależ panie pułkowniku, lazaret znajduje się w brytyjskiej części obozu! Musielibyśmy go wydać!

- Dlaczego od razu wydać, Müller - pułkownik wyglądał na zdziwionego. Jego ton był ostrzegawczy i zaznaczało się w nim oburzenie. - My go przekazujemy!

- Przypadki chorób - powiedział kapitan - muszą być meldowane na porannym apelu.

- Istnieją wyjątki - odrzekł pułkownik. - I o taki wyjątek tutaj chodzi.

- Starszy sierżant obozu musiałby to potwierdzić i wydać zezwolenie. Czy rzeczywiście mamy się aż do tego posunąć, panie pułkowniku?

- Rzeczywiście czuję się chory - stwierdził stanowczo Faust. - Dlatego proszę o przekazanie mnie do lazaretu.

- Wykonać natychmiast! - oświadczył pułkownik von Schwerin na zakończenie. Po czym odwrócił się ponownie do swojego planu bitwy pod El Alamein. Bo umyślił sobie, że sprawi pułkownikowi Nelsonowi kilka dość nieprzyjemnych niespodzianek.

\*\*\*

- Co to za jeden! - zawołała Mary Timemaker, siostra przełożona lazaretu, z właściwą jej szorstką serdecznością na widok jeńca wojennego Fausta. - Sprawia jeszcze dość dobre wrażenie.

- To pozory - powiedział sierżant McKellar.

- Ach co tam, Ken - zawołała Timemaker. - Nie wygląda jak ktoś, kto chce wziąć na zawsze dupę w troki. Czyli należy do dwóch pozostałych kategorii: do tych, co rozrywają dupy na strzępy albo do tych, co do nich włożą.

- Podaruj to sobie, Mary! - powiedział McKellar ugodowo. - Znam twoje teorie.

- To nie są teorie - zapewniła Timemaker - to jest doświadczenie. Żyjemy w świecie,

w którym mężczyźni awansowali do rangi wielkodupców.

Mary Timemaker była duża, koścista, ale z błyskawicznymi reakcjami. Jej głos upodabniał się czasami do głosu koszarowego sierżanta, za to jej twarz robiła wrażenie zaskakująco łagodnej, spokojnej, prawie macierzyńskiej. Patrzyła na Fausta w taki sposób, jakby miała do czynienia z noworodkiem. Podobnie zresztą spoglądała na McKellara.

- Ma być zbadany! McKellar wskazał na Fausta leżącego na noszach i uśmiechającego się do siebie w oczekiwaniu. - Ale oczywiście nie przez ciebie.

- A przez kogo? - zapytała Timemaker pochylając się nad Faustem. - Niezależnie od tego, że nasz lekarz tak czy inaczej nie ma pojęcia o powszechnych tu chorobach - jest naukowcem, jak wiesz - niezależnie więc od tego, pęta się teraz gdzieś po Kairze. Narzuca się tam jakimś instytucjom.

- Czy w nobliwych kręgach na burdele mówi się instytucje?

- Tylko nie próbuj być dowcipny, Ken. Możesz już zniknąć, najpierw jednak spowoduj, aby tego tu wnieśli do sali operacyjnej.

- A dlaczego nie na jakieś wolne łóżko?

- Bo muszę go najpierw zbadać - zdecydowała siostra przełożona. - Możliwe, że ten człowiek symuluje. Jak większość tych facetów, których zmuszona byłam poznać. Nie wyłączając ciebie, Ken.

- Tego pacjenta - nazywa się Faust - masz przyjąć do lazaretu nie stwarzając przy tym sztucznych komplikacji. Trzymaj się od niego możliwie z daleka.

- Dlaczego, Ken? - Mary miała przejrzyste, lśniące oczy, które potrafiły przenikliwie obserwować. - Zdaje się, że ogromnie leży ci na sercu jego pomyślność? Chcesz mu załatwić wolną metę z nieograniczoną konsumpcją?

- Wykonuję tu swoje obowiązki - powiedział rozgniewany starszy sierżant. - Faust został mi przekazany, więc go dostarczyłem - reszta to sprawa lazaretu.

- Ken - powiedziała Timemaker dosadnie - jesteś urodzonym osłem, ale mam słabość do osłów. Przecież wiesz. A teraz zupełnie szczerze: oczekujesz ode mnie czegoś konkretnego? Mam na myśli tego chłopca?

- U mnie wszystko odbywa się zgodnie z przepisami - powiedział starszy sierżant znacząco. Po czym odszedł siląc się na godność.

Mary Timemaker nie popatrzyła za nim. Kazała wnieść Fausta do sali operacyjnej i położyć go tam na konstrukcję przypominającą stół. Sanitariusze zostali odprawieni.

Siostra przełożona odkryła swojego potencjalnego pacjenta i zarządziła: - Proszę się rozebrać, o ile nie jest pan zbyt osłabiony swoją chorobą.

Faust ściągał w milczeniu swoje ubranie. Potem wyciągnął się nagi i patrzył półprzymkniętymi oczyma przed siebie. Zauważył przy tym ostrożnie: - Pani jest chyba przyzwyczajona do naszego widoku.

- Może pan być pewien - potwierdziła Mary Timemaker. - Jest pan jednym z kilku tysięcy, których widziałam w takim lub podobnym stanie. Można powiedzieć, że nic, co męskie nie jest mi obce. Mam nadzieję, że nie jest pan tym zaniepokojony.

Faust potrząsnął głową i zaczął się rozluźniać, zamknął nawet oczy. Czuł chłodne dłonie siostry przełożonej dotykające okolic serca i obstukujące jego klatkę piersiową. Uścisnęła jego przegub, by zmierzyć tętno. Potem został mu włożony pod pachę termometr.

Czas płynął. Bładoszary upał stał, drżąc za zamkniętymi oknami - w sali operacyjnej było przyjemnie chłodno. Narzędzia dzwoniły na szklanych tacach.

Potem siostra przełożona zapytała rezolutnie: - Dlaczego pan jest tutaj?

- Tego jeszcze dokładnie nie wiem - odpowiedział Faust otwierając oczy.

- Nigdy jeszcze nie przydarzyło mi się coś takiego podczas całej mojej praktyki - powiedziała jakby do siebie Mary Timemaker.

- Mnie również przydarzają się tutaj najdziwniejsze rzeczy. To chyba wina okoliczności, na które nikt nie może nic poradzić.

- Ten Ken - stwierdziła Mary - musi być rzeczywiście idiotą - po prostu osłem. Bo dlaczego właśnie pana musiał tu dostarczyć?

- Może sierżant Silvers zna odpowiedź - podsunął Faust ostrożnie.

- A co ten ma z tym wspólnego? - podchwyciła szybko Mary. - Właśnie Silvers! Jak on na pana wpadł - a pan na niego?

- Niech pani jego o to zapyta - doradził grzecznie Faust.

Siostra przełożona była zdecydowana niezwłocznie to zrobić.

Otworzyła drzwi na korytarz, przywołała sanitariusza, kazała mu znaleźć Silversa i przyprowadzić go do siebie.

Dwie minuty później Sid pojawił się - stał przed lazaretem czekając na zaproszenie.

- Oto i nasz obwieś - zawołał do Fausta. A do Timemaker powiedział radośnie: - I co, Mary, zapoznała się już pani z tym jedynym w swoim rodzaju okazem?

- Dość dokładnie obejrzałam pańskiego człowieka, lecz nie dostrzegłam nic szczególnego. Co to za zabawa, Sid?

- Zabawa już się skończyła! - powiedział Sid. - Faust jest tutaj czyli jest bezpieczny. A to była najważniejsza sprawa.

- Ale on tu nie zostanie - zawołała Timemaker. - Jemu nic nie jest. Nie ma nawet

widocznych objawów niedożywienia.

- Pobyt tutaj jednak mu nie zaszkodzi! - zauważył Silvers. Im bardziej odzyska siły, tym lepiej. Musi jeszcze coś dać z siebie.

- Ale nie tutaj - wykrzyknęła siostra przełożona. - Zostanie natychmiast zwolniony do niemieckiego obozu.

- Mary, moja kochana, moja najdroższa - powiedział Silvers tym razem z serdeczną poufałością - mogę jedynie stwierdzić, że działałaby pani wbrew interesom moim i naszego pułkownika. Ale nie zrobiłoby to na pani najmniejszego wrażenia - w czym miałyby pani rację. Mogę jednak również powiedzieć, że zamknęłaby się pani na najskrytsze marzenia i nadzieje Kena McKellara - których zapewne nigdy nie wypowie, ale których pani powinna się domyślać.

- A cóż mnie obchodzi ten głupi osioł.

- Przecież wiem, Mary, jak bardzo do siebie pasujecie i życzę wam dobrze z całego serca. Bo w skrytości ducha jest pani po prostu kobietą - a w tym wypadku winna nią pani być w szczególności.

- Z powodu tego mężczyzny?

- Nazywa się Faust - wyjaśnił sierżant Silvers. - Z pewnością słyszała pani o nim. Ciągłe usiłuje zwiąć.

- On? Wcale na takiego nie wygląda.

- Ale taki jest, Mary. Istotne są jednak powody, dla których zwiewa. Nie robi tego tak sobie, z nadmiaru odwagi. Nie traktuje też tego jako sportu. I nie zwiewa dlatego, że jest przeciwko nam, Brytyjczykom. Wykazuje nawet pewne zrozumienie dla muzyki McKellara, co świadczy na jego korzyść. Jedno jest pewne: Faust jest przeciwko nazistom.

- Rzeczywiście tak jest? - zapytała Mary Timemaker, pochylając się nad Faustem.

- Absolutnie - oświadczył Faust -jestem zasadniczo przeciwko nazistom - każdego rodzaju, każdego koloru skóry, każdej narodowości. Jestem swojego rodzaju globalnym antyfaszystą.

- Dlaczego od razu pan tego nie powiedział? - wykrzyknęła Mary Timemaker. - To wszystko zmienia, o ile jest prawdą.

- Jest prawdą, Mary! - Sid Silvers klepnął swojego partnera w interesach po plecach. - Naziści w obozie grozili mu. Z całym przekonaniem można przypuszczać, że chcą go załatwić. Aby temu zapobiec znajduje się tutaj.

- I zostanie tutaj - zdecydowała wreszcie Mary Timemaker energicznie. - Osobiście się nim zaopiekuję. Dostanie izolatkę zarezerwowaną dla szczególnych przypadków.

\*\*\*

- Wygląda pan na zadowolonego - powiedział Sid Silvers na widok swojego partnera Fausta. - Jak się panu tu powodzi - w tej luksusowej stajni?

- Jestem rozczulony opieką, jaką mi się tu serwuje - Faust usiadł wygodnie w swoim łóżku. - Mam tu wszystko, czego mógłbym sobie w tych okolicznościach życzyć. Miss Mary Timemaker potrafi zastąpić każdą matkę. A Ken McKellar hojnie obdarowuje mnie muzyką. Przynosi szkockie płyty.

- Zamierza pan uznać to miejsce za swoją stałą kwaterę?

- Niech się pan nie martwi, Silvers. Ostatecznie istnieje jeszcze w Kairze niejaka Sitah. Chcę się jej poświęcić najszybciej, jak to możliwe. Tak jak przewiduje to nasza umowa.

- No dobrze - odparł lekko sceptyczny Silvers. - Najwyraźniej robi pan postępy, gdyż nie podjął pan ani jednej próby ucieczki, odkąd pan tu siedzi.

- A wcale nie byłoby to takie trudne - oświadczył przyjaźnie Faust. - Bo lazaret składa się z dwóch części - z niemieckiej i brytyjskiej. Niemiecka połowa posiada, co prawda, zakratowane okna, jest stale pilnowana i kontrolowana, ale pomiędzy nimi znajduje się tak zwana neutralna sala operacyjna. Dalej to już dziecinnie łatwe. Wystarczy się do niej dostać, przebrać w mundur brytyjski i wyjść w nim przez zewnętrzną bramę.

Silvers obserwował zmartwiony swojego partnera. - Czy naprawdę nie może się pan czymś innym zająć, niż wymyślaniem kolejnych głupot?

Ten jednak odparował wielkodusznie: - Dlaczego miałbym się niepotrzebnie wysilać, Silvers i przysparzać kłopotów tak wspaniałej osobie, jaką jest Mary Timemaker? Moja obecna sytuacja ogromnie mi odpowiada. Nawet brytyjski komendant obozu zajmuje się mną, niemiecki zresztą też. Oprócz tego myślę z radością i ochotą o naszych wspólnych interesach.

- Jest z tym niemało kłopotów.

- Damy sobie radę - nawet jeżeli trzeba będzie zająć jakąś brytyjską kasę wojenną.

- Niech pan da spokój z tymi przestępczymi kawałkami - powiedział z uśmiechem Silvers. - To, czym się tutaj zajmujemy, to nic więcej niż ogólnie przyjęte i normalne manipulacje finansowe. Pozwalamy sobie na coś, na co już i setki innych sobie pozwoliło. Spełniamy dobry uczynek. Ocalamy zagrożone przez wojnę wartości. Jasne? Dla siebie.

- Tylko tak dalej, Silvers, a będę się uważał za dobroczyńcę lepszej połowy ludzkości.

- Niech pan oszczędzi sobie tego typu uczuć do czasu, aż znajdzie się pan u Sitah - stwierdził Sid. - Teraz skoncentruje się pan lepiej na nowych umowach, które panu

przekazałem. Jedną na hotel nad brzegiem Nilu, drugą na dwie wille na przedmieściu w pobliżu piramid. Co pan na to?

- Obiekty godne uwagi - zapewnił z uznaniem Faust. - Zauważyłem jednak, że kupiec posiada co prawda pańskie nazwisko, ale inne imię. I widnieje tu inny adres niż Sitah. Pozorowana firma, co?

- Oczywiście! Ostatecznie jako członek armii brytyjskiej nie mogę prowadzić tutaj żadnych oficjalnych interesów ani też podpisywać urzędowo poświadczonych umów. Potrzebuję do tego podstawionego człowieka - i mam go. Jest to mój krewny, zatrudniony tu w Kairze, w bibliotece. Coś w rodzaju naukowca, a musi pan wiedzieć, że z takimi można zejść daleko. Podpisuje za mnie, co tylko chcę.

- Świetnie - powiedział Faust. - Jest pan rzeczywiście szczywanym lisem, Silvers. Lecz nie mniej szczywany jest zdaje się pański - a właściwie nasz - tutejszy partner, ten Muhammed. Kto to jest?

- Stary lis, który z niejednego pieca chleb jadł, ale osobiście pełen godności, jak sam papież. Tu w Kairze macza we wszystkim swoje wypielęgowane palce - zarówno w burdelach, jak i w Koranie. Pozna go pan, jak tylko pan stąd wyjdzie. I myślę, że nie powinniśmy tego zbyt przeciągać.

- Z pewnością nie, jeżeli i pan wpadł na to, że ten Muhammed może sam wygrać naszą wojnę, o ile nie będziemy uważać. Znakomicie zna się na walce w finansowej dżungli.

Faust rozłożył kilka dokumentów w języku arabskim. - Załączone do nich angielskie tłumaczenie, Silvers, nie jest, łagodnie mówiąc, zbyt wierne.

- Jasne, że chce nas wykiwać, ja to po prostu czuję! Choćby i z tego powodu wyszukałem sobie pana. Proszę więc jasno powiedzieć, czym tu śmierdzi!

- Na pierwszy rzut oka zdawałoby się, że niczym. Muhammed sprzedaje, ustala sumy, wymienia dane. Ale w jego umowach zawarta jest klauzula dotycząca ewentualnej odsprzedaży. A co pan z nim na ten temat ustalił?

- To, co zwykle się ustala: jeżeli zechcę ponownie sprzedać - czy też zechcemy sprzedać - to on ma prawo pierwokupu, co praktycznie ma oznaczać, że kupno proponujemy najpierw jemu. Jakie są tu wątpliwości?

- Właściwie żadnych. Ale przeczciłem kilka arabskich słowników i doszukałem się, że ta ślicznie i zgrabnie opakowana klauzula o prawie pierwokupu może stać się dla nas zobowiązaniem do tego, żeby mu nie tylko jako pierwszemu proponować nabycie wszystkich obiektów, ale i po tej samej cenie. I w dodatku w momencie, który nie jest dokładnie ustalony. Tym samym prawdopodobnie w każdym przez niego wybranym momencie.

- Ten wyperfumowany poganiacz wielbłądów! - wykrzyknął Sid Silvers oburzony. - Ale to podobne do tego Muhammeda. Damy mu wspólnie popalić, co?

- Chętnie Silvers. I jeżeli to już wszystko, co pan zwie problemem, niech pan łaskawie opuści moje łóżko. Miss Mary mogłaby zrozumieć to opacznie.

- Tak czy inaczej podejrzewa mnie o najgorsze.

- A mnie jeszcze nie, Silvers!

- Niech się pan zbyt wiele nie spodziewa, Mary dostrzeże wszystko, Faust. Tylko czasami ma na to zbyt mało czasu. Ale nawet i jej osoba nie powinna nas odciągać od spraw istotnych - niemiecka komendantura obozu stwarza nam wyłącznie problemy. Mogę zgłaszać zapotrzebowanie, jakie tylko chcę, a oni dostarczają mi jedynie same odpady i to z lubością.

- McKellar powinien znać się na ich metodach?

- I zna się, nawet na pewno! Gdyby tylko zechciał, mógłby zjeść na surowo ten cały niemiecki związek wojowników łącznie z brytyjskim klubem piłki nożnej. Ale on nie chce. Bo tak długo, jak Ken może w spokoju produkować swoją muzykę, pozostaje przyjazny i ugodowy.

- Zleciłem już prace wstępne dotyczące doboru odpowiedniego dla nas personelu - referował Faust. Zajmuje się tym, za milczącym przyzwoleniem feldfebla Schulza, mój kochany kolega niedoli Schafgott. Przygotowuje właśnie listy rzemieślników, maszynistów, elektryków i tak dalej. Większość z nich zarekwirował właściwie Müller dla niemieckiej komendantury, ale można ich od niego wyłuskać. Trzeba jedynie wiedzieć, jak się nazywają i gdzie ich szukać.

- Ten Schafsnase - czy jak on tam się nazywa - jest godny zaufania?

- Schafgott należy do tych nielicznych, z którymi chętnie rozmawiam. Ponadto wynagrodziłem go sowicie za tę robotę - odstąpiłem mu moje łóżko w baraku. To pierwsze po lewej, bezpośrednio przy drzwiach i pod frontowym oknem, tym samym ze świetnym przewiewem. Należało mi się jako pierwszemu piperowi.

Lecz naturalnie nie można go porównywać z apartamentem Sitah.

- Gdybyśmy tylko mogli spowodować, żeby McKellar pojeździł z nimi trochę na łyżwach, to wygrana byłaby nasza.

Po chwili twarz rozciągnął mu szeroki uśmiech. - Wiem nawet, jak to zrobić! Trzeba tylko rzeczywiście znaleźć jego słaby punkt.

- Silvers, niech pan nie pakuje McKellara w kłopoty - nie zasłużył sobie na to - powiedział Faust. Choćby z powodu Miss Timemaker.

- Ach, co tam - chcę przecież jak najlepiej dla nas - i tym samym dla Kena. I dlatego,

mój kochany, proponuję, co następuje: pan postara się o to, by w trakcie jednej z najbliższych nocy wszystkie instrumenty zespołu zostały zniszczone. I to dokładnie: skóry cielece porzniete, pałki połamane, kobzy rozcięte, a resztki można spryskać krwią.

- Silvers - przecież to absurdalne!

- Niech pan tylko sobie wyobrazi niechybne skutki, partnerze. Ken spadnie wreszcie ze swego księżycyca, potem może nawet, mam taką nadzieję, zapłacze; ostatecznie jest muzykiem. I nigdy nie wpadnie na to, że mógłby być to ktoś z jego grupy specjalnej, ktoś od was, kto mu to zrobił. Przecież nie jesteście aż tak głupi, żeby odcinać się od źródła.

- Nie jesteśmy, Silvers. Ostatecznie zawdzięczamy starszemu sierżantowi mnóstwo korzyści.

- Jasne, Faust. On wie o tym tak samo dobrze, jak i wy. I dlatego nie będzie nikogo z was podejrzewać. W takim razie kogo? No?

- Müllera i jego narodowych towarzyszy? O to panu chodzi, Sid?

- Dokładnie, Henry! Bo wiem, jak twardym i ostrym facetem potrafi być Ken, o ile zajdzie potrzeba. Zrobi z nimi taki porządek, że strzępy z nich polecą. I odtąd będzie to jego obóz. A wtedy z pewnością dostaniemy od niego wszystko, co tylko będzie mógł dostarczyć.

- Być może, Silvers. Pański plan jest diabelnie sprytny, lecz praktycznie nie do zrealizowania. Ponieważ jestem temu przeciwny. Nie można zrobić tego McKellarowi.

- Mój ty dobry Boże, Faust! Do tego jest pan jeszcze sentymentalny? Ale proszę się uspokoić - liczyłem się z góry z podobnym napadem uczuć. I odpowiednio się zabezpieczyłem. Jestem w posiadaniu dwóch skrzyń pełnych instrumentów muzycznych. Były przeznaczone dla szkockiego batalionu na Dalekim Wschodzie, stacja docelowa Singapur; ale zawieruszyły się w Kairze.

- Wystarczająca ilość instrumentów, Silvers?

- Dwa razy tyle, co dotychczas, plus części zamienne - czyli nie po sześć bębnów i kobz, ale po dwanaście. Z czymś takim Ken może, jeśli zechce, stworzyć tu całe konserwatorium.

- No, dobrze - życzę mu tego.

\*\*\*

- No i znowu - powiedział major T.S. Turner mile usposobiony zasiadając w fotelu brytyjskiego komendanta. - Coś szczególnego?

Kapitan Moone stojąc zaprzeczył grzecznie.

- Pytam jedynie z czystej rutyny - zapewnił T.S. Turner protekcjonalnie i spojrzął w

stronę ściennej szafy. - A może by tak whisky z dużą ilością lodu?

Pułkownik Nelson pojechał znowu do Kairu swoim rolls-roycem i tym samym ze swoim Sidem Silversem. Rzekomo służbowo. Czyli prawdopodobnie, żeby odwiedzić swoją córkę Nancy - tę „blond panterę”. Być może odrobić zaległości w jej wychowaniu, co było nad wyraz pożądane.

- A co to ma być? - zapytał Turner wskazując na mapę rozpiętą na bocznej ścianie.

- Rekonstrukcja bitwy pod El Alamein, sir.

- Przecież ją wygraliśmy. Nieprawdaż? Więc co tu jest jeszcze wielkiego do rekonstruowania?

T.S. Turner rozsiadł się z uśmiechem w fotelu pułkownika. Aby po chwili poderwać się szybko, jakby go ktoś wyrwał z pięknego snu, nastawić uszu z niedowierzaniem, a potem potrząsnąć gwałtownie kwadratową czaszką. - A to co znowu? - wyrzucił z siebie.

Dotarły do niego skowyczące sekwencje dźwięków, które usiłowały wzlecieć ponad głucho dudniące dźwięki bębnow pod samo niebo. Dźwięki, które - według jego tu i teraz jedynie miarodajnego przekonania - pochodziły jakby od tysiąca kotów.

- Podejrzewam, że to Ken McKellar ze swoim tak zwanym zespołem - zauważył kapitan Moone dyskretnie rozbawiony.

- Znowu on! - wykrzyknął major z szybko rosnącym oburzeniem.

- Zawsze te jego ekstra wycieczki. A teraz to już nawet tuż pod moim nosem. Tak blisko do mnie podejść to się jeszcze ten facet z tą swoją bandą nigdy nie odważył. Może dlatego, że nie ma pułkownika? Czy on chce mnie sprowokować?

Niezwłocznie wysłany został pracownik brytyjskiej komendatury obozu. Był nim przypadkowo kapral Copland. Wrócił za niecałe pięć minut i relacjonował z mało skrywanym rozbawieniem:

- Zespół starszego sierżanta McKellara ćwiczy pod jego kierownictwem, i to bezpośrednio pod lazaretem.

- Co pan na to powie, kapitanie?

- No tak, sir - ja również ten rodzaj muzyki nie uważam za najprzyjemniejszy. Ale pułkownik ma zwyczaj ją tolerować.

- Ale dlaczego właśnie pod lazaretem? - zawołał Turner. - Czy istnieje na to chociażby w połowie dostateczne wyjaśnienie?

- Jak najbardziej, sir, z punktu widzenia starszego sierżanta - poinformował radośnie kapral Copland. - Ponieważ jego pierwszy piper, niejaki Faust, znajduje się obecnie w lazarecie. I stamtąd ćwiczy wspólnie z całym zespołem.

- Panie Boże, co to za zwyczaj?

Major przygotowywał się do powstania, lecz przedtem wypił swoją whisky. - Przepędzę tę całą bandę, tam gdzie pieprz rośnie, łącznie z Faustem.

- Co się tyczy Fausta, to proponowałbym nie decydować o nim zbyt pochopnie, należałoby przedtem wysłuchać lekarza prowadzącego - uprzedził kapitan Moone.

Tenże pojawił się niezadługo. Był to doktor Ford - mały, szczupły, o nieśmiałej ptasiej twarzy, na której z trudem utrzymywały się grube rogowe okulary. Mówiło się, że to naukowiec wielkiej klasy, lecz najwidoczniej żaden doświadczony, zdolny do działania lekarz. Także i on był ofiarą tej wojny.

- Doktorze, słyszy pan to irytujące dudnienie i skomlenie? Nie uważa pan, że może to zaszkodzić pańskim pacjentom? - zapytał major.

- Niekoniecznie, sir - zapewnił łagodnie doktor Ford. - Na pewno nie w każdym przypadku. Muzyka może mieć nawet dobroczynne działanie.

- Ale przecież nie taka muzyka! - wykrzyknął major. - A co jest z tym Faustem? Pozwala mu pan występować tutaj w roli kłowna?

- On zdaje się być chory, sir. Można z niejaką pewnością przyjąć, że mamy do czynienia przede wszystkim z psychiczną czyli mentalną dolegliwością.

- Aha, czyli nie z chorobą, która byłaby groźna dla życia?

- Proszę to potwierdzić. No?

Major T.S. Turner zobaczył, jak doktor kiwa głową. A to mu wystarczyło. Podniósł się, obszedł tanecznie biurko pułkownika. - A teraz rzeczywiście pokażemy, z której strony tu wieje wiatr.

T.S. Turner umyślił sobie urządzić pokaz. Sytuację ocenił jako sprzyjającą. Opuścił w towarzystwie kapitana Moone'a budynek komendantury i kroczył zdecydowanie w kierunku tylko kilka metrów dalej położonego baraku lazaretu. Obszedł go wkoło i stanął wreszcie przed dyrygującym z zaangażowaniem McKellarem. Po czym zapytał: - Co pan tutaj robi?

- Muzykuję, sir - odpowiedział tenże przyjaźnie.

- Ale przecież nie na tym terenie! - powiedział energicznie major. - Ma pan natychmiast wrócić na teren niemieckiego obozu. I Fausta zabierze pan ze sobą.

- Jego nie! - zabrzmiał jasny, bojowy głos ze środkowego okna baraku. Z niego właśnie wychylała się Mary Timemaker, siostra przełożona. - On tu zostanie, jest chory.

- Ale nie obłożnie, co? Może jeszcze dać w swoją kobzę?

- Jest to rodzaj terapii, majorze Turner! - uniosła się Mary.

- Nic pan z tego nie rozumie!

- Tutaj chodzi o bezpieczeństwo, za które jestem odpowiedzialny, a o tym pani nie ma pojęcia! - odkrzyknął major Turner. - W każdym razie zarządzam, co następuje: pan, McKellar, oddali się stąd razem ze swoim tak zwanym zespołem. A Faust pomaszeruje z wami.

- Sir, chciałbym panu zwrócić uwagę, że jako odpowiedzialny za jeńców wojennych starszy sierżant podlegam wyłącznie pułkownikowi! - powiedział McKellar.

- Nie pułkownikowi, lecz komendantowi - skorygował major triumfalnym tonem - a obecnie ja nim jestem; w zastępstwie pułkownika Nelsona. Zrozumiano?

Ken McKellar milczał. Potem spojrział pytająco na kapitana Moone'a. Ten uciekł spojrzeniem w bok. Powiedział jednak z perswazją do Turnera: - Jeżeli mogę panu radzić, by zastosował pan bardziej wyważone środki...

- Nie zajdziemy w ten sposób daleko, kapitanie Moone! - oświadczył major Turner. - W tym obozie jest już zbyt wiele zaniedbań - nic też dziwnego, że szerzą się oznaki rozkładu. To się musi zmienić. I dlatego zarządzam, że ci notoryczni wyjcy mają natychmiast stąd zniknąć. Łącznie z Faustem! Żeby na moim terenie zapanował ostatecznie spokój.

\*\*\*

Podczas następnej nocy miały miejsce dwie akcje, jedna po drugiej. Ich skutki były przedziwnej natury.

Akcja pierwsza: zniszczenie instrumentów muzycznych.

Było to właściwie przedsięwzięcie jednego człowieka, wykonał je Faust. Feldfelbel Schulz jednak, jako pierwszy drummer i najwyższy rangą członek zespołu, przekazał Faustowi powierzony sobie klucz od składu instrumentów, drugi klucz, tak zwany „pierwszy”, posiadał Ken McKellar. A obergefrajter Schafgott został wystawiony jako czujka. Obaj zostali przez Fausta do pewnego stopnia wtajemniczeni w całą sprawę. Faust otworzył najpierw drzwi składu. Potem zniszczył w nich zamek. Dalej działał już w sposób bardzo celowy: najpierw, wręcz czule, rozciął w świetle dostarczonej mu przez Silversa latarki, wszystkie błony bębnów i pęcherze kobz, potem połamał fajki, rozdeptał ustniki, usiłował powyginać resztki twardej konstrukcji. Co również mu się udało.

Skutki swojej działalności zsunął stopą na jedną kupę i polał ją zawartością butelki, którą dostarczył mu pomysłodawca Silvers. Była to butelka whisky, jednak nie szkockiej, lecz amerykańskiej, do czego ten kawalarz Silvers przywiązywał znaczenie. Wypełnioną po brzegi benzyną.

W ten sposób powstał piękny pożar.

Doprowadził on bardzo szybko do dość efektownego pokazu.

Wartownicy na wieżach strażniczych zapalili wszystkie reflektory. Rozbrzmiały syreny alarmowe. Jeńcy wychodzili na świeże powietrze z początku doceniając jedynie chłód i rzeźkość nocy. Lecz feldfebel Schulz krzyczał: - Pożar, pożar! W naszym składzie!

W chwilę potem pojawił się w miejscu zajścia, w białym, kapitan Müller-Wipper. - Świństwo! - wykrzyknął pełen złych przeczuć.

Po kilku minutach płonący skład stał się miejscem spotkania prominentów obozu obu stron. Przy czym kapitan Müller-Wipper zareagował szybko i zatrudnił kilku swoich porządkowych do zabezpieczenia miejsca przestępstwa. Żaden z nich jednak nie czynił nic, by ugasić pożar.

- Jak to się mogło stać? - zapytał pułkownik von Schwerin nad wyraz zatroskany. Ubrany był w coś w rodzaju dresu treningowego. - Przecież to jest bezsensowne!

- Będzie miało jednak swoje konsekwencje - oznajmił major Turner, który nadbiegł spieszenie i to w pełni umundurowany. - I to konsekwencje, wobec których niektórym tutaj oczy wyjdą na wierzch.

Trochę później pojawił się również starszy sierżant Ken McKellar w towarzystwie Silversa. Ken wpatrywał się właściwie bezradnie w płomienie. - Kto się na coś takiego odważył? - zapytał po chwili ciężko. Był w widoczny sposób wstrząśnięty, szukał słów. Ale nie znalazł. Silvers odprowadził go z koleżeńską troskliwością.

Skład numer trzy - łącznie z instrumentami - spłonął na popiół w ciągu pół godziny.

Potem miała miejsce kolejna akcja nocna.

Została wywołana uwagą feldfebla Schulza i to pod adresem kapitana Müller-Wipperera. Uwaga brzmiała: - Dla mnie jest jasne, kto sobie na to pozwolił, i będzie musiał również za to zapłacić! Z pewnością drogo!

Więc akcją drugą było zrujnowanie baraku muzyków. Została przeprowadzona ponad godzinę później. Przewodnictwo przejął z najwyższą ochotą podporucznik Langohr, następcą podporucznika Kerna. Został do tego zainspirowany przez kapitana Müller-Wipperera - miał to zrobić z niejaką ostrożnością, która nie wykluczała jednak niemieckiej gruntowności.

Strażnicy porządku w ilości prawie trzech tuzinów, dyrygowani z oddali przez podporucznika Langohra, wpadli do baraku uzbrojeni przeważnie w łopaty, ale i w kamienie i inne metalowe przedmioty. Napadli na nie spodziewających się niczego śpiących ludzi, pobili ich, wykluczyli z gry.

Nastąpiło to szybko i składnie. Około sześciu z nich rzuciło się skrupulatnie na łóżko pierwsze z lewej przy wejściu, pomiędzy drzwiami i oknem, tym samym w miejscu

przewiewnym, i walili bez opamiętania. Pokażna reszta towarzystwa miotła się wzdłuż i w poprzek baraku. Wydawała z siebie jęki, krzyki, gulgoty, wrzaski wściekłości, dyszenie i rżenie. Po kilku jednak minutach było po wszystkim.

Na placu boju zostało dwóch ciężko pobitych stróżów porządku - minimum jednego z nich miał na swoim niewzruszonym sumieniu feldfebel Schulz. Ponadto jeden członek zespołu. Został wyłączony z zabawy prawdopodobnie na skutek pęknięcia czaszki lub masywnego wstrząsu mózgu. Lazaret Mary Timemaker zanotował wysoki przerób.

Na placu boju i to totalnie pozostał również posiadacz najlepszego łóżka w baraku; tego łóżka tuż po lewej przy wejściu, zajmowanego na krótko przedtem przez Fausta. Tam więc leżał Schafgott.

W ubraniu sklejonym krwią. Jak worek, który zawiera jedynie mięso i kości.

Schafgott był martwy. Ubity na śmierć.

\*\*\*

- Pytam się, jak do tego mogło dojść? - pułkownik Nelson patrzył surowo na kapitana Moone'a. - I mam wielką nadzieję, że może mi pan przedstawić, przekonujące wyjaśnienie.

- Sir - powiedział tenże - jeżeli można kogoś uczynić za to odpowiedzialnym, to chyba majora Turnera. Jego permanentna rywalizacja z Kenem McKellarem mogła być katalizatorem tych wszystkich zajść. Przedmiotem sporu był Faust.

- O tym człowieku myślałem bardzo długo! - powiedział pułkownik. - Sprowokowany do tego niejako przez Silversa. I wie pan, do jakiego wniosku doszedłem?

- Nie, sir - odparł kapitan Moone zgodnie z prawdą.

- Ten Faust - oznajmił z przekonaniem pułkownik Nelson - był najprawdopodobniej źle traktowany - jak koń wyścigowy, który może stać się płochliwy, jeśli nie w ogóle całkiem nieużyteczny na skutek nieodpowiedniego traktowania.

- Tak jest, sir, jakoś to do mnie dociera - powiedział kapitan przeciągle.

- I jak znam pana, Moone, ostrzegam pan zapewne majora przed prowokującymi przesadnymi i źle obliczonymi działaniami - pułkownik lustrował swojego adiutanta z sugestywną przychylnością. - Ale on pana nie posłuchał.

- Mimo iż w pobliżu byli Niemcy, sir. Lecz niezależnie od tego nie chciałem działać zbyt pochopnie, bo major telefonował stale do Kairu. Do tamtejszych służb.

- Co, w sprawach naszego obozu?

- Bardziej w sprawie bezpieczeństwa, jak sądzę.

- No dobrze. Turner ma się u mnie zjawić za pół godziny.

- On czeka już w poczekalni, sir.

- Z propozycjami natury zasadniczej, jak podejrzewam - będzie usiłował przekuć swoją niekompetencję na żądania, co?

Pułkownik zobaczył, jak kapitan kiwa głową. - Ale nie pójdzie mu to łatwo! Najpierw musi poczekać! Tymczasem przyjmę Sida Silvera, oprócz tego ma mi być przedłożony meldunek niemieckiej komendantury o tych nocnych świństwach.

Major Turner z trudem hamujący podniecenie ujrzał swojego pułkownika dopiero prawie godzinę później. A ten nie zaproponował mu nawet, by usiadł, tylko przeglądał swoje papiery, każąc mu stać.

- To wstrętne! - wykrzyknął Nelson. - Jak to się mogło stać?

- Sir - powiedział major jak najbardziej bojowo - to nie jest moja wina.

- Więc czyja, Turner? Na kogo chce pan zwalić odpowiedzialność?

- Na nikogo, sir! Zapewniam jedynie, że to nie było do przewidzenia. Także i przeze mnie. Takie zajścia nie pasują po prostu do moich żołnierskich wyobrażeń.

- Co panu pasuje, a co nie pasuje, Turner, to sprawa w tym kontekście absolutnie drugorzędna. Tutaj liczą się tylko fakty. A te fakty to między innymi: połamane instrumenty, własność armii brytyjskiej, i do tego zamordowany Niemiec.

- Ci Niemcy są absolutnie nieobliczalni. Na przykład ten Faust. I myślę, sir, że powinno być nam obojętne, że się wzajemnie wykańczają.

- Nie może nam być, Turner, nie w tej sytuacji. Bo to są nasi Niemcy. I niestety to pana działania bezpośrednio lub pośrednio doprowadziły do tej katastrofy.

- Kto tak twierdzi, może McKellar?

- Co pan ma przeciwko niemu, Turner, abstrahując od jego muzyki, która jest kwestią gustu. A oprócz tego? Jest to najlepszy człowiek w tym obozie, jakiego można sobie wyobrazić.

- Jest przeciwny systemowi klatek, sir, a ten musi wreszcie zostać wprowadzony w tym obozie. Bo inaczej nigdy nie zaprowadzimy porządku.

- I to, majorze, jest cała pańska mądrość?

- Jest to owoc moich wieloletnich doświadczeń. Trzeba dzielić, żeby opanować.

- A o psychologii pan nie słyszał?

- Tutaj, sir? W tej sytuacji? Jak mam to rozumieć?

- Spróbuję panu to wytłumaczyć, majorze Turner. Niech pan uważa. Publicznie robi pan z McKellara głupca, i to w obecności Niemców. Rujnuje pan tym samym autorytet McKellara. A to się szybko roznosi.

- Ależ on sam nadszarpnął znacznie swój autorytet swoją durną manią, tą małą muzyką.

- Turner - powiedział pułkownik Nelson ze znużeniem - wszyscy mamy słabe strony. U mnie jest to prawdopodobnie mój rolls-royce, u pana być może moja whisky, u Silversera to kobiety; kapitan Moone zbiera kryminały - ta wielka skrzynia po aktach w jego pokoju jest nimi wypełniona. A McKellar muzykuje. A pan co robi? Dostarcza pan Niemcom mnóstwo doskonałych odrażających powodów do tego, by zaprowadzili tutaj wręcz kanibalistyczne stosunki.

- Ja, sir? Przecież nie ja! Jeżeli szuka się winnego, to go dostarczę. Wykonuję jedynie moje obowiązki.

- Jak już powiedziałem, musi dojść do tego wszystkiego psychologia. Nierozważnie degradowuje pan starszego sierżanta tego obozu, do roli śmiesznego stracha na wróble. Co jest nieuchronną tego konsekwencją? Skumulowane uczucia wrogości szukają ujścia, ujawniają się głęboko skrywane uprzedzenia, okazja najprawdopodobniej długo wyczekiwana zostaje natychmiast wykorzystana. Zniszczeniu ulegają instrumenty muzyczne, a muzycy dostają w kość. Ginie jeden człowiek. I tylko dlatego, Turner, że niektórzy ludzie mogą uważać, że działali w pańskim duchu, niejako z pańskim błogosławieństwem.

- Sir, czy to stwierdzenie? Czy tylko podejrzenie?

- Takie jest moje zdanie, Turner, i tylko ono tu obowiązuje.

- Chce mnie pan zmienić?

- Nie ma znaczenia, czego chcę lub nie chcę. W naszej sytuacji chodzi o renomę najprzykładniejszego obozu na całym Bliskim Wschodzie.

- Ja muszę bronić również pewnej opinii o sobie, a nawet całego mojego autorytetu - powiedział Turner wyprężony, stojąc na sztywnych nogach.

- To, co się stało nie przemawia za panem, majorze.

- Ponieważ zawsze pomijano mnie, sir, ponieważ nikt mnie nie słuchał. I chciałbym to wreszcie pryncypialnie stwierdzić. A moje stanowisko mogę potwierdzić wieloma dowodami.

- Czyżby mi pan groził, majorze?

- Absolutnie nie, sir. Chcę jedynie zameldować, i to być może po raz ostatni, o moich wątpliwościach jako eksperta do spraw bezpieczeństwa. Mogę się odwołać do licznych miarodajnych ocen naszej sytuacji pochodzących od najlepszych specjalistów, o ile jest to konieczne. Jeżeli chce się uniknąć katastrofy, pomoc mogą jedynie radykalne kroki - ostateczne wprowadzenie systemu klatek.

- Ależ to średniowiecze, Turner!

- Ale tutaj jedynie skuteczne - gwarantuję to panu. A jeżeli do tego nie dojdzie, to czarno widzę przyszłość.

\*\*\*

- Na wiele rzeczy byłem przygotowany - oznajmił przygnębiony Ken McKellar. - Ale to nie powinno się było wydarzyć, nie to!

Sid Silvers poklepał starszego sierżanta w potężne plecy gestem przyjacielskiego współczucia. McKellar wyglądał niepokojąco ospale; może też i dlatego, że ostatniej nocy dostał od siostry przełożonej, swojej Mary, uspokajający zastrzyk. Prawdopodobnie trochę za dużą dawkę.

Silvers gotów był pomóc. - Jak pomyślisz, to dojdiesz do wniosku, że pewni ludzie nie chcieli wykończyć twojego zespołu, lecz ciebie.

- W pierwszym rzędzie moje instrumenty.

Silvers zaskoczył natychmiast i prawidłowo. - To musiał być wstrętny widok, co?

- Po prostu przerażający, Sid. Błony bębnow poprzecinane, miechy kobz też, fajki miały poukręcane szyje, ustniki zdeptane - i to wszystko zgarnięte na jedną kupę i polane benzyną. Benzyną z butelki po burbonie.

- Co ty powiesz, Ken! - wykrzyknął Silvers niemal grzmiącym głosem. Musiał się bardzo wysilać, by panować nad sobą. - Benzyna z butelki po amerykańskiej whisky na szkockie instrumenty. To jakby profanacja pomnika!

Zobaczył, jak przygnieciony brzemieniem losu McKellar kiwa głową. Siedzieli w prywatnej szopie Silversa na wymontowanych skórzanych siedzeniach rolls-royca. Sid zorganizował na tę okazję piwo ze Szkocji, z Glasgow. Ken zaledwie to zauważył, bez radości konesera. Cierpiał.

- Co za bezgraniczna bezczelność tych facetów, Ken. Nie dość, że zamieniają twoje instrumenty w kupę złomu, to jeszcze biją twoich ludzi. W gruncie rzeczy, Sid, zawdzięczam to wszystko Turnerowi. Ma coś przeciwko mnie.

McKellar zdawał się intensywnie myśleć. - Ale co?

- Może przeszkadza mu twoja muzyka? - pomógł ochoczo Silvers.

- Wykluczone! - wykrzyknął Ken z pełnym przekonaniem. - Przecież nikt nie może poważnie mieć coś przeciw muzyce. No tak, trochę się z niej podśmiewają, ale nikt nie traktuje tego poważnie. Chce mnie wykluczyć z niemieckiego obozu. On nie lubi mojego sposobu postępowania. Jestem dla niego zbyt ludzki.

- A dla pułkownika on jest z kolei zbyt wojskowy, Ken - coś takiego mogłoby się

wyrównać. Trzeba tylko to dostrzec i wykorzystać. Jeżeli włączysz się odpowiednio, to będziesz miał za sobą pułkownika i tym samym bezpieczne tyły. Musisz wyłożyć teraz swoje karty i pokazać, kto tu ma coś do powiedzenia - nie zważając na Müllera i jego Niemców. Łącznie z tym nieprzejednanym typem wiecznego zwycięzcy, porucznikiem Hartmannsweilerem.

- Ale to nie jest takie proste, Sid.

- Człowieku, co jeszcze musi się zdarzyć, żebyś się ocknął! Czy ty nie widzisz, że wystarczy działać?

Ken McKellar pokręcił swoją byczą głową i sięgnął po następną butelkę piwa z Glasgow. - Będzie z tym mnóstwo komplikacji, Sid. Tak na przykład twierdzi kapitan Müller-Wipper. Uważa, że całkiem możliwe, iż to moi ludzie zniszczyli sami instrumenty. Żeby mnie podburzyć.

- Naprawdę tak uważa? - zapytał Silvers z niejakim respektem.

Ten Müller był bardziej niebezpieczny, niż dotychczas przypuszczał. Zwiertzył prawdę.

- Ale naturalnie mu nie wierzysz, Ken?

- Jakbym mógł? - zawołał Ken McKellar. - Jednak, Sid, jego taktyka jest przemyślana. Konstruuje tezy, a innym pozostawia ich obalenie. Nie mogę mu udowodnić czegoś wręcz przeciwnego.

- Ale choć jedno jest dla ciebie jasne, Ken: usiłowano zamordować twojego pierwszego pipera, Fausta.

- Ale on żyje! - powiedział starszy sierżant. - Prawdopodobnie ukrył się w odpowiednim momencie, taki jest sprytny.

- Zamiast niego zabito jednak Schafgotta - i pozwalasz na coś takiego, Ken? Skapitulujesz przed tymi ludźmi?

- Przed światem, który stał się niemuzykalny.

- Nie musisz, Ken - oświadczył Sid Silvers otwierając nową butelkę. - Bo w ciągu dwudziestu czterech godzin mogę ci dostarczyć instrumenty. Nawet podwójną ich liczbę. Najlepszej jakości. Co na to powiesz?

- Jeżeli tak, to nic jeszcze nie przepadło. To może być nowy początek.

- Więcej, Ken - jeżeli umiesz dobrze liczyć. I chętnie ci w tym dopomogę.

- Ale muszę się też liczyć z Turnerem - wietrzy już okazję do wprowadzenia swojego systemu klatek.

- A nich wprowadza. Niczego to nie zmieni w twojej sytuacji, a on sam nie będzie

miął z tego najmniejszej korzyści. Może poza tym, że w przyszłości będzie mógł się więcej lenić. Czego mu życzymy. A wtedy obóz rozłożony na części pierwsze będzie z konieczności ograniczał ruchy niemieckiej komendantury.

- Będą się przed tym bronić. Wszelkimi środkami. Sprawią nam i pułkownikowi wiele kłopotów wszędzie, gdzie tylko będą mogli.

- Nie doceniasz Nelsona. Jest przeciwny systemowi Turnera, ale pójdzie na pewne ustępstwa. Lecz nie bez wyrównania sobie tego gdzie indziej. Człowieku, on potrafi żonglować równocześnie kilkoma piłkami! Nauczyłem go tego.

\*\*\*

- Niech pan popatrzy, panie von Schwerin - zawołał zapraszająco pułkownik Nelson. - Wykonałem tymczasem specjalną mapę bitwy pod El Alamein. Własnoręcznie!

- Ja zrobiłem dokładnie to samo, panie Nelson! - powiedział niemiecki pułkownik z koleżeńską serdecznością. Machał przy tym rolką papieru technicznego, jakby pozdrawiając buławą marszałkowską. - Bazując na moich specjalnych umiejętnościach, które zdobyłem jako oficer sztabu generalnego feldmarszałka Rommla.

- Jestem ogromnie ciekaw - zapewnił pułkownik. - Lecz najpierw, kochany, powinniśmy się trochę wzmocnić. Wskazał na stół stojący bokiem, na którym stały szklanki, butelki, talerze, kanapki na tacach, do tego srebrna misa z podobnymi do kawioru, ale złotozłotymi kuleczkami. - Ikra kanadyjskich pstrągów-olbrzymów - bardzo brytyjski przysmak; mam nadzieję, że będzie panu smakować.

- Z pewnością - stwierdził wiarygodnie pułkownik von Schwerin, ponieważ jego codzienna dieta w obozie składała się z fasoli, prosa i grochu. - Bardzo sobie cenię pańską wspaiałomyślną gościnę - naturalnie również i wtedy, gdyby życzył pan sobie rozmawiać ze mną na temat wczorajszych nocnych zajść. Przy czym był to jedynie pewien zbieg okoliczności.

- Nic innego - potwierdził natychmiast pułkownik Nelson. Okoliczności, które jednak mogą prowadzić w konsekwencji do takiej lub innej zmiany naszych dotychczasowych form organizacji - dodał po chwili.

- Zmiany dotyczącej również niemieckiej komendantury?

- Niekoniecznie, panie pułkowniku - a na pewno nie w sposób negatywny. Pański osobisty zakres działania pozostanie nietknięty - zatroszczę się o to.

I żartując po koleżeńsku Nelson dodał: - Przecież nie naraziłbym tak lekkomyślnie naszych harmonijnych kontaktów. Co pan sobie myśli? Ale chodźmy, kochany, płonę chęcią

zapoznania się z pańską mapą bitwy pod El Alamein, moją widzi pan na bocznej ścianie.

Pułkownik von Schwerin posilił się jeszcze pospiesznie, zanim rozwinął swoją mapę i przypiął pod planem bitwy pułkownika Nelsona. Oba dzieła pokryły efektownie prawie całą ścianę. Ich twórcy porównywali je krytycznie.

- Bardzo dziwne - powiedział pułkownik Nelson głęboko się zamyślając. - Zdaje się, że doszliśmy przy tej samej bitwie do różnych rezultatów.

- Co nie jest niczym dziwnym - odparł pułkownik von Schwerin. - Chodzi tu o nie całkiem jeszcze wyjaśnione szczegóły.

- Po to tu jesteśmy, żeby je zbadać. Niech pan zaczyna.

- Drobnostka, panie Nelson, na początku: wyrysował pan na swojej mapie zbyt duży odstęp między naszymi dwudziestą pierwszą i piętnastą dywizją pancerną z północnego zachodu na południowy zachód. Obie jednostki działały wspólnie i prawie na odległość ręki.

- Aha! Godne uwagi! Ale podobną drobnostkę muszę wytknąć i pańskiej mapie, panie von Schwerin. Wyrysował pan brytyjską dziesiątą dywizję pancerną w ofensywie na zachód, bezpośrednio na północ od brytyjskiej pięćdziesiątej pierwszej dywizji piechoty. To nie odpowiada faktom. Gdyż bezpośrednio między te dwie jednostki wsunęła się, opanowując pole bitwy, jedna z naszych elitarnych jednostek - pierwsza dywizja pancerna.

- Nad wyraz interesujące, panie Nelson! - zapewnił pułkownik. - Pochylił się, uklęknął, po czym podniósł się tuż koło mapy ściennej. Powiedział po chwili od niechcenia: - Te zapowiedziane przez pana nowe posunięcia w ramach obozu - czy zmieniają one dotychczasową równowagę?

- Jeżeli nawet - odparł pułkownik również mimochodem - to tylko z korzyścią dla pana. To znaczy z korzyścią dla niemieckich jeńców, co na jedno wychodzi.

- Rzeczywiście - potwierdził pułkownik von Schwerin bez entuzjazmu. - Taki rozwój sytuacji powinien mnie cieszyć.

- Nie będzie to takie zupełnie proste - wyjaśnił pułkownik. - Po ostatnich zajściach nie mogę niestety pewnych rzeczy uniknąć i będę musiał obiecać ekspertom do spraw bezpieczeństwa w tym obozie podjęcie pewnych kroków.

- Jakich?

- To się dopiero okaże, jeżeli chodzi o szczegóły. Może pan być jednak absolutnie pewny, że będę obstawał przy wyważonej równowadze. Ewentualne obostrzenia na jednym polu będą równoważone ułatwieniami na innym.

- W tym samym czasie?

- Stworzę komisję wewnętrzną i każę jej wypracować nowe propozycje mające na

celu rozluźnienie, ułatwienia, bogatszą ofertę co do spędzania czasu wolnego.

- Rozładowywanie napięć?

- Właśnie - temu przypisuję decydujące znaczenie, panie pułkowniku. Również w tym celu, bym wspólnie z panem mógł możliwie spokojnie oddawać się naszym historycznym badaniom. Jeżeli mogę prosić, niech pan teraz uważa na wkroczenie pańskich włoskich dywizji.

- Panie Nelson, one stały w gotowości daleko bardziej na południe, niż pan założył. Prawie dokładnie naprzeciwko pańskiej greckiej brygady i piętnastej brytyjskiej dywizji. Lecz pytam się, gdzie w tym czasie znajdowała się pańska francuska brygada ochotnicza?

- Również znacznie dalej na południe - za El Taka. Ale nie można tego oddać w pełni na płaskiej mapie. To, czego nam brakuje, to sugestia terenu.

- Powinniśmy wybudować piaskownicę - zaproponował rozentuzjasmowany pułkownik von Schwerin. - Kazać wybudować!

- Zgoda! - odpowiedział natychmiast pułkownik Nelson. Koniecznych do tego specjalistów musi dostarczyć nam starszy sierżant. Jeżeli ma zamiar przeorganizować ten obóz, to musi być to i dla nas opłacalne. Być może będziemy mogli też prowadzić konstruktywne gry wojenne z prawdziwego zdarzenia, panie pułkowniku, na rozległej przestrzeni, pod gołym niebem.

- Są to perspektywy, na które nie wolno nam się zamykać - zawołał radośnie pułkownik von Schwerin.

\*\*\*

- Jak myślisz, Ken, ile mnie kosztujesz? - zapytał Silvers natarczywie. - Majątek, kochany, ogromny majątek! Mam w Kairze pełne ręce roboty. Nie mogę sobie pozwolić na niekończące się gadanie.

- Nie jesteś bez winy - oświadczył starszy sierżant. - Pułkownik powiedział wyraźnie: razem z Silversem. Nic nie możesz na to poradzić. To jest służba.

- To jest marnowanie czasu. Co ostatecznie wychodzi na to samo.

Siedzieli w sali zabiegowej lazaretu, wokół stołu operacyjnego - tak zwana komisja „wewnętrzna”, zwołana przez McKellara na polecenie pułkownika, komisja, do której należeli: kapral Copland, mianowany na zastępcę starszego sierżanta; sierżant Silvers, jako rzekomo bezstronny doradca; feldfebel Schulz, kierownik organizacyjny grupy muzycznej i zausznik McKellara. A także Faust - zaproponowany przez Silvers, jako uznany i wszechstronny rzeczoznawca.

- Czego więc dokładnie oczekujesz od nas, Ken?

- Że mi pomożecie zaprowadzić tu wreszcie spokój i porządek, Sid.

- Nic prostszego! Potrzebujesz tylko zamknąć Niemców, zmniejszyć im racje żywnościowe o połowę, zakręcić im wodę, kazać im się ustawić w szeregu, a potem niech już tak sobie stoją. Dopóki się nie przewrócą. Co byś tym osiągnął? Nic ponad to, że kilku zwariuje, a kilku zejdzie z tego świata. Przysporzysz tylko Mary Timemaker dodatkowej pracy. Tym sposobem nie wykluczysz z gry niemieckiej komendantury - Müllera i Rossberga.

- Ale właśnie to chcemy teraz osiągnąć, Sid. Tak powiedział pułkownik, a właściwie dał do zrozumienia. Mamy ich wyhamować, zapewniając równocześnie dla równowagi niejaki ułatwienia.

- Pogodziłeś się już z systemem klatek Turnera?

- Bardzo niechętnie, Sid. Jeżeli jednak wynikną z tego jakieś korzyści na przykład w sferze kulturalnej...

- Masz na myśli swój zespół, co?

- Dla niego można pogodzić się z kilkoma niedogodnościami - zapewnił umiejętnie zagraną prostolinijnością feldfebel Schulz.

- To wszystko gówno - zawołał kapral Copland, „Sportowiec”, donośnie. - Brakuje tu dobrze przygotowanych zawodów sportowych. To na dłuższą metę najlepiej odwraca uwagę - znam się na tym!

- Czy wolno mi zapytać, co to tak w ogóle jest ten system klatek? - zapytał Faust.

- Najpopularniejsza metoda we wszystkich prawie obozach, szczególnie brytyjskich - wyjaśnił mu chętnie Silvers. - Powierzchnia dostępna dla jeńców jest podzielona na klatki, zwane także compounds, ogrodzone drutem kolczastym. W ten sposób powstają wyizolowane jednostki, każda dla około trzystu, do czterystu ludzi. Wygodniej ich kontrolować, łatwiej opanować.

- Rozumiem - odparł Faust. - A dlaczego tutaj nie wprowadzono dotychczas tego systemu?

- Dlatego, że zebranemu tu klubowi strzelców jarmarcznych przyznano pewne specjalne prawa. Oczywiście nieoficjalnie, ale jednoznacznie. Zadbął o to pułkownik. Ponieważ uważa Schwerina i resztę, czyli Müllera, Rossberga, Hartmannsweilera i spółkę za coś w rodzaju elity.

- Mnie też? - zapytał śmiejąc się Faust.

- No jasne, człowieku. To mówi samo za siebie. Dochodzi jeszcze i to, że Nelson postarał się, by można było ten obóz z efektem pokazywać. Czyli żadne tam zgrupowanie

namiotów w dołach w piachu; żadna kolonia zdegenerowanych, zapuszczonych, wałęsających się w śmierdzących uniformach jeńców; żadnych wynikających z braku higieny zarazków chorób. Za to stosunkowo dobrze odżywieni, w miarę zadowoleni barakowi ludzie, choćby i mieszkali pod blachą falistą. I to całe show zaledwie godzinkę jazdy z Kairu.

- I właśnie tutaj mają powstać klatki?

- Niech pan zapomni o tym pojęciu - zażądał McKellar, który podczas wyjaśnień Silversa zrobił się lekko niespokojny. - Podzielimy jedynie niemiecką część obozu na tak zwane strefy. Powiedzmy trzy. Celem ułatwienia przedsięwzięć organizacyjnych.

- Nieźle - zauważył tym razem Schulz-Lisek. - W ten sposób członkowie niemieckiej komendantury nie będą już mogli bez przeszkód pętać się od baraku do baraku i wtykać swój nos we wszystko.

- Dobrze pan to ujął, feldfebel Schulz! - powiedział starszy sierżant.

- Niech pan sobie wyobrazi rzecz następującą: Mamy naszą szeroką drogę obozową ciągnącą się od środkowej bramy przez prawie cały obóz. Po jej lewej stronie znajdują się baraki, które ogradzamy. Tak powstaje strefa A a w niej niemiecka komendantura. Potem stworzymy strefę B z baraków po prawej stronie drogi. A w niej mój, nasz zespół. Na końcu tworzy się z poprzecznie rozmieszczonych pozostałych baraków strefę C. I wszędzie jeszcze pole do pracy.

- Chyba istotnie długo nad tym myślałeś - zauważył Sid Silvers patrząc w zamyśleniu na Fausta. - Mam nadzieję, że nie myślisz tylko o swoim zespole.

- Chciałbym zwrócić uwagę na pewien szczegół - zameldował z właściwą sobie skromnością feldfebel Schulz.

- Cenne instrumenty, jak te nasze, wymagają dbałości. Godny polecenia byłby specjalny warsztat z odpowiednimi siłami fachowymi.

- A ci fachowcy - dodał Silvers perspektywicznie - musieliby być stale uzupełniani i sensownie wykorzystani, czym zajmę się z przyjemnością.

- Dlaczego nie? - odrzekł McKellar.

- To wszystko gówno - stwierdził generalnie kapral Copland. - Tylko imprezy sportowe stuprocentowo odciągają uwagę od beznadziejności.

- Najlepszy kucharz w obozie - pozwolił sobie zaproponować łagodnym głosem feldfebel Schulz - jest członkiem naszego zespołu, gefrajter Kuhn, nasz trzeci piper. Usunięcie kuchni centralnej ze strefy niemieckiej komendantury obozu i przeniesienie jej do strefy B mogłoby być posunięciem wielce praktycznym.

- Powoli, ludzie, powoli! - zawołał starszy sierżant. - Mam polecenie pułkownika, by

postępować z najwyższą delikatnością. Wyraźnie mi powiedział: „Proszę postarać się uniknąć, by określani ludzie jak Rossberg, Müller i spółka nie poczuli się przyparci do muru.”

- Nie powinienes łudzić się, Ken. Ci faceci szybko się połapią, w którym kierunku idzie nagonka.

- Niekoniecznie, Sid! Bo wspaniałomyślnie zadbano o urozmaicenie w najbliższych dniach. Mięso wydawane będzie nie tylko dwa, ale trzy razy w tygodniu - wielbłądzie, wołowe i baranina. Mają być rozdane niemieckojęzyczne gazety i po pięć papierosów na głowę. I do tego absolutny szczyt: każdy jeniec wojenny otrzyma blankiet telegramu Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Będzie mu wolno oprócz adresu i podpisu wpisać pięć dowolnych słów.

- To się po prostu w głowie nie mieści - zauważył Sid Silvers.

- Ogrom możliwości - powiedział w zadumie feldfebel Schulz.

- Mamy po pierwsze zapewnione spokojne muzykowanie, do tego dochodzi kuchnia obozowa w naszej strefie. Wreszcie, mogą powstać warsztaty, grupy robocze, demokratyczne kółka zainteresowań, ośrodki kształceniowe, a do tego forum dyskusyjne. Ponadto, być może jako rzecz główna - dobrze pokierowana aktywność sportowa.

- Klub lub też kilka klubów piłki nożnej - wykrzyknął uradowany kapral Copland. - Właśnie tego nam brakuje. Chętnie się za to wezmę, bo znam się nieco na tym. Jeżeli to przeforsujemy, mogę zagwarantować murowany sukces.

- Nie macie żadnych obaw? - zapytał zdziwiony Ken McKellar.

- Dlaczego, człowieku? Przecież tu chodzi o wielkie sprawy. A w takich doprawdy można wiele zdziałać.

\*\*\*

Sid Silvers zatrzymał ciężarówkę na środku wielkiego mostu na Nilu. Tuż koło hotelu „Semiramis”. Druga ciężarówka pojawiła się kilka minut później. Wysiadł z niej porucznik. Wszystko to działo się jak to się mówi, na oczach najszerzej publiczności, tyle, że nikt nie zwracał na to uwagi.

- Dwunastu ludzi? - zapytał porucznik.

- Czternastu - odpowiedział Silvers. - Dwóch dostarczam gratis. Na wszelki wypadek. Na przyszłość życzę sobie jasno sformułowane zamówienie. Nie wystarczy powiedzieć elektryk, lecz dokładnie określić, jaki elektryk, czy do linii wysokiego napięcia, czy do przełożenia kabli, czy reperowania aparatów radiowych. Tym razem dostarczam panu przesyłkę dającą możliwość wyboru.

- Bez nadpłaty?

- Rozumie się! Dokładnie na siedem godzin.

Porucznik wyjął z munduru grubą kopertę i podał ją Silversowi. Ten rzucił do środka jedynie krótkie spojrzenie. Zaufanie za zaufanie. Potem wetknął honorarium do swojej kieszeni. Nie musiał sprawdzać sumy, Silvers się nie oszukiwało. A jeżeli nawet, to potem tego żałowano i nigdy nie próbowano powtarzać.

- Przesiadka! - zawołał Silvers do swoich ludzi. Czternastu ludzi i dwóch strażników opuściło swoją ciężarówkę i przesiadło się do ciężarówki porucznika. A ten uczynił ruch ręką, jakby odpowiadał automatycznie na wojskowe pozdrowienie, wsiadł i odjechał. Silvers nie patrzył za nim.

- Może się pan już przesiąść do mnie, do kabiny - zawołał do Fausta.

Ten z ochotą wyczołgał się z tylnej części ciężarówki i zeskoczył na świeże powietrze. Tutaj otrząsnął się trochę, otrzepał ubranie z kurzu i rozejrzał dokoła. Zdziwiony stwierdził, że znajduje się w samym środku Kairu, i to prawdopodobnie w tym punkcie miasta, z którego rozciągał się najwspanialszy widok.

Nil płynął pod nim leniwie migocząc blado, połyskując w zmęczonym rytmie jak prastare srebro. Na jego lewym brzegu pod ogromnymi liśćmi palm stojących przy szerokiej ulicy kołysał się łańcuch łodzi mieszkalnych. Bezpośrednio za nimi: potężne pałace hotelowe, wśród których królował w swym orientalnym przepychu „Semiramis” i elegancki „Sheppard”: do tego nieskończenie wiele renomowanych kwater o podobnych cenach. Wreszcie, w zaplanowanym z rozmachem ogrodzie, rezydencja brytyjskiego królewskiego ambasadora na ziemi egipskiej.

- Jeżeli chciał pan wprowadzić mnie w zdumienie, to osiągnął pan swój cel, Silvers.

- Niech pan nie zapomni popatrzeć i na prawo. Żeby panu to zdziwienie zbyt szybko nie przeszło.

Prawy brzeg zdawał się tworzyć prześwietlony słońcem las palmowy. Połyskiwały w nim białe wille. A horyzont, jakby tuż za lasem, cały był w oślepiającej szarości i żółci. Można było dostrzec piramidy, wśród których leżał Sfinks: budowle powstałe ze spiętrzonych kamiennych bloków zdające się dotykać nieba. Tutaj z odległości około siedmiu kilometrów wydawały się gładkie i jednolite.

- Ten widok to złudzenie - zapewnił Silvers. - Gdy się patrzy z bliska piramidy wyglądają bardziej na olbrzymią kupę gruzu - tak jak i ta przetrącona historia świata.

- Zobaczyłbym chętnie piramidy i Sfinksa - powiedział Faust.

- Może później - odrzekł Silvers - w ramach podziękowania za mejmy nadzieję,

wyświadczono usługi. Na początek skoncentrujemy się na bliżej położonych obiektach. Na przykład na hotelu „Semiramis”. Ponieważ będzie pan tam za chwilę moim gościem.

- Silvers - powiedział Faust - czasami, tak jak teraz, wydaje mi się pan zwykłym wariatem.

- A dlaczego? - zapytał zaciekawiony Silvers. - Właśnie, dlaczego?

- Zatrzymuje się pan po prostu w środku Kairu, na moście....

-...ale przecież nie po to, żeby sprawić panu przyjemność. Chodzi tu bardziej o sprawdzoną starą zasadę: ludzie pilnowani, czy to kryminaliści, czy jeńcy wojenni, muszą być przekazywani przy pełnym zabezpieczeniu, jak na przykład: w zamkniętych pomieszczeniach, na terenie ogrodzonym, w szczerym polu, lub tak jak tutaj - na łatwym do ogarnięcia i opanowania moście.

- Czego pan dzisiaj ode mnie oczekuje? Pozwoli mi pan pojechać do Sitah?

- Nie ma na to dzisiaj czasu. Oczekuje pana Muhammed - w hallu hotelu „Simiramis”.

Wypije pan z nim drinka.

- Tak jak stoję?

- Tak jak pan tu stoi, nie przeszedłby pan w Kairze trzech kroków. Dlaczego pan tak głupio pyta?

Silvers podszedł do ciężarówki, a Faust podążył za nim. Otworzył lewe przednie drzwi ciężarówki i kiwnął do siedzącego tam kierowcy. - Już czas Peter! Zawieziesz naszego kolegę pod mój dotychczasowy adres, tam będziesz mu towarzyszył do drzwi numer sześć zero sześć, pozwolisz mu wejść i poczekasz na niego przed drzwiami.

- Jak długo, Sid?

- Najwyżej trzydzieści minut i ani sekundy dłużej.

- Zrobi się!

- Potem przywieziesz go do hotelu „Semiramis” - tuż przed główne wejście. Jeżeli mnie nie będzie, Peter, możesz zatrzeć - trzy razy krótko. Osobiście przejmę pana Fausta. I jeszcze jedno: nie dziw się niczemu, żeby nie wiem, jak wyglądał.

- Już od dawna nie dziwię się niczemu - zapewnił śmiejąc się Peter O’Casey.

- A jak będę wyglądać? - zapytał sceptycznie Faust.

- A jak pana zdaniem wygląda Arab? - Silvers zdawał się nieźle bawić. - Będzie mógł pan wypróbować pańską piękną szatę, przechowywaną u Sitah. Jakże inaczej mam pana podjąć w hotelu „Semiramis”?

- Jest pan ciekaw, jak to będzie, co?

- No jasne. Jeszcze tylko jedna mała uwaga na boku. Niech pan nie próbuje żadnych

głupstw, jak długo jest pan pod opieką mojego przyjaciela Petera O'Casey. Mogę na nim polegać, ponieważ jakiś czas temu uwolniłem go od bardzo groźnego oskarżenia o zamach przy użyciu środków wybuchowych, zeznając pod przysięgą. Peter jest zdeklarowanym Irlandczykiem, dokładniej północnym Irlandczykiem - i oni też mają to w sobie.

- I w co ja wpadłem! - wykrzyknął Faust.

- W towarzystwo, które jest pana warte! - oświadczył Silvers.

\*\*\*

W obozie niemieckim pojawił się major T.S.Turner w asyście starszego sierżanta McKellara. Za nim szedł cały korowód: obaj porucznicy, Miller i Mills, po obu bokach radośnie sapiącego Morsa Pustynnego, dalej szło sześciu sierżantów i dwunastu po zęby uzbrojonych żołnierzy. Na końcu sunął kapral machając linią mierniczą, a jeszcze za nim czterech żołnierzy ciągnęło metrowej wysokości czerwone kołki i drewniane młoty.

Major stanął nagle lekko rozstawiając nogi, na środku obozowej drogi. - Do roboty! - obwieścił donośnie.

Uzbrojeni żołnierze rozsypali się na dwa szeregi, porucznicy stanęli na flankach, a sierżanci otoczyli ich, jak dobrze wyćwiczone, godne zaufania wilczury. Major Turner, zawsze w tych sprawach dokładny, ćwiczył z nimi ten manewr wielokrotnie na pustyni.

Kapral zaczął obmierzać drogę obozową fachowymi ruchami i z pewnością eksperta. Zaraz potem, dokładnie według jego wskazówek, ustawione zostały pierwsze czerwone kołki. On także przeciwiczył te pomiary.

Podczas, gdy Turner stał jak słup soli, McKellar obserwował niemieckich jeńców, którzy wylęgali z baraków w południowy upał udając się w kierunku obozowej drogi. Zachowywali jednak spokój, utrzymywali dystans, obserwowali ze zmarszczonymi czołami, stojąc przeważnie w małych grupkach, to, co działo się przed ich oczyma - nie pojmując niczego. Na ich czerwonych, spoconych twarzach malowała się ciekawość, bazradność i zatroskanie.

- Niech pan uważa na swoich pupilków, McKellar - zasugerował major. - Powinien pan rozkazać tym gnojom, by zniknęli w swoich barakach. Jak się będą tak gapić, to mogą im przyjść do głowy głupie myśli. A mogłoby się to dla nich źle skończyć.

Starszy sierżant sprzeciwił się natychmiast. - W barakach tylko by kombinowali, a tak mogą tu na zewnątrz coś zobaczyć, to rozprasza. Wiem z doświadczenia, sir! Ostatecznie znam moich Niemców. Nie wskakują natychmiast na barykady. Niech pan lepiej uważa na to, co teraz nadchodzi.

To, co nadeszło, to był kapitan Müller, adiutant niemieckiego komendanta obozu - nieuchronnie w towarzystwie majora Rossberga. Obaj przyjeżdżali dosłownie do samego majora Turnera i zatrzymali się dopiero tuż przed nim. Chociaż byli wyraźnie zdenerwowani, pozdrowili go bardzo poprawnie. Major odpowiedział im nie mniej poprawnym pozdrowieniem.

- Czy wolno nam zapytać, sir, co to ma oznaczać?

- Nie - odparł Turner krótko.

- Pytanie stawiam z polecenia niemieckiego komendanta obozu, pana pułkownika von Schwerin, sir.

- Również jego pytania nie wymagają odpowiedzi - odpowiedział Turner nieprzystępnie.

Zdenerwowanie kapitana Müllera rosło - zaniepokojony w najwyższym stopniu spojrzał na majora Rossberga. Ten wysunął się trochę do przodu i zaznaczył nie tyle natarczywie, co dobitnie:

- Pułkownik von Schwerin przykłada duże znaczenie do poinformowania nas, co mają oznaczać te już wdrożone, lecz dla nas zupełnie niepojęte, ani co do celu, ani co do rozmiaru działania.

- Kwestia bezpieczeństwa - powiedział niechętnie major. - Nikomu nic do tego. Należy to wyłącznie do moich kompetencji.

- Chodzi o sprawy czysto organizacyjne. Ma to poprawić strukturalną przejrzystość obozu i umożliwić jeszcze lepsze sprawowanie nad nim pieczy - McKellar poczuł się w obowiązku łagodząco wyjaśnić.

- Tak jest - oświadczył donośnie T.S. Turner - tak właśnie jest. Zarządzenie pułkownika Nelsona. Dalsze gadanie na ten temat zabronione. Przejdźmy wreszcie do części praktycznej tego festynu, McKellar.

Ten skinął głową. - Obóz zostanie podzielony na trzy strefy, lecz nie oddzielony, panie kapitanie. Pułkownik podkreśla tę różnicę. Funkcja niemieckiej komendantury obozu zostanie w pełni zachowana - abstrahując od kilku małych organizacyjnych zmian.

- Jakie to będą zmiany? - wpadł w słowo Müller-Wipper.

- Otrzymacie dodatkowe organy organizacyjne i administracyjne - oznajmił Ken McKellar. - Ponieważ należy wyznaczyć dla nowo powstałych trzech stref A,B,C trzech starostów.

- Za pozwoleniem - wmieszał się major Rossberg. - Coś takiego trzeba dokładnie przemyśleć.

- Bez gadania - szczerknął ostro major Turner. - Sprawa musi być załatwiona jeszcze dzisiaj.

Kapral-mierniczy Copland kończył tymczasem swoją pracę. Pierwsze czerwone kołki zostały wbite. Przebieg drutu kolczastego po lewej, prawej stronie i na końcu drogi obozowej został już wyznaczony, tak jak i trzy nowe wewnętrzne bramy. Pośrodku z lewej strony - brama A, pośrodku z prawej strony - brama B, z tyłu pośrodku - brama C.

- To są dyskryminujące poczynania - wykrzyknął teraz kapitan Müller z domieszką groźby w głosie.

- Gównno to pana obchodzi - Turner.

- Przedkładam to ostrzeżenie w imieniu pułkownika Schwerina.

Turner nie mniej grubiańsko: - Jego też gównno to obchodzi.

Milczeli obaj dłuższą chwilę. Turner grał cały ten czas posąg. Brytyjscy żołnierze stali wokół rozluźnieni. Niemieccy jeńcy wyczekiwali nie bardzo wiedząc czego.

Starszy sierżant odezwał się wreszcie dobrodusznie: - Czego chcecie? W drodze do waszego końcowego zwycięstwa musieliście przyzwyczaić się do wielu rzeczy - dlaczego więc i nie do tego?

- Dość tego pytlowania, McKellar! - wykrzyknął major. - Proszę przejść do części praktycznej. Proszę zwołać grupy robocze.

- Proszę zatem o przyjazną współpracę - zażądał starszy sierżant z zaakcentowaną uprzejmością od kapitana Müllera. - Trzy większe grupy po dwudziestu, dwudziestu pięciu ludzi wystarczą.

- Do czego?

- Do ustawienia ogrodzenia z drutu kolczastego.

- Przez nas?

- A przez kogóż innego, panie kapitanie?

- Co? Co? Mamy sami siebie....?

- Drut kolczasty jest przygotowany w wystarczającej ilości - zwoje S i K, zna się pan na tym. Drewniane kołki też są. Możecie zaczynać.

Kapitan Müller patrząc ponuro wypchnął przed siebie niecierpliwie majora Rossberga. Ten ułożył swą twarz w pełne zadumy zmarszczki i oświadczył: - Zgodnie z konwencją genewską jeńcy wojenni nie mogą być zmuszani do udziału w stawianiu obozu dla nich przeznaczonego.

- Nie musi pan, jeżeli pan nie chce, czepiać się na siłę konwencji genewskiej! - odrzekł McKellar. - Wystarczy podpisać oświadczenie o rezygnacji. Formularze są dostępne.

- Ale pan nie chce, co? - zapytał T.S. Turner triumfując.

- Nie - oświadczył Müller-Wipper.

- Przynajmniej nie bez dokładnego przemyślenia i przedyskutowania - włączył się Rossberg.

- Więc stwierdzam, że pan nie chce! - major Turner uśmiechał się zadowolony z siebie. - Pan odmawia współpracy z nami.

- Ależ nie, zasadniczo nie. Tylko w tym szczególnym wypadku....

- Widać całą pańską impertynencję - T.S. Turner zrobił odrzucający ruch ręką. - Jeżeli pan uważa, że jesteśmy na pana zdani, to się pan grubo myli. I będzie to miało swoje konsekwencje.

- Niech panowie będą rozsądni - powiedział Ken McKellar do obu niemieckich oficerów. - Inaczej może was ominąć przyłączenie.

Milczeli. Rossberg chwilowo wyglądał bezradnie. Müller-Wipper szukał wzrokiem pułkownika Schwerina, lecz ten się nie pokazywał. Prawdopodobnie dłużył coś przy swoich planach bitewnych. Jeńcy gapili się niemo. Major Rossberg splunął na piasek.

- Zdecydujcie się - powiedział przekonując starszy sierżant.

- Nie powinna być to trudna decyzja, bo nie macie wyboru. Musicie współpracować.

- Mamy swoją godność! - zauważył Müller-Wipper.

McKellar potrząsnął swoją potężną czaszką: - Nieważne, co przez to rozumiecie, ale w tym szczególnym wypadku popełniacie błąd.

A major Turner pospieszył z oświadczeniem: - Uważacie z pewnością panowie, że możecie narobić mi - mi - kłopotów. Ale grubo się mylicie. Gdyż już na wstępie liczyłem się z waszą gotowością do sabotażu i dlatego zapewniłem sobie poza materiałem na ogrodzenie również i brytyjską grupę saperów, i co wy na to?

Nie odpowiedzieli. Wpatrywali się jedynie w Turnera. A potem popatrzyli na McKellara szukając pomocy. Lecz ten powiedział zwięźle: - Będziemy się więc znowu starali coś z tego zrobić!

\*\*\*

- Tylko żadnych fałszywych ruchów, kolego! - zalecił Peter O'Casey przekazanemu Faustowi. I brzmiało to prawie przyjaźnie.

- Musisz wiedzieć, że jestem drażliwy, jeśli chodzi o Sida. Ale mam nadzieję, że będziesz rozsądny.

- A co mi innego pozostaje? - odrzekł Faust podnosząc wzrok na ważący co najmniej

dwa cetrnary kawał mięsa siedzący obok.

- Ani trochę nie zależy mi na walce wręcz z tobą. Ponadto ja również niestety przyjaźnię się z twoim Sidem, co jak wiesz nie jest najprostsze.

- Mimo to postaraj się - powiedział Peter O'Casey. - U niego to się opłaca.

Stali w windzie blisko siebie. Kiedy zatrzymała się na szóstym piętrze, Peter otworzył zapraszająco, lecz bez słowa drzwi. Tak, jakby już powiedział wszystko, co było do powiedzenia. Ze słoniową rozwagą sunął za Faustem korytarzem.

Ten zadzwonił do drzwi, choć miał klucz. Zadzwonił dwa razy krótko i raz długo. Otworzyła Sitah. Patrzyła na niego promiennie swoimi ciemnymi, namiętymi oczyma - na Petera przezornie też.

- Dostarczony zgodnie z poleceniem - oświadczył Peter O'Casey. Po czym oparł się o ścianę w korytarzu, jak przedmiot, który zawsze się tam znajdował.

- Więć znowu jesteś! - zawołała Sitah. Rzuciła się na Fausta i objęła go z umiejętną gwałtownością.

- Trzydzieści minut, od tego momentu - stwierdził nieruchomy Peter O'Casey.

- Słyszałaś - powiedział Faust usiłując się łagodnie uwolnić od Sitah. - Nie mogę dłużej zostać.

- Powinieneś mieć dla mnie więcej czasu. A może nie ma to dla ciebie znaczenia? - zapytała zatroskanym tonem wciągając go do mieszkania. - Wiele dla mnie znaczysz, przecież wiesz.

- Z pełną wzajemnością - zapewnił Faust. - Lecz nie mogę niestety robić tego, na co mam ochotę i tak, jak bym chciał. Na pewno to zrozumiesz. Liczne interesy znajdują się chwilowo na pierwszym miejscu.

- On jest przeciwko nam! - zawołała oskarżycielsko Sitah mając bez wątpienia na myśli Sida Silvera. - Nie pozwala nam na nic! Na nic, co rzeczywiście się liczy.

- Tylko po kolei, Sitah! - Faust uważał ją za niezwykle pociągającą i dlatego też starał się zachować dystans. Płaszcz kąpielowy, który narzuciła na siebie, nie skrywał jedynych w swym rodzaju konturów ciała. - Wydaje mi się, że Sid pozwoliłby nam na wszystko, co sobie zamierzamy, nieważne z jakich powodów. Lecz nie może sobie jeszcze na to pozwolić. Bo tkwi po uszy w trudnych transakcjach.

- Nie znasz go! - powiedziała ostrzegawczo Sitah. - Trudno go przejrzyć. I obawiam się, że jest zdolny do wszystkiego.

- Mam nadzieję!

- Nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć. Ja wiem natomiast jedno:

wykorzystywał mnie kiedy i jak tylko chciał. I spróbuje tego również z tobą. Nie powinniśmy się o niego troszczyć.

- Ale on istnieje.

- Ale nie teraz i nie tutaj - Sitah chwyciła go za rękę. - Chodź, spróbujemy o nim zapomnieć.

- Bardzo bym tego chciał, ale to jest praktycznie niemożliwe, Sitah. Dał mi plan zajęć, a ten nie pozwala na dłuższą przyjemność.

- Widzisz więc, jaki jest wyrachowany - patrzyła na niego swoimi dużymi zmartwionymi oczami. - Naprawdę będziesz mu na wszystko pozwalał?

- Jesteś bardzo piękna - powiedział Faust. - Wspaniale jest spać z tobą. Jesteś dla mnie jak bajka. Jeżeli jednak chcemy tu sobie spokojnie żyć, to musimy mieć do tego warunki. A to jest możliwe tylko z Silversem.

- To prawda, że dokładnie wiesz, czego chcesz, tak jak i on - powiedziała Sitah z nadzieją. - I dostaniesz to, czego chcesz. Jeżeli już ktoś, to tylko ty.

- Zobaczymy - odparł Faust. I zaczął rozpinąć marynarkę. Zdjął ją mówiąc do Sitah: - Nie rozbieram się, tylko przebieram. Gdzie jest mój arabski kostium?

Sitah nie tylko starannie przechowała jego szatę, ale ponownie ją wyczyściła i wyprasowała. Prawie uroczyście wniosła ją na swych rękach. Wyglądała skromnie i elegancko równocześnie. - Chodź - powiedziała z dwuznacznym uśmiechem - pomogę ci ją założyć. Dobrze?

Wiedział, co nieuchronnie nastąpi, ale pozwolił, by to się stało. Pewnie i dlatego, że polegał na Peterze O'Caseyu: zadudni w drzwi po upływie określonego czasu, dokładnie co do sekundy. I tak się stało.

Faust uwolnił się od Sitah, pożegnał się i wybiegł na korytarz. Tutaj zderzył się prawie z O'Caseyem, który złapał go za ramię i odsunął na odległość ręki.

- Chłopcze! - wykrzyknął Peter. - Nie wierzę własnym oczom! Co za widok! Od mojej ostatniej wizyty w teatrze, a było to przed laty w Belfaście, nie widziałem czegoś równie komicznego.

\*\*\*

- To, co się tutaj dzieje zagraża dotychczasowemu, z takim trudem wypracowanemu zaufaniu między brytyjską i niemiecką komendanturą.

- Złożymy zażalenie - uzupełnił major Rossberg mocno, lecz dyplomatycznie. - W dodatku na piśmie!

- Proszę bardzo - powiedział starszy sierżant. - Tylko proszę się pospieszyć.

Praca przy ogrodzeniu postępowała wyraźnie. Przygotowany brytyjski oddział saperów posiadał ostatecznie wieloletnie doświadczenie na tym polu. Był właśnie w trakcie montowania bram wewnętrznych, a szło to o tyle szybciej, że major Turner ze swoją świtą był od dłuższego czasu nieobecny, więc nikt im nie przeszkadzał. Tylko starszy sierżant nadzorował teren.

- Moim zadaniem nie jest prowadzenie negocjacji, lecz wypełnianie rozkazów - oświadczył obu niemieckim oficerom. - Nie można ode mnie oczekiwać jakichkolwiek wyjaśnień. Dodatkowych informacji mogą panom udzielić major Turner i kapitan Moone. Do nich powinni panowie się zwrócić.

Tego właśnie próbowali. Z typowym rezultatem, jeśli idzie o załatwianie z Brytyjczykami drażliwych spraw należących do ich kompetencji. Major oświadczył, że nie ma im nic do powiedzenia. A kapitan kazał przekazać, że zatrzymują go niestety ważne sprawy służbowe.

Najgorsze jednak było to, że pułkownik von Schwerin zostawił ich na pastwę losu. Oświadczył, że nie widzi sensu ani możliwości, by poddawać w wątpliwość postępowanie Brytyjczyków, tak długo jak poruszają się w ramach konwencji genewskiej.

- A co będzie z tak zwanymi starostami stref? - pytał kapitan Müller-Wipper.

- Załatwię to sam - powiedział wielkodusznie McKellar.

- Ale prosił pan nas stanowczo o współpracę w tej sprawie.

- Wy jej odmówiliście.

- Poprosiliśmy jedynie o czas do zastanowienia - wyjaśnił major Rossberg. - Teraz jednak możemy przedstawić nasze propozycje dotyczące tej sprawy. Potrzebuje pan trzech starostów stref, nieprawdaż?

- Jeszcze tylko dwóch - sprostował McKellar. - Jednego już mam.

- Co? - wykrzyknął kapitan zdenerwowany. - Bez pytania nas o zdanie? Bez naszej wiedzy? Tak po prostu? Nie pozwolimy na to!

Major Rossberg dodał uspokajająco: - Zupełnie możliwe, że będziemy zgodni w tej kwestii. Kim jest ten zaakceptowany przez pana starosta strefy?

- Feldfebel Schulz.

- Ach tak! - powiedział Rossberg z widoczną ulgą. Nie traktował Schulza jako zagrożenia - był on jedynie czymś w rodzaju muzykującego człowieka: a taka istota, jak mówiło mu doświadczenie, łatwo da się ustawić. - Dlaczego nie?

- Ale gdzie ma być starostą? - chciał wiedzieć Müller. - Chyba nie w bloku A, gdzie

znajduje się nasza komendantura?

- W strefie B - odpowiedział spokojnie McKellar.

- Ależ Schulz znajduje się w strefie A.

- To się go po prostu przeniesie. Przecież nie musi tu być wszystko ustalone raz na zawsze. Nie mam racji?

- Ta manipulacja jest dla mnie w najwyższym stopniu zastanawiająca... - oświadczył Müller-Wipper.

- A co będzie z dwoma pozostałymi starostami? - przerwał mu major Rossberg.

- Proszę zaproponować - powiedział McKellar jak najbardziej ugodowo.

Rossberg uczynił to natychmiast: - Strefa A podporucznik Langohr, strefa C - porucznik Hartmannsweiler. Akceptuje pan?

Starszy sierżant wiedział dokładnie, kim był ten podporucznik Langohr - następcą zamordowanego Kerna, pierwsza osoba zainteresowana jego śmiercią, prawdopodobnie jego morderca. Przypomnił sobie również, że widział już nazwisko Hartmannsweiller - grubo podkreślone na wielkiej liście obozowej, zwanej tajną.

Przyniósł ją przezornie ze sobą. I teraz ją przeglądał. Ludzie z brytyjskiej tajnej służby podzielili większość więźniów, po dwóch lub trzech rutynowych przesłuchaniach, na trzy grupy: A, B i C.

Ludzie z grupy A, to ci, których niewątpliwie można było uznać za antyfaszystów. Dość znikoma liczba. Literą B oznaczono dużą grupę ludzi uznanych za tak zwanych biernych sympatyków, czyli najprawdopodobniej nieszkodliwych.

C - znaczyło po prostu: aktywni i według wszelkich przewidywań absolutnie niepoprawni naziści. Takie C umieszczone było obok nazwiska porucznika Hartmannsweilera, podczas gdy podporucznik Langohr sklasyfikowany został jako B - co prawdopodobnie miało się z prawdą.

- Akceptuję! - zdecydował jednak stanowczo starszy sierżant.

- Obu? - zapytał major Rossberg z nieskrywanym zdumieniem. - Hartmannsweiler dla strefy C, Langohr dla A?

- A dlaczego nie, jeśli się przy tym upieracie?

McKellar patrzył z niezmałym optymizmem. - Ostatecznie pracujemy w duchu demokracji. A to na wiele pozwala. Nieprawdaż?

\*\*\*

- Jesteśmy - stwierdził Peter O'Casey. - I co teraz?

Stali u podnóża schodów wiodących do hotelu „Semiramis”. Zwieńczone były, jak gdyby unoszącym się nad ziemią wielodrzwiowym pałacowym wejściem. Za nimi był hali, który jak to widział Faust oczami swej wybujałej wyobraźni, musiał mieć wielkość boiska do piłki nożnej. Rzeczywiście był on mniej więcej takich rozmiarów.

- Musisz teraz zatrąbić - powiedział Faust do Petera O’Caseya. Tak jak było ustalone, trzy razy krótko.

Ten zatrąbił, a brzmiało to przeraźliwie głośno. Niektórzy przechodnie spacerujący ulicą nad Nilem odwrócili się z przestachem. Nie zobaczyli niczego poza brytyjską ciężarówką. A był to wtedy w Kairze znajomy widok i nikt nie czuł potrzeby dokładniejszych oględzin.

- Zatrąb jeszcze raz - zażądał Faust.

Podczas, gdy Peter spełniał z ochotą to życzenie, u szczytu schodów ukazał się Silvers. Kiwnął na Fausta niedbale ręką.

Faust wysiadł pospiesznie. Nadepnął przy tym na dolną krawędź swojej szaty i potknął się. Z trudem utrzymał równowagę i podniósł do góry zwoje materiału spowijające go dekoracyjnie. Odślonił tym samym stopy i kostki - ukazały się białe arabskie skarpetki i brytyjskie buty wojskowe. Szybko wbiegł po schodach.

- Wie pan, jak pan wygląda? - zapytał rozbawiony Silvers. - Jak skrzyżowanie szejka i brytyjskiej pielęgniarki.

- Może jeszcze jakieś kawały w tym guście? - zapytał Faust.

Ogromny hali hotelowy był wypełniony fotelami, sofami, stołkami, palmami w doniczkach i stolikami. Siedziało w nich jednak tylko kilku ludzi.

- Mam tu wejść?

- A co, klaustrofobia?

- Gdzie mam usiąść?

- Przy pierwszym stoliku po lewej. Tam jest nasz przyjaciel Muhammed.

Mężczyzna, który zwał się Muhammed, rozparty był w fotelu obficie pokrytym haftowanymi kwiatami. Jego arabska szata spływała w malowniczych fałdach, jakby stylizowana przez samego Anzelma Feuerbacha.\* [\*Malarz niemiecki (1829-1880), tworzył dekoracyjne obrazy o tematyce antycznej pod wpływem renesansowego malarstwa włoskiego.] Większą część twarzy zasłaniała mu nieprawdopodobnie wypielęgnowana, połyskliwa i kruczoczarna broda. Jego oczy iskrzyły się mądrze, sceptycznie, z domieszką dyskretnego rozbawienia.

- Z całym uznaniem - powiedział Muhammed po dokładnym obejrzeniu Fausta. -

Choć brakuje kilku szczegółów. Oczy są zbyt jasne - powinien pan założyć słoneczne okulary. Potem karnacja - jest taki krem, przy pomocy którego uzyskuje się w krótkim czasie ciemniejszy odcień skóry. Zarówno jedno, jak i drugie chętnie panu udostępnię, panie Faust.

- Niech pan uważa! - Silvers zwrócił się do Fausta. - Już zaczyna robić z panem interesy.

- Chętnie robię interesy z ludźmi, którzy się na tym znają! - zapewnił Muhammed. Brzmiało to jak komplement i prawdopodobnie nim było. - Pańska znajomość arabskiego jest dość wszechstronna, w każdym razie lepsza niż znajomość angielskiego mojego tłumacza. Bardzo mi przykro z powodu błędów, które się wkradły do naszych umów.

- Zostały już usunięte? - zapytał Silvers.

- Ależ oczywiście! - zapewnił łagodnie Muhammed zamykając oczy. - Punkt po punkcie realizowałem sugestie pańskiego pana Fausta i wystarczy już tylko podpisać nasze umowy.

I przeciągle, z zaciekawieniem i wyczekiwaniem patrząc na Fausta dodał: - A może zauważył pan jeszcze coś szczególnego?

- Cenę kupna, panie Muhammed - zauważył Faust. - Zrobiłem porównanie z podobnymi ofertami, bądź też kazałem zrobić. I doszedłem do przekonania, że jest pan, powiedzmy, podejrzenie hojny.

- Rzeczywiście jestem - zapewnił Arab z przyjaznym uśmiechem. - Inwestuję w zaufanie.

- Tym bardziej, że czekają nas jeszcze inne, większe interesy - oświadczył z przekonaniem Silvers. - Tym samym można tę cenę uznać za zachęający początek.

- Tak właśnie jest - zgodził się z nim Muhammed.

- Nie mogę jednak do końca w to uwierzyć, Silvers.

- Przecież dokładnie się informowaliśmy - powiedział Sid wręcz niechętnie. - Z prawnego punktu widzenia umowy te są w porządku. Sprzedaż arabskiej własności prywatnej brytyjskim obywatelom nie napotyka jak na razie na najmniejsze sprzeciwy.

- Obejrzał pan oferowaną łódź mieszkalną i te dwie wille, Silvers? Dokładnie?

- No jasne! Nie kupuję przecież kota w worku. Wszystkie wymienione obiekty są w solidnym stanie. Konieczne są jedynie pewne specjalistyczne prace renowacyjne, dla których mamy przecież zaplecze. Ale to wszystko. I jesteśmy do nich przygotowani. Może nie?

Faust myślał intensywnie i przy tej czynności sięgnął po szklankę stojącą przed Silversem; zgodnie z oczekiwaniem zawierała szkocką whisky. Muhammed z uśmiechem wyczekiwania siorbał małymi łykami swoją kawę. Sid Silvers bębnił nagle palcami prawej

ręki po blacie stolika.

- Czy byli tam ludzie? - zapytał wreszcie Faust. - Mam na myśli obiekty, które zamierzamy kupić.

Silvers skinął głową: - Kilku się plątało.

- Ale oni nie mają nic wspólnego ani z obecnym stanem ani z ustalonym w umowie stanem posiadania - zapewnił natychmiast Muhammed.

- Ale się tam znajdują! - stwierdził Faust. - Należy podejrzewać, że arabskie władze skierowały tam tych ludzi właśnie z przyczyn natury wojskowej. Prawdopodobnie czasowo. Co praktycznie oznacza, na czas nieograniczony.

- Do jasnej cholery, panie Muhammed! - wykrzyknął teraz oburzony Sid Silvers. - Jeżeli to prawda, to te obiekty są dla nas bezużyteczne.

- Ależ proszę pana! - Arab podniósł swoje wypielęgnowane dłonie w zaklinającym geście - lecz nie wyżej niż trzy, cztery centymetry. - Ten stan rzeczy nie jest ostateczny. To się da załatwić.

- Naszym kosztem, co? - domyślił się Sid Silvers.

- No powiedzmy - łagodził Arab - że sam się o to zatroszczę. Po cenie kosztów własnych. Nie podwyższy to specjalnie kosztów kupna. Niewiele więcej niż dziesięć procent.

- Nie musi pan - wtrącił się Faust. - Nie będziemy pana tym obciążać. Sami to załatwimy.

- A w jaki sposób? - zainteresował się Arab. - Czyżby rozważał pan możliwość wprowadzenia do akcji jednostki brytyjskiej - na przykład ciężarówki z uzbrojonymi żołnierzami? Jak najspieszniej odradzam to panu - mogłoby to doprowadzić do znacznych komplikacji.

- Można to przeprowadzić w sposób daleko prostszy i bardziej neutralny - zapewnił Faust. - Musimy jedynie zorganizować rodzaj ekipy przesiedleńczej, na przykład w okolicach bazaru lub też w bocznych uliczkach starówki - na jedną noc, wystarczy. Będzie to chyba w arabskim stylu, nieprawdaż?

- Świetny pomysł, Faust! - potwierdził Silvers.

- A gdzie potem trafią ci ludzie? - chciał się Muhammed dowiedzieć, prawie już rozradowany.

- Do pierwszych lepszych łodzi mieszkalnych i luksusowych willi. Na przykład do tych, które widnieją na pańskich spisach sprzedażnych. A będzie to się wiązało, poza innymi korzyściami z obniżeniem ceny tych obiektów.

- Tak zrobimy! - wykrzyknął spontanicznie Silvers.

- Mój komplement! - pan Muhammed gładził obiema rękami swoją brodę. Jakby można było przydać jej jeszcze więcej połysku i gładkości. Potem roześmiał się. - Metody godne uwagi! - zauważył. - W tej sprawie jak najbardziej użyteczne.

Przyciągnął umowy do siebie, ułożył je i wyciągnął rękę. Silvers podał mu kałamarz uroczyście, jak miecz. I Muhammed podpisał.

W trakcie tych wydarzeń pojawiła się w hallu hotelowym osoba ubrana od stóp do głów w kolor śnieżnobiały. Stosunkowo młoda, poruszająca się z rytmiczną łagodnością kobieca istota. Zaskakująco atrakcyjna mieszanka tancerki baletowej, konia wyścigowego i cockerspaniela. Długie jedwabiste, opadające włosy obejmowały bardzo zaciekawioną twarz.

Faust pierwszy zauważył tę wspaniałą istotę i podziwiał ją nieprzerwanie. Jego uwaga spoczęła nie tyle na małym, ale idealnie proporcjonalnym ciele, co na oczach. Oczy o rozrzutnej kompozycji barw: zieleń buszu, srebro szarości, fiolet zachodu słońca i do tego jeszcze, jakby w odbiciu, zwodniczy lazur egipskiego nieba. Tak przynajmniej mu się zdawało.

- Hallo, Sid! - powiedziała ta świetlana w pojęciu Fausta istota tonem jasnym, dźwięcznym i nieprzystępnym. - Nie masz czasu dla mnie?

A do Muhammeda zwróciła się bez wstępu: - Zawsze się panu udaje odciągnąć go od zajmowania się mną. Nie jest to miłe z pańskiej strony.

I bez łapania oddechu powiedziała wskazując na Fausta: A to co?

- Nic dla ciebie, dziecińko - oświadczył Sid Silvers szybko i stanowczo.

\*\*\*

- Bunt! - wykrzyknął bez tchu kapral Copland. Wykrzyknął to do kapitana Moone'a.

Ten popatrzył z niedowierzaniem. - Przecież to u nas jest niemożliwe. Gdzie, pańskim zdaniem, mogłoby coś takiego mieć miejsce?

- W klatce C, sir.

- Proszę unikać tego wyrażenia, Copland. Cage, klatka, było określeniem nie do przyjęcia we wzorcowym, elitarnym obozie.

- Ma pan więc na myśli strefę C - a co tam się dzieje?

- Buntują się, sir, jak już powiedziałem. Stoją całą masą przed swoją nową bramą - jak na razie bez słowa, ale groźnie. Jak stado bawołów na krótko, zanim zaczną tratować ogrodzenie. Pozawieszali nawet coś w rodzaju transparentów z wysoce podejrzanymi hasłami.

- To musi być pomyłka - powiedział kapitan Moone.

- Ale nie jest, sir!

- Ocenę tej sytuacji proszę nam pozostawić, Copland. Niech pan znika - lecz proszę nadal obserwować. Jeżeli zdarzy się coś szczególnego - natychmiast meldunek do mnie!

Kapitan poniechał na razie informowania pułkownika Nelsona o tych zajściach i wydał się sobie taktowny. Na wszelki wypadek urządził małą wewnętrzną naradę sztabu. Uczestniczyli w niej, oprócz niego, major Turner i starszy sierżant McKellar. - Panowie! - krzyknął do nich zaaferowany. - Co tu się wyprawia?

- To jest zaplanowane świństwo! - wykrzyknął major Turner.

- Musimy wkroczyć i to w dodatku bardzo zdecydowanie!

- Nie będzie to potrzebne - zauważył potężny sierżant. - Podniecili się, ale się uspokoją. A poza tym trudno mi sobie wyobrazić, żeby pułkownikowi zależało na jakimkolwiek przelewie krwi.

- Wystąpienia tego typu - usiłował przekonywać Turner - trzeba dusić w zarodku i tak szybko, jak to tylko możliwe, zanim dojdzie do eskalacji. Błyskawiczne opanowanie buntu w listopadzie tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego w obozie trzysta siedemdziesiątym dziewiątym kosztowało jedynie trzy trupy, podczas gdy w tym samym prawie czasie, w podobnej sytuacji w obozie trzysta dziewięćdziesiątym dziewiątym na skutek przeciągającego się niezdecydowania było trzynaście trupów.

- Chce pan ten rekord pobić? - zapytał McKellar.

- Ależ panowie, proszę! - zawołał kapitan Moone. - Uważam, że w tej sytuacji powinniśmy znaleźć najrozsądniejsze i najtaktowniejsze rozwiązanie - po myśli pułkownika.

- Powinniśmy się w ogóle nimi nie przejmować - zaproponował starszy sierżant. - Ale równocześnie zakręcić im dopływ wody, nie wydawać pożywienia, a w innych strefach rozdać racje dodatkowe. Oprócz tego mógłbym z moim zespołem...

- Tylko nie to! - wykrzyknął przerażony Turner.

Ponownie wpadł zadyszany kapral Copland i wykrzyknął prawie z radością: - Wywiesili w strefie C flagę nazistowską!

- Jaką flagę?

- Jednoznacznie nazistowską flagę - czerwone pole, biały środek a na nim czarna swastyka.

- Idiotyczne! - warknął McKellar kręcąc głową.

A major T.S.Turner zarządził stanowczo: - Natychmiast stawiamy na nogi wszystkich ludzi. Wszystkie wieże strażnicze mają być wzmocnione karabinami maszynowymi. Celowe byłoby zażądać dalszych posiłków! Artylerii! Czołgów!

- Ale przecież nie bez wyraźnej zgody pułkownika! - zawołał kapitan.

Moone pospieszył do biura Nelsona. Turner i McKellar, których pozostawił samych, nie raczyli zamienić ze sobą ani słowa. Tak minęło nieskończenie długie pięć minut.

Kapitan Moone pojawił się ponownie i oznajmił nie patrząc na nikogo: - Zajścia w strefie C należy traktować jako wewnętrzną sprawę obozu niemieckiego. Tym samym musi być załatwiona przez niemiecką komendanturę.

- No właśnie! - zgodził się starszy sierżant. - Z naszej strony wystarczy prawdopodobnie drobna pomoc. Ja się tym zajmę.

- Mnie polecono to zrobić - powiedział nie bez żalu kapitan.

- Ja w każdym razie - oświadczył major - przywiązuję znaczenie do mojego pisemnego oświadczenia, w którym stanowczo...

- Już dobrze, sir - powiedział niecierpliwie kapitan Moone. - Pułkownik przyjmuje do wiadomości pańskie propozycje, uważa je za wyśmienite, nie uważa jednak za stosowne akceptować ich w tym momencie. Być może później podjęte zostaną dalsze kroki.

Po czym kapitan przypasał sobie szerokim gestem, ale z niezaprzeczalną niechęcią, swój pistolet. Włożył czapkę i poprawił przepisowo swój mundur polowy, a nie spieszył się z tym zbyt. Następnie udał się w asyście starszego sierżanta w stronę niemieckiej części obozu. Zatrzymał się tuż przy bramie.

Stąd dostrzegł w perspektywie drogi obozowej bramę prowadzącą do strefy C. A tam, czyli przy niej i wzdłuż całej siatki słoczonych kilkuset jeńców wojennych. Stali w głuchym milczeniu. Nad nimi, w rzeczywistości jednak około dwudziestu metrów za nimi, powiewała wyraźnie flaga ze swastyką.

- Nieżli z nich dowcipnisie - powiedział rozweselony McKellar.

- Wystarczy tylko przeczytać, co wymalowali na swoich transparentach. Temu, kto potraktuje to poważnie, nie można już w niczym pomóc.

Kapitan Moone skupił się teraz na trzymany przez jeńców transparentach - były dwa. Oba zrobione prawdopodobnie z oficerskiej bielizny pościelowej i opatrzone wykonanym węglem drzewnym napisem. Na jednym widniało: Sprawiedliwość należy się nam nawet od Brytyjczyków. A na drugim było napisane: Nie jesteśmy bydłem.

- I co pan na to, czy to nie jest przekomiczne?

- Pośmieję się z tego później - odparł kapitan i przywołał do siebie kapitana Müller-Wipper. Oświadczył mu w sposób dobitnie służbowy: - Pułkownik uważa to wszystko za sprawę wyłącznie niemiecką! Proszę zrobić z tym porządek!

Kapitan Müller-Wipper odpowiedział tonem poważnym i wyważonym:

- Nie jesteśmy za to odpowiedzialni. To się dzieje wręcz wbrew naszym wyraźnym ostrzeżeniom...

- Mimo to, proszę zrobić z tym porządek! - zawołał kapitan Moone dość ostro. - Chyba, że nie zależy już panu na dalszym istnieniu niemieckiej komendantury!

Kapitan Müller-Wipper zasalutował czerwony jak burak i oddalił się. Nie udał się jednak w kierunku strefy C, lecz do strefy A. Tam zniknął w baraku komendantury, by pojawić się po trzech minutach w towarzystwie pułkownika Henninga von Schwerin-Sommershausena. Müller-Wipper maszerował obok niego w kierunku bramy prowadzącej do strefy C. Starszy sierżant McKellar podążał za nimi wyraźnie zaniepokojony.

Na jakieś pięć metrów przed bramą pułkownik von Schwerin z całą powagą przystanął. Wyprężony zbierał się w sobie, wziął głęboki oddech i spojrzał zdecydowanie na swoich ludzi, nie osiągając jednak żadnego efektu. Po czym powiedział: - Moi panowie, tak nie można!

- Tylko tak! - rozległ się dość stanowczo brzmiący głos.

Pułkownik von Schwerin popatrzył przeciągle na tego, kto się odezwał surowymi, lecz smutnymi oczyma. Wiedział dokładnie, kogo ma przed sobą. Był to porucznik Hartmannsweiler. Ciągle jeszcze zdeklarowany, nieprawdopodobnie niemiecki żołnierz, wcześniej odznaczony Krzyżem Rycerskim, budzący postrach czołgista. Przywódca osobowość.

- Niech pan posłucha Hartmannsweiler! - powiedział pułkownik prawie ojcowskim tonem. - Znajdujemy się tutaj w sytuacji wyjątkowej. Dlatego każdy błąd, każdy przejaw samowoli i egoizmu może wyrządzić znaczne, nieodwracalne szkody. Jesteśmy społecznością zdaną wyłącznie na samą siebie.

- Której duch został haniebnie zdradzony! - zawołał płomiennie porucznik Hartmannsweiler wysuwając się na czoło. - Zdradzony przez notorycznych słabeuszów i bezmyślnych pieczeniarzy!

- Pozwolę sobie zauważyć, Hartmannsweiler, że używając wobec mnie tego typu sformułowań posuwa się pan za daleko! - powiedział z naciskiem pułkownik von Schwerin.

- My - krzyknął porucznik - usiłujemy zachować naszą bojową świadomość! Podczas gdy inni nastawieni są jedynie na możliwie niczym nie zakłócone inkasowanie racji dodatkowych. Właśnie ci ludzie są nowotworem naszej społeczności. Nie zamierzamy ich dłużej tolerować! Muszą zostać ostatecznie usunięci!

- Hartmannsweiler - zapytał przerażony pułkownik z niedowierzaniem. Czy ma pan mnie na myśli?

- Wszystkich tych, którzy z ochotą włożą Brytyjczykom w tyłek i zapomnieli, jak się myśli niemieckimi kategoriami - krzyknął porucznik twardo.

- Amen! - powiedział McKellar i wyprostował się osiągając swój pełny wzrost. - Moim zdaniem trzeba coś z tym począć jeżeli nie chcemy, żeby się tutaj wszystko pochrzańiło, i to w wielkim stylu Trzeciej Rzeszy.

\*\*\*

- To był dzień! - powiedział Faust przeciągając się z lubością.

- Może być jeszcze takich wiele - zapewnił Silvers.

- Czyli wielce obiecujący początek.

- I do tego potwornie śmieszny - śmiał się do siebie Peter O'Casey, kierowca ciężarówki. - Kolego Faust, wiesz jak wyglądałeś miotając się jako Arab po okolicy - jak - bohater z filmów o Draculi.

Siedzieli razem, zgodnie i wesoło, w kabinie brytyjskiej ciężarówki wojskowej: Peter po prawej stronie, za kierownicą, Sid po lewej a Faust pośrodku. Za nimi, oddzielonych drewnianym przepierzeniem, dwudziestu sześciu specjalistów i ich czterech strażników - wszyscy słusznie znużeni, po dobrej robocie i świetnym jedzeniu. Firma Silvers'a prosperowała.

- Kto to był, ta dziewczyna w hotelu? - zapytał Faust.

- Moja znajoma - odpowiedział Silvers patrząc na drogę.

Droga była gładka i płaska, wyglądała jak wyasfaltowana.

Szarożółty piasek i szarożółte kamienie otaczały ją z obu stron. Ciężarówka mogła nawet dość żwawo jechać, o ile z przeciwnej strony nic nie nadjeżdżało.

- To, co zaprezentował pan naszemu Muhammedowi, było dość przekonujące - stwierdził Silvers.

- To był tylko początek - zauważył Faust otwierając lewy schowek. Znajdowała się tam butelka whisky i to północnoirlandzkiej. Należała więc do Petera O'Caseya. A dla niego było dowodem pełnego zaufania, gdy ktoś miał ochotę wzmocnić się jego trunkiem.

Więc uśmiechnął się do Fausta, gdy ten zaczął pić. Po chwili Faust wiarygodnie zademonstrował wielką rozkosz, a uśmiech O'Caseya zrobił się wyraźnie serdeczny. - Zdaje się bracie, że jesteś w porządku!

- I to jak - powiedział Silvers. - Cieszę się w twoim imieniu, że tak polubiłeś tego faceta, bo w najbliższym czasie wiele będziesz miał z nim do czynienia.

- Jako mój strażnik? - zapytał Faust.

- Powiedzmy lepiej - opiekun! - stwierdził Silvers.

- Ciągłe jeszcze podejrzliwość?

- A dlaczego nie? Zwłaszcza, że ten Muhammed szykuje się, by pana podkupić. Może pan to wykorzystać i zwiać.

- Tak lubię tego chłopaka - oświadczył z powagą Peter O'Casey. - Będę na niego uważać.

- Mam nadzieję, że nie zawsze i nie wszędzie.

- Apartament sześćset sześć pozostanie pańską prywatną strefą. I będzie naszym biurem. Biurem brytyjsko-egipskiej firmy handlującej nieruchomościami. Jasne?

Droga pod kołami zdawała się tracić na szerokości. Piasek i kamienie wyraźnie zbliżyły się do siebie. Niebo nad nimi wypełnione było nużącymi, przytłaczającymi, jasnyniebieskimi barwami.

- Ta dziewczyna w hallu hotelowym, Silvers - kto to był?

- Podobała się panu, co?

- Dość oryginalna. Czyżby należała do pańskich bezpośrednich lub pośrednich partnerów?

- Chodzi o niejaką Nancy Nelson - powiedział z zadumą Sid.

- Nelson? Jak nasz szef?

- Nancy jest jego córką.

- Rozumiem - odparł Faust zaskoczony.

- Gówno pan rozumie! - powiedział Sid Silvers. - Miss Nelson mieszka zupełnie przypadkowo w hotelu „Semiramis” - bo w hotelu „Sheppard” nie było dla niej wolnego pokoju. I tak samo zupełnie przypadkowo ja tam mieszkam. Musiałem przecież poszukać sobie w Kairze nowej kwatery, po tym jak pan przejął mój apartament łącznie z inwentarzem.

- Jeszcze jak rozumiem - zapewnił ponownie Faust odchylając się do tyłu. - Zmiennik przy Sitah w mojej osobie - był panu jak najbardziej na rękę. Bo teraz może pan spokojnie poświęcić się Nancy Nelson.

- Więc ona też się panu podoba, Faust? To mnie cieszy. Ale niech pan nie próbuje czegokolwiek sobie po tym obiecywać. Moja wielkoduszność nie jest bezgraniczna.

- Ludzie! - wykrzyknął Peter O'Casey bezmiernie zdumiony. - Spróbujcie zapomnieć na chwilę o waszych idiotycznych interesach. Ponieważ znajdujemy się najwyraźniej w świecie, którego miało już nie być. Bo jak myślicie, co widzę?

- No powiedz wreszcie, synku!

- Flagę ze swastyką! Nad naszym obozem!

- Nie możemy tego przepuścić! Dawaj gazu! Człowieku, do dechy! - wykrzyknął Silvers po krótkiej orientacji.

\*\*\*

- Stać! - krzyknął surowo major Turner stojąc jak skała przy zewnętrznej bramie obozu brytyjskiego. - Tu panuje stan wyjątkowy!

- Nie dla mnie! - powiedział sierżant Silvers. - Mam pełnomocnictwo pułkownika. - Co się tu dzieje?

- Nic, co by pana mogło obchodzić - zdecydował Turner.

Sierżant Silvers wysiadł z ciężarówki i kazał Faustowi dotrzymywać sobie towarzystwa. Peterowi O'Casey polecił podjechać ciężarówką wraz z pasażerami do swojego składziku. - Co to za przedstawienie?

Zobaczył, jak pułkownik von Schwerin odchodzi od bramy C, blady, przybity, prawie się zataczając. Towarzyszył mu służbiście kapitan Müller-Wipper prowadząc go właściwie. Sto gardeł przy ogrodzeniu strefy C wrzeszczało szyderczo: uuuh! I znowu: Uuuuh! I ponownie: Uuuuh!

- A teraz droga wolna dla mnie! - zawołał starszy sierżant McKellar. - Copland! - zarządził - proszę usunąć z drogi wszelkie przeszkody.

Kapitan Moone usunął się natychmiast do tyłu. Kapitan Müller-Wipper także. Pułkownik von Schwerin przyspieszył kroku i zniknął w budynku komendantury niemieckiej. Nagle, prawie w kilka sekund, Ken McKellar został sam na placu boju. Tuż przy bramie C. Przed nim była już tylko stłoczona masa ludzi - o twarzach czerwonych, patrzących tępo, ale z utrzymującą się groźbą.

- Skoncentruj się na przewodniku stada, Ken! - szepnął do niego Sid Silvers.

- To ten blady blondyn, tam, w mundurze oficera - powiedział Faust. - Porucznik Hartmannsweiler. Dość ostry pies, ale tylko pies - stoi dokładnie pośrodku bramy.

- Wiem! - powiedział Ken McKellar. Ponownie przywołał do siebie kaprała Coplanda. Wyprostował się prezentując swój słuszny wzrost, wciągnął głęboko powietrze i zdjął czapkę - podał ją Coplandowi. Potem zdjął mundur, koszulkę bawełnianą, i to wszystko rzucił w stronę Coplanda. Wreszcie stanął z obnażonym torsem.

- Otworzyć bramę! - rozkazał donośnie.

Brama została otwarta przez Silversa i Coplanda. Jeńcy obserwowali McKellara w milczeniu; niektórzy wyglądali na zdumionych, a niektórzy spoglądali z niedowierzaniem. Ponieważ starszy sierżant - teraz już wyłącznie jako sportowiec wyczynowy - zmierzał prosto

na nich, a dokładnie w kierunku środka grupy namierzając porucznika Hartmannsweilera.

- Ty - powiedział McKellar, a jego palec wskazujący zbliżył się do piersi porucznika Hartmannsweilera na odległość centymetra - mam cię szybko rozłożyć?

- Nie odważy się pan na to - wydusił piskliwie porucznik. - To jest wbrew konwencji genewskiej!

- Jestem tu prywatnie, Hartmannsweiler - stwierdził Ken. - I nie podoba mi się to przedstawienie pod tą flagą - a jeszcze bardziej twoja głupia gęba nadczołowieka.

- To, co zamierza pan tu zademonstrować jest nieodpowiedzialnym wykroczeniem przeciw prawu międzynarodowemu - wykrzyknął porucznik usiłując się cofnąć - bezskutecznie, ponieważ zmobilizowana przez niego masa ludzka stała jeszcze jak skała za jego plecami.

- Albo będzie pan użyteczny - oświadczył Ken McKellar patrząc wyłącznie na porucznika Hartmannsweilera - albo bez pardonu pana załatwię - zupełnie prywatnie.

- To jest czynny atak na oficera - wykrzyknął ten w najwyższym podnieceniu drżącym, zachrypniętym głosem.

McKellar pochylił się lekko, cofnął prawą rękę zwijając ją w pięść - wyglądało na to, że przyjmował pozycję wyjściową. Zmrużył przy tym oczy, jakby namierzał swój cel.

- Natychmiast usuniesz tę odrażającą szmatę, którą najwyraźniej traktujesz jak flagę, ty sam, Hartmannsweiler, albo zapędzę cię własnoręcznie na maszt a po nim do góry! Więc! Daję ci trzy sekundy!

- Ustępuję w obliczu przemocy! - zawołał Hartmannsweiler. Przeciskał się do tyłu, by usunąć się spod zasięgu McKellara.

- Nie pyskuj, człowieku, tylko ściągaj tę szmatę!

- To panu nie ujdzie na sucho. Ostatecznie jesteśmy Niemcami, z nami nie można sobie poczynać jak z Murzynami czy fellachami.

- Szmata na dół - i do mnie! - warknął Ken.

Pchnął Hartmannsweilera piersią. Ten się usunął. McKellar parł naprzód. Hartmannsweiler pospieszył do tyłu w kierunku masztu. Zderzył się z nim i popatrzył do góry.

Ken uderzył prawą pięścią w lewą płasko rozwartą dłoń. Trzasnęło jak wystrzał. Hartmannsweilera przeszył dreszcz.

Z dziką szybkością uruchomił urządzenie do wciągania flagi. Flaga ze swastyką została zdarta. I nagle zrobiło się tak, jak gdyby jej nigdy nie było.

To wszystko trwało niewiele ponad minutę.

\*\*\*

- Piękne dzień dobry, panowie! - powiedział pułkownik Nelson z właściwą sobie uprzejmością. - Mam nadzieję, że nie zakłóciłem wam popołudniowego wypoczynku.

Powiedział to grzecznie aczkolwiek bezceremonialnie do pułkownika von Schwerin i jego adiutanta, kapitana Müller-Wipperera. Kazał się im obu u siebie stawić, choć, tak jak dotychczas, nazywało się to „zaproszeniem”.

- Po zajściach wczorajszego wieczoru - oświadczył sztywno pułkownik von Schwerin - uważam za nieuniknione zajęcie przeze mnie stanowiska.

- Najpierw jednak - powiedział kapitan Moone stosownie do wskazówek - przejrzałbym chętnie z adiutantem niemieckiego komendanta listy osobowe obozu.

- Niech pan to zrobi, kapitanie! - zgodził się pułkownik Nelson. - Ja tymczasem udam się z pułkownikiem Schwerinem do mojego gabinetu. I byłibyśmy zadowoleni, gdyby nam tam nie przeszkadzano.

Pułkownik von Schwerin wyglądał, jakby dźwigał na barkach wielki ciężar. Zwlekał z zajęciem miejsca. Przygnębiony unikał przyjaznego i pomocnego wzroku Nelsona.

A ten powiedział wskazując na specjalną mapę bitwy pod El Alamein: - Proszę tylko spojrzeć! Tutaj na południu, panie pułkowniku, prawie naprzeciwko El Taka, stacjonowała jeszcze jedna brytyjska jednostka - i to o znacznej sile odrzutu.

- Być może - przyznał pułkownik von Schwerin. W jego głosie słychać było stłumiony po męsku smutek. - Niestety obawiam się mister Nelson, że w tym stanie rzeczy będziemy musieli zająć się mniej radosnymi sprawami. Myślę o sytuacji w obozie.

- Ależ pułkowniku! Coś takiego załatwimy między sobą w niecałe pięć minut. A przecież mamy ponad dwie godziny dla siebie. Mniej więcej tyle czasu zajmie naszym adiutantom przegląd list obozowych. My powinniśmy się tymczasem zwrócić ku naszym przyjemnościom. Zwłaszcza, że udało mi się zebrać bardzo interesujące dane o greckiej brygadzie na skraju pasma górskiego Ruwajsal.

- Brzmi pięknie i wielce obiecująco - powiedział w zamyśleniu pułkownik von Schwerin. - Jednak to, co się stało wczoraj wieczorem w obozie...

- Szczerze nad tym ubolewam! - zapewnił pułkownik Nelson.

- Zachowanie starszego sierżanta McKellara, o którym mi doniesiono, spotkało się z moją najsurowszą dezaprobatą.

- Ale było dość imponujące sądząc z tego, co o tym słyszałem - pułkownik usiłował być jak najbardziej obiektywny. - To, czego dokonał pański starszy sierżant, winienem ja

załatwić.

- Niech pan go nie przecenia - powiedział pułkownik Nelson.

- Ten chłopak to w gruncie rzeczy bardzo szkocki zawadiaka - w dodatku z muzycznymi ambicjami. Dziwaczna mieszanka. W każdym razie przepraszam, panie pułkowniku, za to niestosowne zachowanie.

- Jest pan wspaniałomyślny, panie Nelson - powiedział pułkownik von Schwerin nie bez wysiłku. - Jednakże po tym, co zaszło, muszę się czuć zdyskredytowany.

- Nie w moich oczach!

- Ale w oczach kilkuset więzionych kolegów!

Pułkownik von Schwerin wyraźnie cierpiał uświadamiając sobie fakt, o którym teraz głośno i szczerze powiedział: - Mój autorytet został zakwestionowany.

- Ale przecież nie dla mnie, panie pułkowniku.

- Jednak dla tak zwanej obozowej opinii publicznej. To, co ośmielił się mi powiedzieć w twarz ten Hartmannsweiler wysłuchało stu ludzi. Bez protestu!

- Człowiek, który prowadzi mojego rolls-royca - odparł pułkownik z krzepiącym uśmiechem - powiedziała by teraz: „bydło nigdy nie protestuje”. Miałby na myśli oczywiście pańskich niepoprawnych nazistów, z którymi nie ma pan nic wspólnego.

- Ostatecznie są to żołnierze, moi żołnierze - jestem ich przełożonym, najstarszym stopniem i najdłużej w służbie. Jestem ostatnim człowiekiem, któremu można było coś takiego zaoferować.

I wreszcie pułkownik Henning von Schwerin-Sommershausen złożył swoje oświadczenie. - W związku z powyższym czuję się w obowiązku, oddać moje stanowisko komendanta obozu niemieckiego do pańskiej dyspozycji. Proponuję na moje miejsce podpułkownika Merkera.

- Nie mówi pan tego poważnie, panie pułkowniku!

- Sam nad tym ubolewam - jest to jednak jedyna wchodząca w rachubę konsekwencja.

- Proszę, niech pan nie działa zbyt pochopnie, panie pułkowniku. Mamy wystarczająco dużo czasu; co najmniej dwie godziny. I w tym czasie może się zdumiewająco wiele zdarzyć.

\*\*\*

Tak też się i stało, czyli wydarzyło się niemało. Pułkownik Nelson wiedział o tym i zezwalał na to. Zainspirował go oczywiście Sid Silvers. Tak więc starszy sierżant Ken McKellar miał upragnioną możliwość dokonania kilku niezbędnych poprawek w

funkcjonowaniu obozu.

A więc: McKellar przenicował dokładnie cały obóz - w ciągu niecałych dwóch godzin. W zaufanym gronie: Silvers, Copland, Schulz oraz Faust, który też do niego należał.

- Tylko bez partactwa, Ken! - zarządził Silvers.

- Już dobrze! Złości mnie strasznie, że musiałem obnażyć swój tors, by zaimponować jakiemuś naziście.

- Więc zrób coś teraz! Ja mogę odpowiednio ubezpieczać tyły - zakładając, że podwoisz liczebność mojej grupy roboczej.

- Potroję ją nawet, jeżeli wszystko będzie grało - zapewnił ochoczo Ken.

Te przełomowe posunięcia zostały dokładnie przygotowane.

Feldfelbel Schulz sporządził na życzenie Fausta długą listę mniej lub bardziej muzycznych ludzi. Sam Faust razem z Silversem szukali dobrych specjalistów. A Copland przeegzaminował już wszystkich jeńców według: budowy ciała, umięśnienia, kondycji, wytrzymałości i fizycznych możliwości. Także i on posiadał własne listy.

Akcja rozpoczęła się błyskawicznie, tuż po tym, jak pułkownik von Schwerin i kapitan Müller-Wipper przekroczyli próg brytyjskiej komendantury. Major Turner znajdował się zgodnie z rozkazem w Kairze, więc można się było nie obawiać szczególnych zakłóceń.

McKellar zebrał wokół siebie, poza swoimi najbliższymi współpracownikami, trzech sierżantów - po jednym na każdą strefę, do tego sześciu kaprali i dwunastu żołnierzy z karabinami. Wiedział z doświadczenia, że taka ilość żołnierzy powinna wystarczyć dla tysiąca dwustu jeńców.

- Apel!! - zawołał McKellar.

Mieszkańcy poszczególnych stref zbierali się na wyznaczonych placach apelowych, w pobliżu poszczególnych bram. Formowali się w kwadraty po stu, jak to było w zwyczaju, dziesięciu mężczyzn w szeregu, w trzech lub czterech jednostkach. Stali cierpliwie.

McKellar, Copland i Schulz rozdzielili się na trzy strefy celem przetestowania mieszkańców. Przebiegało to szybko, ale dokładnie. I bez zwracania uwagi na szczegóły, gdyż nie mieli zbyt wiele czasu. Już z założenia dopuszczali błąd w granicach trzydziestu trzech procent.

Ken McKellar zawołał zachęcająco do stojącej przed nim masy ludzkiej: - Kto uważa się za człowieka muzycznego?

Szybko się zorientowano, że coś takiego może wiązać się ze szczególnymi korzyściami. Więc śpiewano mu po chwili gamę, dęto w udostępnione instrumenty, walono w bębny. Ken wybrał w pośpiechu ponad stu ludzi.

- Szukam specjalistów - oznajmił feldfelbel Schulz zachęcająco. - Specjalistów wszelkiej maści! Szczególnie rzemieślników! Ale także elektryków, malarzy, dekoratorów, rzeźników, piekarzy i tym podobnych.

W krótkim czasie zainkasował w strefach A, B i C około dwustu ludzi.

Kapral Copland poczynił sobie daleko bardziej rygorystycznie. Poleciał we wszystkich trzech strefach: - Rozebrać się do slippek!

Tak obnażonych oglądał ze znajomością rzeczy. - Skłon, wyprostować tors, podnieść i utrzymać ręce na wysokości oczu, dokładnie prosto.

Copland badał na dotyk umięśnienie rąk i nóg, klepał ze znawstwem po plecach, kazał przebiec się sprintem, zwracał przy tym uwagę na postawę, wkład energii i rytmiczność ruchów. Po takim egzaminie i krótkim przepytaniu wybrał szybko i w zdecydowany sposób niecałe sto osób.

Mniej więcej po godzinie trwania akcji pojawili się wreszcie, choć byli już wcześniej oczekiwani: zastępca niemieckiego komendanta obozu, podpułkownik Merker, w asyście majora Rossberga.

Obaj starali się coś powiedzieć. Lecz nie od razu trafili pod właściwy adres. Kapral Copland nie zauważył ich po prostu. Feldfelbel Schulz żałował, ale nie był upoważniony. Wreszcie wylądowali u starszego sierżanta McKellara. Podpułkownik Merker wypchnięty przez majora Rossberga zapytał z całą uprzejmością: - Czy wolno spytać, co się tu dzieje?

- Ależ oczywiście, panie pułkowniku - odparł ochoczo McKellar. - Mamy zamiar dokonać, zgodnie z rozkazem, małego przemieszczenia w obrębie obozu. Chyba nie chce mi pan w tym przeszkodzić?

Merker i Rossberg tego nie chcieli. Szybko dostrzegli, że nie miałyby to najmniejszego sensu. Lecz krótko ze sobą poszeptali i wyrazili życzenie naradzenia się z pułkownikiem von Schwerin.

- Ależ naturalnie! Oczywiście dopiero wtedy, gdy nasz pułkownik zakończy z nim naradę. A może to jeszcze potrwać.

- Może moglibyśmy mówić choćby z kapitanem Müller-Wipperem?

- Z nim również dopiero później. Bo właśnie teraz przegląda wspólnie z kapitanem Moone'em listy obozowe. Czy wolno prosić, byście już nie przeszkadzali w naszej akcji?

Oddalili się. A Ken zadysponował: - Wszystkich wybranych przeze mnie, kaprala Coplanda i Schulza ludzi przenieść natychmiast do strefy B. Ja będę decydował o ich dalszym przydziale. Resztę niepotrzebnych w strefie B ludzi poprzemienić do strefy A i C. I to byłoby na razie wszystko.

\*\*\*

- Aktualne listy obozowe! - zameldował starszy sierżant McKellar po niecałych trzech godzinach od rozpoczęcia akcji. - Uaktualnione z całą dokładnością zgodnie ze stanem obecnym!

- Pięknie! - kapitan Moone spojrzął na siedzącego obok kapitana Müller-Wipperera. - Czekamy już na nie!

Kapitan Moone rozpostarł przekazane mu listy i poprosił kapitana Müllera o wspólne przestudiowanie tych dokumentów. Już po kilku sekundach doprowadziło to u niemieckiego adiutanta do przewidywanego, i stale rosnącego niepokoju.

- Miał pan z tym jakieś kłopoty, McKellar? - spytał kapitan Moone.

- Najmniejszych, sir. Jedynie przedstawiciele niemieckiej komendantury, podpułkownik Merker i major Rossberg, zasięgali informacji. Chcieli wiedzieć, o co chodzi. Więc im powiedziałem.

- I to wszystko? - zapytał uradowany kapitan Moone. - Naprawdę? Bardzo dobrze, może pan już iść!

- Chętnie, sir! - odrzekł McKellar i oddalił się.

- Ależ to się w głowie nie mieści - wykrzyknął wojowniczo kapitan Müller - podeszłście nas podstępnie. Bo to tutaj - uderzył w listy - oznacza absolutne przenicowanie naszego obozu.

- Nawet jeżeli by tak było, panie kapitanie, to zakładam, że nie odmawia nam pan prawa do tego typu działań. Postępowania, którego ewentualnych korzyści pan jeszcze bez wątpienia nie ogarnia.

- No tak, kapitanie, no tak. Ostatecznie to pan jest tutaj zwycięzcą, ale tak nie musi być zawsze. Ja tylko stwierdzam fakt, sir. Gdyż dotychczas miałem to poczucie, że usiłujemy coś tu aranżować z obopólną korzyścią.

- Jest to jak najbardziej zgodne z poglądami pułkownika Nelsona. I jestem przekonany, że wasz pułkownik i w tym względzie realnie myśli. Chce pan z nim porozmawiać?

- Oczywiście - koniecznie! Możliwie jak najszybciej!

Kapitan skinął głową. Udał się do pomieszczenia obok, do gabinetu pułkownika. Pozostawał tam kilka minut. Po czym otworzył kapitanowi Müller-Wippererowi zapraszającym gestem drzwi.

Ten wtargnął do pokoju i zobaczył pułkownika Nelsona i pułkownika Schwerina

stojących zgodnie przy mapie ściiennej. Wydawało się, że oderwanie się od niej sprawia im najwyzszą trudność. Spojrzeli jednak na kapitana uprzejmie i wyczekująco.

- Panie pułkowniku - oznajmił - podczas, gdy nas tu zajmowano przenicowano cały nasz obóz jak starą rękawiczkę.

- Pułkownik Nelson powiadomił mnie o tym - powiedział von Schwerin spokojnie. - Nie chcę ganić pana za pański sposób wyrażania się, również moje słowa nie oznaczają całkowitej aprobaty podjętych działań, ale nie wie pan jeszcze tego, co ja wiem, Müller.

- A co to takiego, panie pułkowniku?

- Od tego momentu gwarantuje nam się niejaką swobodę. Pułkownik von Schwerin oznajmił to takim tonem, jak gdyby wręczał komuś nadspodziewanie duży prezent. Od tej chwili w obozie jest nie tylko dozwolona, ale wręcz mile widziana każda aktywność sportowa.

- Jak to miło - odpowiedział z trudem kapitan.

- Oprócz tego planuje się, o ile wszystko dobrze pójdzie, wiele różnorodnych inicjatyw. Być może będzie pan mógł zgodnie ze swym życzeniem obejrzeć brytyjski czołg.

- Coś w rodzaju dnia otwartych drzwi - dodał kapitan Moone.

- Jeżeli wszystko będzie w porządku, zorganizujemy go kiedyś.

- Byłbym tym zainteresowany - przyznał kapitan Müller-Wipper. Czołgi były jego pasją. Najprawdopodobniej jego jedyną prawdziwą pasją. Lecz nie dał się odwieść od tematu.

- Ale...

- Ponadto, Müller, mogą się odbywać kursy szkoleniowe wszelkiego typu i rodzaju, jak na przykład językowe, matematyczne, geologiczne, filozoficzne, historyczne. Przewyciężymy w ten sposób duchowy marazm.

Kapitan nadstawił uszu: - Kursy szkoleniowe? Bez ograniczeń? Przez nas zaplanowane i przeprowadzone przez naszych ludzi?

- Szczerze staramy się być tolerancyjni i wielkoduszni. Nawet jeżeli będzie nas to trochę kosztować - zapewnił pułkownik Nelson.

- Będziemy mogli nawet zorganizować drużynę piłki nożnej, Müller! - uważał za stosowne oznajmić rozentuzjasmowany pułkownik von Schwerin. - Jestem przekonany, że od dzisiaj rozpocznie się tutaj nowe życie.

\*\*\*

Kapitan Müller-Wipper wrócił do niemieckiej komendantury obozu i tym samym do strefy A z ponurym spojrzeniem. Zastał tutaj majora Rossberga i podpułkownika Merkera.

Dłuższy czas przyglądał im się oskarżycielsko, po czym potrząsnął głową.

- Wobec brutalnego użycia siły - jesteśmy ostatecznie bezsilni - zapewnił nieco zbyt pośpiesznie Rossberg.

- Szczególnie, że metody Brytyjczyków są nam w swej istocie absolutnie obce. Brakuje im preferowanej przez nas szczerości - przyłączył się podpułkownik Merker.

- Straciliście jedyną w swoim rodzaju okazję! - stwierdził gorzko Müller-Wipper. - Powinniście byli pokazać tym ludziom, że nie mogą z nami robić, co im się żywnie podoba. Powinniście rozkazać naszym współtowarzyszom: nikt nie rusza się z miejsca, dopóki brytyjska komendantura nie wyda naszego pułkownika.

- A przetrzymywali go? - zapytał pułkownik lekko się wzdrygając. Sama myśl o tym przerażała go. - Czy naprawdę już do tego doszło?

Müller nie raczył nawet obdarzyć podpułkownika pogardliwym spojrzeniem: ten człowiek nie posiadał najmniejszej nawet taktycznej zręczności. I właśnie jego miałby zrobić niemieckim komendantem? Oczywiście! Tylko jego! Ten będzie najmniej bruździł!

- A pan, majorze?

- Szanowny panie kolego - powiedział zagadnięty nie bez zakłopotania - oczywiście należałoby choćby spróbować biernego oporu. My obaj, kochany Müller, coś byśmy osiągnęli. Lecz nie chciałem wymagać tego od pana podpułkownika z całym moim poszanowaniem jego osoby.

- Za co mogę być panu jedynie wdzięczny, kolego Rossberg! - Merker uklonił się lekko.

- Przesłanką powodzenia - stwierdził major tym razem energiczniej - byłaby jasna koncepcja, a takiej nie mamy w stopniu wystarczającym. Wielu spośród naszych ludzi zapomniało już, jak się poprawnie myśli, czyli w niemieckim duchu. Na przykład ten Schulz, ogon Fausta.

- Jednakże - zauważył prostodusznie podpułkownik - możemy chyba przypuszczać, że pan, kapitanie Müller, nie pozwolił się Brytyjczykom tak łatwo szykanować.

- Wolno panu tak przypuszczać.

- Ale, jak podejrzewam, bezskutecznie.

- Nie całkiem, moi panowie, nie całkiem. - Kapitan Müller wyprostował się lekko i uśmiechnął nieco pogardliwie. - Nastawałem, by pułkownik von Schwerin przystąpił do akcji i wynegocjował pewne udogodnienia. Co też się udało po zastosowaniu niejakiego nacisku.

- Udogodnienia, a jakiego rodzaju?

- Różnego, lecz w istotnych sferach. Należy do nich organizowanie imprez

sportowych, nie jako dodatkowego zajęcia w czasie wolnym, lecz jako części programu dziennego. Będą to prawdziwe konkurencje, w których wszyscy mogą brać udział. Między innymi piłka nożna.

- Wybornie! - zawołał podpułkownik Merker. - Ale dlaczego tylko piłka nożna a nie ręczna? W ręcznej byłem kiedyś mistrzem, bo musi pan wiedzieć, że jest to bardzo elegancka, bardzo elastyczna dyscyplina sportowa.

- Co tylko pan chce. Nawet tenis, o ile będzie na niego dostateczne zapotrzebowanie.

- I co jeszcze? - dopytywał się zaciekawiony major Rossberg. - Ciało i dusza to przecież jedność.

- I pan będzie zadowolony majorze, zająłem się tym. Müller-Wipper wydawał się znowu pewniejszy. - Ponieważ wynegocjowaliśmy szeroko zakrojony program szkoleniowy. Kursy we wszystkich możliwych przedmiotach.

- Mój plan na godzinę X! - wykrzyknął major Rossberg wręcz zachwycony.

Kapitan Müller-Wipper skinął głową. - Może pan natychmiast zaczynać!

- Czy wolno mi zapytać, o jaki plan chodzi? - poprosił Merker jak zwykle łatwo się irytuując.

Rossberg wyjaśnił chętnie: - Mobilizacja ducha. Niemieckiego ducha, rozumie się. Już wcześniej Brytyjczycy przedłożyli nam dalekosiężne plany, zachowując oczywiście daleko idącą ostrożność. Lecz mieli jedynie na myśli kursy języka angielskiego, co spotkało się z naszej strony, w tej formie, z odrzuceniem. - I na coś takiego stać tak zwany kulturalny naród - stwierdził prawy człowiek, Merker.

- Ale teraz, gdy mamy wreszcie wolną rękę, możemy zainicjować skuteczną działalność edukacyjną - major Rossberg wstał i chodził po pokoju jak wykładowca. - Nazwę to: niemieckie myślenie - niemiecka istota - niemieckie dzieło.

- Świetnie! - zgodził się Merker. - Na użytek Brytyjczyków będziemy nazywać to skromnie: myślenie - istota - dzieło. Żeby zbyt szybko nie przyszły im do głowy głupie myśli. Oficjalnie będziemy twierdzić: najpierw filozofia i religia, czy też religia i filozofia, nie jesteśmy przecież małostkowi. Dalej: języki i matematyka. Wreszcie: historia. I jeden kurs o istocie demokracji.

- Demokracji? - zapytał podpułkownik żartując po żołniersku. - A co to jest?

- Oczywiście tylko to, co my pod tym rozumiemy! - major Rossberg roześmiał się beztrąsko. Merker dołączył do niego. Müller zaczął się uśmiechać. Pojawiła się ponownie dość harmonijna atmosfera.

- Niezbędny personel pedagogiczny wyszukamy sami; będzie szkolony przeze mnie i

przeze mnie obsadzony. Czy to się da załatwić, kapitanie?

- Jeżeli będziemy postępować dostatecznie mądrze, to jak najbardziej.

- Musimy tutaj doprowadzić wreszcie do rozkwitu prawdziwego ducha! - zawołał major Rossberg. - Aby niebezpieczni odszczepieńcy nie mieli żadnej możliwości bezpośredniego czy pośredniego oddziaływania.

- Tak jest - oświadczył znacząco Müller. - Jemu zawdzięczamy wszystkie nieprzyjemności i wszelkie przypadki użycia przemocy w ostatnim czasie.

- Czy wolno wiedzieć, o kim mowa? - zapytał grzecznie podpułkownik.

- O Fauście - a o kimże innym? - odparł kapitan Müller-Wipper. - Bo on nie jest jedynie przeciwnikiem światopoglądowym, z tym można by było coś jeszcze zrobić. Ten człowiek jest po prostu nienormalny.

- To rzeczywiście brzmi niewesoło - zauważył posępnie podpułkownik Merker.

- On musi zniknąć! On tu przeszkadza!

Rossberg kiwnął głową. - Zajmę się nim osobiście. Zaangażuję moich najlepszych ludzi. Ostatecznie nie pozwolę takiej wszy zepsuć mojego wielkiego, narodowego dzieła edukacyjnego.

\*\*\*

Faust siedział w hallu hotelu „Semiramis” przy pierwszym stoliku po lewej stronie. Tym samym w bezpośredniej bliskości wyjścia. Kilka metrów za nim - niezgrabny, milczący, czytając z zainteresowaniem „Express” - siedział Peter O’Casey. Nic nie wskazywało na to, że są razem.

- A jak będę musiał pójść w ustronne miejsce, Peter - zapytał Faust przeglądając rozłożone papiery - to też pójdziesz ze mną?

- Jasne, Henry - zapewnił Peter nie podnosząc wzroku znad gazety. - Przecież wiesz, że nie spuszczę cię z oczu. Bo strasznie mi się podobasz. Ale to nie ma nic wspólnego z męską ubikacją. Rozumiesz?

- Rozumiem - powiedział Faust. Miał na sobie skromny, co nie znaczy nieelegancki garnitur. Dostarczył go Silvers. Garnitur ten wisiał, o ile nie miał go akurat na sobie Faust, w apartamencie sześćset sześć. Dbała o niego Sitah. I pod tym względem można było na niej polegać.

- Ma pan w zanadrzu nowe pomysły? - zabrzmiał głęboki, przyjemny głos tonem lekkiego rozbawienia. Należał do Muhammeda. Tym razem nie przyszedł sam. Towarzyszył mu ciemny, łagodny i gładki jak jedwab chłopak.

- Ali, mój syn - przedstawił go Muhammed szczególnie uprzejmie. - A to Ali, jest mister Faust.

- Bardzo pana lubię - powiedział tenże syn kłaniając się.

- A to dlaczego? - zapytał zdziwiony Faust.

- Bo jest pan przyjacielem mister Silversa.

- A jestem? - zapytał Faust z uśmiechem.

- Za takiego Ali pana uważa - odparł Muhammed siadając. - Nie powinien pan rozczarować mojego kochanego syna - ma wyraźnie słabość do Silversa, a właściwie do rolls-royca.

- Mister Silvers - powiedział Ali grzecznie - obiecał mi przejażdżkę.

- Jeżeli obiecał, to dotrzyma słowa - zapewnił Faust.

Zaraz potem zjawił się Silvers - kompletnie umundurowany, co wskazywało na intensywną działalność. Nie znalazł nawet czasu, by się przebrać, choć wynajął w hotelu „Semiramis” apartament na „czas nieokreślony”. Na tym samym piętrze, na którym mieszkała Nancy Nelson.

- Przyszedłem jedynie po to, by zgodnie z umową zabrać Alego.

Sid podał Muhammedowi rękę, objął ramieniem przyglądającego się mu z zachwytem Alego i uśmiechnął się krzepiąco do Fausta. Potem rzucił badawcze spojrzenie na Petera O’Caseya siedzącego stolik dalej.

- Wszystko jest więc w najlepszym porządku! - powiedział Silvers i skłonił się w pożegnalnym geście. Po chwili wyszedł z Alim przed hotel.

Muhammed popatrzył za nim w zamyśleniu. Westchnął przy tym lekko i powiedział: - Nie jest łatwo być ojcem, ojcem takiego syna. A może w tym wypadku nie powinienem się martwić?

- Jeżeli chodzi o Silversa, to nie - o ile dobrze rozumiem pana aluzję. Jest zupełnie normalny. Mam nadzieję, że uspokaja to pana?

- Chętnie pozwolę się w tej sytuacji uspokoić - zapewnił Muhammed rozparty w rozluźnionej pozie. - Lecz ten świat pełen jest rzeczy niezwykłych. Nieprawdaż? A Silvers jest typem człowieka, który nie zawaha się zrobić interesu na każdej zauważonej słabości ludzkiej. Czy pan jest innego zdania?

- I tu może być pan spokojny: Silvers nie pozwoliłby sobie tak lekkomyślnie zepsuć panu humor. Przecież jest pan jak na razie jego najważniejszym partnerem w interesach tu, w Kairze.

- Rzeczywiście nim jestem. - Arab uśmiechał się zadowolony. - Ale nie można go nie

doceniać. Szczególnie, że ułatwia pan jego najbardziej intratne interesy, mister Faust, ze mną!

- Próbuję przynajmniej - a pan mi tego wcale nie ułatwia.

- Czy moje oferty nie są jednymi z najlepszych, mister Faust?

Muhammed rozłożył zapraszającym gestem ramiona, zamawiając równocześnie kawę po turecku. - Nikt nie potrafi tak obsłużyć jak ja!

- Płacimy przecież za to! - zauważył Faust. - W dodatku wcale niemało!

- No tak, mister Faust, - powiedział Muhammed spoglądając na Petera O'Caseya - wszystko ma swoją cenę.

- A ta winna się zgadzać. Nadpłaty nie będą uiszczane. - Faust rozłożył dwie umowy i podsunął swojemu rozmówcy. Dodał przy tym rzeczowo: - Wspaniałe obiekty, te dwie wille na prawym brzegu Nilu - lecz niestety znowu nie bez zastrzeżeń. Tam są ludzie!

Muhammed zmieszał się, automatycznie sięgnął do brody i popatrzył na Fausta. - Więc to pan wpakował tam tych ludzi - żeby zaniżyć cenę?

- Decydujący jest fakt, że oni tam są. Tym razem zmniejsza się cena kupna. O dziesięć do dwunastu procent, nieprawdaż? Tyle mniej więcej kosztuje usunięcie tych ludzi.

- Zainstalował pan więc jakiś Egipcjan w moich budynkach, żeby systematycznie zmniejszać ich wartość.

Brzmiało to jak wymyślny komplement. - Pan robi postępy!

- Dostosowuję się tylko.

- Już dobrze, mister Faust. Usunę tych ludzi na własny koszt i znanymi sobie środkami. Zaoszczędzę w ten sposób dziesięć procent, które chce mi pan potrącić. A może dwanaście?

- Tym razem nie jest to takie proste, jak pan sobie wyobraża! - oświadczył przyjaźnie Faust. - Nie chodzi o pańskich łatwo usuwalnych rodaków, lecz o obywateli brytyjskich. Jak chce pan ich splawić?

- No proszę - powiedział Muhammed i splótł ręce na brzuchu.

- Pracuje pan przeciwko mnie moimi pierwotnymi metodami i jeszcze pan je ulepsza. Nie boi się pan, że mogłoby to pana kiedyś bardzo drogo kosztować. Jeżeli bym przy tym obstawał?

- Ależ proszę pana! Przecież oficjalnie nie ma pan ze mną nic do czynienia - wyłącznie z Silversem. A przeciwko niemu nie może pan wystąpić. Jest obywatelem brytyjskim i dysponuje zarejestrowaną bez jakichkolwiek zastrzeżeń firmą. Oprócz tego cieszy się bezgranicznym zaufaniem pułkownika - a ten jest z kolei spokrewniony z wieloma

znacznymi osobistościami w rządzie brytyjskim, jak również z obecnym ambasadorem Jego Wysokości w Kairze. Do tego dochodzi fakt, że zrobił pan z Silversem milionowe interesy, lepszych nie mógłby pan zrobić z nikim, jak pustynia długa i szeroka.

- Rzeczywiście, mister Faust, trzeba przyznać, że Silvers ma kilka zastanawiających zalet. Pan do nich również należy.

Po chwili Muhammed zerknąwszy na Petera O'Caseya dodał jeszcze jedno zdanie po arabsku. Brzmiało ono: - Nie potrafię sobie jednak wyobrazić, że czuje się pan z nim ostatecznie i trwale związany.

Faust odpowiedział także po arabsku: - Zawarliśmy między sobą umowę.

Muhammed dostrzegł, że Peter O'Casey przerwał swoją lekturę i przyglądał się im ze zmarszczonym czołem. Lecz zanim doszło do interwencji z jego strony, Muhammed śpiewał już dźwięcznie po arabsku szybko wypowiedane słowa. Powiedział: - Umowy nie są wieczne! Można je przebić i doprowadzić do ich rozwiązania. Można być przy tym wspaniałomyślnym. Kusi mnie to. Co pan na to?

- Chyba źle słyszę! - warknął Peter O'Casey przy stoliku obok. - Życzę sobie by mówiono tu po angielsku! Silvers nalega na to - wyraźnie mi to powiedział.

- Wszystko w porządku, Peter! - odparł Faust. - Nie straciłeś wiele. Mister Muhammed zrobił mi jedynie propozycję.

- Interesującą, jak myślę.

- Zobaczymy - powiedział Faust i popatrzył przed siebie.

\*\*\*

- Mamy jednego!

Oznajmił to podporucznik Langohr, prawdziwie godny następcą zamordowanego, z całą pewnością osobiście przez siebie, porucznika Kerna. - Nie było to łatwe, ale udało się!

Adresatem tych słów był kapitan Müller-Wipper, za którym siedział major Rossberg. Obaj spoglądali wyczekująco. - Czy ten człowiek na pewno się nada?

- Jeszcze nie wie dokładnie o co chodzi - relacjonował podporucznik Langhor. - Ale ma dobre chęci!

- To właściwie wystarcza, co? - zauważył Müller patrząc na Rossberga.

Ten skinął zdecydowanie głową. - Z resztą damy sobie radę. Proście go wreszcie!

Do pomieszczenia wszedł jeniec ze strefy C. Nazywał się Krauser, Hermann Krauser. Mężczyzna średniego wzrostu, przeciętnej budowy ciała, z poddańczą twarzą, na której stałe malowało się lekkie napięcie.

- Melduję swoje przybycie - wykrzyknął zupełnie niepotrzebnie.

Major Rossberg skinął ponownie głową. Tym razem z zadowoleniem a jednocześnie z nadzieją. - Kochany kolego Krauser - zaczął zachęcająco - jestem pewien, że możemy na panu całkowicie polegać.

- Tak jest, panie majorze! - potwierdził ochoczo Krauser.

- Chodzi nam o wielkie, ważne i decydujące sprawy. I mogę mieć jedynie nadzieję, że jest pan tego świadom.

Krauser Hermann patrzył pokornie i z respektem. Nigdy przedtem żaden major nie nazwał go „kolegą”. A coś takiego zobowiązuje. Tym bardziej, że wolno mu było usiąść między oficerami. Zajął miejsce przepelniony wdzięcznością.

Major Rossberg przeszedł do rzeczy. - Krauser, kolego Krauser, pan służył w tej samej jednostce co Faust, prawda?

- Faust? Tak jest, panie majorze! Ale krótko.

- Ale dobrze go pan sobie przypomina, mam nadzieję.

- No tak, panie majorze.

- Nie mógł pan się zbyt dobrze z nim porozumieć, co? Był inny niż wszyscy?

- Ależ tak, rzeczywiście.

- Więc dobrze. Zawsze się znajdzie jakiś odszczepieniec. Niestety! A czy słyszał pan już o rzekomych potwornościach obozów koncentracyjnych, Krauser? Tak? dobrze - nie, oczywiście, że niedobrze. Coś takiego należałoby potępić, o ile to prawda. Ale z drugiej strony nie można wszystkiego przyjmować tak dosłownie; najpierw trzeba pomyśleć i przeliczyć. W tych rzekomych potwornościach brało udział około kilkunastu tysięcy ludzi, powiedzmy dwanaście do piętnastu tysięcy. Tym samym daleko mniej niż tych, którzy aktywnie stawiali opór. Widzi więc pan, jak to się wyrównuje! Czy wszystko dotąd jasne?

- Tak jest, panie majorze - odparł zdezorientowany Krauser.

- Pomiędzy nimi są jednakże ci spokojni, szczerzy, pozbawieni egoizmu, obowiązkowi i dobrzy Niemcy, Krauser, kolego. Czyli ludzie tacy jak my, pan i ja. Czy pan to dostrzegł?

- Jak najbardziej, panie majorze - w pewnym sensie.

- Łatwo to panu nie przychodzi, niech się pan spokojnie przyzna, kolego Krauser. Jest pan porządnym chłopem, więc nic dziwnego, że tacy ludzie jak Faust to wykorzystują. Bo on w głębi duszy jest mniej lub bardziej utajonym faszystą, nazistą, czy nie tak? Musiał pan przecież to zauważyć! Coś takiego rzuca się w oczy! I pan to spostrzegł, jestem tego pewien.

- Tak jest, z pewnością.

- No właśnie. Więc co pan u Fausta zauważył, w tej sprawie oczywiście? No?

- No tak, panie majorze, jedno pamiętam dość dokładnie. On, ten Faust czytał bez przerwy Mein Kampf Hitlera. Czego żaden normalny człowiek nie robił. Prawda?

- No widzi pan! - wykrzyknął Rossberg nie bez zadowolenia.

- Z czymś takim można już coś zdziałać. Nosił więc tę książkę stale przy sobie. Dobrze! Świetnie! Czytał z niej jakieś kawałki?

- I to jak, panie majorze!

- Wybornie, Krauser! - wykrzyknął Rossberg. - Tylko tak dalej kolego!

- W dniu urodzin fuhrera - przypominam to sobie dokładnie - obudził nas wszystkich wcześniej i powiedział: „Nasz Adolf ma dzisiaj swój uroczysty dzień - a teraz cieszcie się ogromnie.”

- Godne najwyższej uwagi! - zawołał major Rossberg. - Ten facet wykrzykiwał chętnie „Heil Hitler” - co? Tak często, jak tylko mógł.

- Ależ oczywiście, nawet w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach. Czasami było nam wstyd.

- Kiedy, na przykład?

- No, na przykład w sraczu, w ubikacji, panie majorze. Nie do wiary. Jak Faust puścił bąka, krzyczał po prostu: „Heil Hitler”, a raz powiedział: „Nasz führer jest wszechobecny, trzeba więc powąchać, jak chce się wiedzieć, jak daleko sięga jego Rzesza”.

- Wystarczy! - oświadczył prawie szorstko kapitan Müller-Wipper. A do Krausera powiedział: - Może pan iść!

Ten oddalił się po wzorowym oddaniu honorów.

- Bardzo chętny człowiek - powiedział major Rossberg nie bez żalu.

- Dość głupi nieborak - stwierdził kapitan. - Jak wyskoczy przed Brytyjczykami ze swoimi wspomnieniami ze sracza, to umrą ze śmiechu.

- Ależ proszę, panie kolego! To był dopiero skromny początek. Chciałem jedynie sprawdzić jego użyteczność.

- Nie przekonało mnie to! - kapitan Müller okazał najwyższe niezadowolenie. - Jeżeli chcemy trafić w dziesiątkę, to musimy operować zupełnie innym kalibrem. Te bzdury o Hitlerze kolegi Krausera do niczego się nie nadają. W ten sposób nie usuniemy Fausta z placu boju.

- Oczywiście, że nie, przecież wiem.

Major Rossberg był lekko rozdrażniony. - Niech pan pozwoli mi działać. Moimi metodami! Z kolegą Krauserem można wiele zrobić, trzeba mu tylko wyjaśnić, na czym rzecz

polega. I mnie się to uda.

\*\*\*

- Hej, proszę pana, jakże się pan nazywa, potrzebuję męskiej ochrony.

- Mnie pani ma na myśli? - zapytał zaciekawiony Faust.

- Nie czuje się pan mężczyzną? - zapytał wesoło jasny, kobiecy głos. Kocie, mieniące się różnymi kolorami oczy patrzyły na niego promiennie i z zaciekawieniem. - Przecież pan jest mężczyzną, nieprawdaż?

- Zależy, co się pod tym rozumie - zauważył Faust. - W tej mierze nie istnieją przecież żadne wiążące kryteria.

Jasny głos należał do Nancy Nelson. Stała w hallu hotelu „Semiramis” i z widoczną przyjemnością delectowała się świadomością swoich pięknych, obiecujących dziewiętnastu lat. Z rozbawieniem obserwowała Fausta i zdawała się nie zauważać Petera O’Caseya siedzącego przy stoliku obok.

- Chcę pójść na spacer! Będzie mi pan towarzyszył?

- A dlaczego właśnie ja? - zapytał ostrożnie Faust.

- Bo ktoś to musi zrobić - powiedziała wesoło Nancy. - Dlatego, że jest pan pod ręką. I dlatego, że jest pan kimś w rodzaju przyjaciela Sida Silvera, o ile on kiedykolwiek miał kogoś takiego.

- Tego stwierdzić nie potrafię - powiedział grzecznie Faust.

- Chcę podkreślić, że życie prywatne Silvera nic mnie nie obchodzi, miss.

- Może pan mnie nazywać Nancy. A pan jak się nazywa?

- Niech pani go nazywa Henry - zdumiewająco szybko zareagował Peter O’Casey.

- A pan co tutaj robi, Peter? - zapytała Nancy Nelson zachowując się w taki sposób, jakby dopiero teraz go zauważyła. - Znowu gra pan rolę psa policyjnego? Lub czegoś w tym rodzaju?

- Miss Nancy, ja tu tylko tak sobie siedzę - zapewnił przyjaźnie Peter O’Casey.

- Pięknie, więc niech pan sobie nie przeszkadza. Podczas, gdy ja będę spacerować z Henrym w ogrodzie zoologicznym, o ile to pana interesuje. Bo zakładam, że zechce pan poinformować o tym Silvera.

- To nie będzie potrzebne, bo pani piękny spacer musi się niestety odbyć bez Henry’ego, miss Nancy.

- Czy pan o tym decyduje?

Ten jakby bronił się szerokim gestem. - Ale gdzież tam, Nancy! Czasami zachowuje

się pani jak pani ojciec, pułkownik - co rzecz jasna jest komplementem, chcę to wyraźnie podkreślić.

- Niech pan mnie uwolni od tego wspaniałego goryla, Henry! - wykrzyknęła zdecydowanie Nancy Nelson. - Niechże pan już idzie! A może pan się wstydzi ze mną wyjść?

- Oczywiście, że nie - oświadczył spontanicznie Faust.

- No więc! Chodźmy! A może coś jeszcze?

- Tylko jedno - zauważył rozsądnie Peter O'Casey.

- Fakt, że jest pani córką pułkownika mogłoby przeszkadzać Henry'emu.

- Peter czy chce mnie pan na siłę rozbawić? - Nancy przyglądała mu się rozweselona. Potem przyjrzała się Faustowi i to zdaje się dokładnie. - Henry, niech pan powie, co panu przeszkadza fakt, że jestem córką pułkownika? Pan jest cywilem, prawda? A może ma pan z ojcem do czynienia?

- Na pewno nie tak wiele jak pani, miss Nancy! - zapewnił z uśmiechem Peter O'Casey.

- Chętnie bym z panią poszedł, miss Nelson - zapewnił uprzejmie Faust. - Ale nie mogę, niestety! Peter i ja mamy spotkanie.

- Pan nie chce! - Nancy patrzyła teraz wojowniczo. - A właściwie dlaczego nie? Musi mi pan to wyjaśnić i to dość dokładnie, proszę.

- Niech pan tylko posłucha, Henry. Zachowuje się rzeczywiście jak córka pułkownika! - stwierdził z rozbawieniem Peter.

- Miss Nelson - oświadczył Faust patrząc na nią z podziwem - czekamy na Silversa. I nie chcę robić mu niepotrzebnych niespodzianek. Myślę, że pani wie, co mam na myśli.

- Ach, co tam, przecież ostatecznie mnie nie wydzierżawił.

- Ale mnie, poniekąd.

- Pana? - powiedziała zaciekawiona Nancy. - Ależ to jest niesłychanie interesujące. Musi mi pan o tym więcej opowiedzieć.

Przysiadła się bez skrępowania do Fausta. A do Petera powiedziała: - Przysuń się, gorylu, żebyś sobie uszu nie nadwężył. Więc, Henry, niech pan zaczyna.

- Niech pani lepiej zapyta o to Silversa - odpowiedział wymijająco Faust. - W sprawie informacji o mnie to on jest kompetentny.

- To jest coraz bardziej interesujące. Co pan chce przede mną właściwie ukryć, Henry? Przede mną! Przecież jestem typową córką pułkownika, jak to Peter celnie określił. Pan mnie naprawdę zaciekawia.

\*\*\*

- Złe wiadomości - oświadczył starszy sierżant Ken McKellar swojemu przyjacielowi Silversowi w momencie, gdy jego grupa robocza powracająca z Kairu dotarła do zewnętrznej bramy obozu.

- Cholernie złe wiadomości! Czekam tu już na ciebie od godziny.

- Już to samo w sobie jest dość smutne - odparł wesoło Silvers.

- Jakiegoż to znowu ostrego psa spuszczonego z łańcucha?

- Chodzi o naszego Fausta, Sid.

- Z całą pewnością nie uciekł - to już jest pewne.

- Ale złożono, że tak powiem, oficjalny wniosek o wszczęcie przeciw niemu śledztwa - oznajmił poważnie McKellar.

- Kto wnioskuje?

- Niemiecka komendantura obozu.

- Z jakiego powodu?

- Obwinia Fausta o faszyzowanie.

- O co? - Silvers prosił Kena o powtórzenie. - Ale przecież to absurdalne!

- Ja też tak najpierw zareagowałem - zupełnie idiotycznie! - oświadczył przybity Ken. - Tej sprawy jednak nie można lekceważyć, Sid. Bo niemiecka komendantura dostarcza dowodów - podobno istnieją świadkowie. I ci ludzie nie wahają się oznajmiać wszem i wobec, że nie zgadzają się oddychać tym samym powietrzem, co tacy faszyci, jak Faust. W tej sytuacji za nic nie ręczę.

- Zupełne szaleństwo, Ken - i to bez jakiejkolwiek metody.

- Też tak uważam, Sid. Ale oni coś mają na Fausta. Zarzuty, które zdają się mieć ręce i nogi. Ludzie z niemieckiej komendantury są diabelnie pewni, jakby Faust już został osądzony i usunięty.

- Człowieku - wykrzyknął Sid Silvers - musimy natychmiast coś z tym zrobić! Ale co?

\*\*\*

- Co mnie obchodzą te krążące po obozie domysły i podejrzenia - wykrzyknął kapral Copland. Prowadził zorganizowaną przez siebie naradę starostów stref. - Organizuję tutaj imprezy sportowe - w pierwszym rzędzie mecze piłki nożnej. Inne bzdury mnie nie interesują.

- Ale istnieją brzemienne w skutki oskarżenia przeciwko pewnym ludziom - mogą doprowadzić do ewentualnej reorganizacji obozu - zwrócił uwagę podporucznik Langhor, przedstawiciel strefy A. - Być może konieczna będzie całkowita likwidacja strefy B.

- Czego można jedynie życzyć tej świńskiej bandzie - wykrzyknął z przekonaniem porucznik Hartmannsweiler, strefa C. - Zgromadzonej tam hołocie trzeba natychmiast uświadomić, co to znaczy posłuch.

- Niech pan spróbuje to zaproponować McKellarowi - powiedział feldfelbel Schulz, strefa B, bez jakiegokolwiek szacunku.

- Dość, ludzie! - zawołał energicznie kapral Copland. - Nam chodzi jedynie o sportowego ducha. Czyli o jednoznacznie wyższe wartości. A może nie potraficie się już tym interesować? Mam nadzieję, że tak nie jest.

Copland zamierzał przeprowadzić ze starostami stref jedynie naradę na tematy organizacyjne - na wielkim ogrodzonym placu między brytyjską a niemiecką częścią obozu, dawnej „strefie zero”, „arenie”, gdzie pośrodku stały trzy samotne bunkry.

- Teren ten - oświadczył zachęcająco Copland - zamienimy - w pracy społecznej rozumie się - w teren sportowy, w boisko do piłki nożnej. Bunkry zostaną zrównane z ziemią.

- A gdzie się je przeniesie? - zapytał ostro Hartmannsweiler.

- Nigdzie - o ile nie zajdzie tego natychmiastowa i niezbędna potrzeba. Chce się pan o to zatroszczyć?

Powstało przyjemnie długie milczenie. Kapral Copland zarejestrował je jedynie, ale nie wykorzystał. Powiedział: - Każda strefa wystawi po jednej drużynie - łącznie z rezerwowymi, obsługą i zarządem. W sumie około dwudziestu pięciu do trzydziestu ludzi.

- I ci ludzie oczywiście mają trenować do upadłego, co? Ale po co?

- Trening piłkarski jest służbą specjalną - wyjaśnił kapral. - A za służbę specjalną wydaje się zazwyczaj dodatkowe racje żywnościowe.

Zostało to przyjęte do wiadomości z niejaką radością. Uczestnicy narady spoglądali na siebie nie bez zadowolenia. A podporucznik Langohr zapewnił: - Jeżeli weźmiemy w tym udział, to już solidnie. Będziemy trenować codziennie. Tym samym należeć się nam będą codziennie dodatkowe racje. Macie coś przeciwko temu?

- Ależ skąd - zapewnił kapral z rozmachem. - Tym szybciej możemy zaczynać!

- Co zaczynać?

- Mistrzostwa.

- Co za mistrzostwa?

- Ludzie, a jak myślicie, po co wystawiamy drużyny piłki nożnej? Żeby mogły się ze sobą zmierzyć. A ponieważ mamy tylko trzy, to każda będzie grała z każdą. I najlepsza zwycięży.

- Tylko to? Nic więcej?

- Nam wystarczy wygrana - oświadczył dumnie i ufnie Hartmannsweiler. - I wygramy.  
- Bardzo dobrze - wykrzyknął kapral. - Najpierw ideały. Co oczywiście nie wyklucza - i o to się zatroszczyłem - pewnych premii i nagród. Również w naturze, rozumie się. Ostatni mecz będzie czymś w rodzaju święta ludowego.

- Przy czym poszczególne drużyny, zanim się spotkają, powinny mieć za sobą możliwie pełny trening - włączył się Langohr.

- Ale przydałoby się uformować nie jedną drużynę w każdej strefie, lecz dwie.

- Zezwalam - zaakceptował wspaniałomyślnie Copland - nawet w przypadku, gdy liczba uczestników miałyby się powiększyć - powiedzmy do trzydziestu pięciu osób na klub. Ale nie więcej!

- Czy dostaniemy wyposażenie sportowe?

- W ilości wystarczającej. Koszulki, spodenki, skarpety, buty piłkarskie - do tego piłka i piłka zapasowa, gwizdek też i co tam jeszcze będzie potrzebne.

- Koszulki w jakich kolorach?

- Białe.

- Czy dozwolone będą oznakowania celem lepszego rozróżnienia drużyn?

- W każdej postaci oprócz symboli nazistowskich oczywiście. Możecie ponaszywać kwiatki, zwierzęta czy litery. Możecie się w dowolny sposób nazwać. Nawet nazwiskiem Rommla, jeżeli koniecznie musicie. Nie byliśmy pod tym względem nigdy małostkowi.

Kapral Copland cieszył się wrażeniem, jakie zrobiły jego zapowiedzi. Było wyraźne i wielce obiecujące.

- Chciałbym tylko jedno stwierdzić - oznajmił stanowczo porucznik Hartmannsweiler - jako absolutnie obowiązujące mnie i moich kolegów ze strefy C: nie będziemy grać przeciwko drużynie, w której znajdują się podejrzane elementy - taki Faust na przykład.

- My też - oświadczył natychmiast za strefę A, podporucznik Langohr.

- A dlaczegoż to? - zapytał Copland jeszcze opanowany.

- My zdecydowanie protestujemy przeciwko kontaktom z takim niepoprawnym faszystą, superfaszystą - oświadczył uroczyście i z przekonaniem Hartmannsweiler.

- My też - potwierdził Langohr za strefę A.

- Akurat wy! - wykrzyknął oburzony feldfelbel Schulz. - Wy z tą waszą flagą nazistowską. Pewnie sama pojawiła się na maszcie, co?

- Ja w każdym razie - zapewnił Hartmannsweiler i brzmiało to prawie szczerze - nigdy nie byłem nazistą. Zawsze tylko człowiekiem myślącym w kategoriach narodowych i socjalistycznie reagującym. Po prostu Niemcem.

- A ta flaga, którą pan wciągał?

- Flaga Rzeszy i nic więcej. Ta sama flaga, pod którą, Schulz, walczyliśmy. Za Niemcy!

Kapral Copland zdezorientowany nieco tym wyjaśnieniem popatrzył jakby szukając pomocy na feldfebla Schulza i nie na próżno.

Gdyż Schulz oświadczył: - Nie będę komentował tych bzdur, bo członkostwo jeńca wojennego Fausta w naszej drużynie nie jest zaplanowane.

- No więc! - wykrzyknął Copland. - Po tym wyjaśnieniu możemy od razu zaczynać.

\*\*\*

- Jestem dla pana wielkim ryzykiem, Silvers - powiedział Faust uśmiechając się jednak. - Ma pan ze mną same kłopoty.

- Pan chyba nie chce bym na siłę pana chwalił, co? - odparł Silvers. - Kłopoty wkalkulowałem już na początku. A korzyści, jakie może mi pan przynieść czy też już przyniósł, są przeciwwagą.

Jechali w kierunku Kairu, tak jak zwykle od wielu dni: Peter O'Casey za kierownicą swojej ciężarówki, po lewej stronie Silvers, Faust pomiędzy nimi. Pod plandeką za nim siedziało około trzydziestu wyselekcjonowanych specjalistów - znający się na rzeczy, energiczni i chętni do pracy ludzie. Wiedzieli, że opłaca im się pracować w interesie. Byli zdecydowani wykonać całą pracę.

- Ale co wtedy, jeśli się okaże, że rzeczywiście jestem lub byłem faszystą?

- Czy pan go słyszy, Peter - powiedział Silvers do O'Caseya. - Chce nas chyba rozbawić!

- Tak, ma zadatki na komika! Tylko zbyt rzadko to pokazuje!

- A może nas nie lubi, Peter. Może nie jesteśmy dla niego dość dobrzy - przynajmniej jeżeli chodzi o nasze metody. A może chce się wycofać?

- Ale nie może, bo go zatrzymamy! - oświadczył z uśmiechem Peter O'Casey.

- Cieszcie się, cieszcie! - powiedział Faust. - Moim kosztem! Bo przecież cholernie śmieszne, gdy ktoś jest podstępnie wrabiany!

- Faust, mój kochany! Mam nadzieję, że nie stał się pan nagle wrażliwy jak mimoza? Dotychczas wiele potrafił pan znieść, zupełnie tego nie okazując.

- Ale tego już nie! Kiedy mnie ci faszyci nazywają faszystą, to kończy się dla mnie zabawa.

- A może właśnie teraz powinna się w pełni rozpocząć?

- Pan chyba nie myśli, że byłem faszystą?

- Jest to mój przyjacielu, zupełnie zbyteczne pytanie!

- Być może my obaj także jesteśmy faszystami, Sid, tylko jeszcze nic o tym nie wiemy. Bo przecież nasze stosunki z Faustem układają się tak harmonijnie! - zauważył Peter.

- Już ani słowa więcej, panowie! - zawołał Faust uradowany. - Bo zaraz zacznę płakać, a tego widoku chciałbym wam zaoszczędzić.

- I nie jest to konieczne - zapewnił Sid. Człowieku, tacy ludzie jak Müller, Rossberg i spółka mogą sobie do woli preparować świadków oskarżenia! Najważniejszy jest tu tylko pułkownik Nelson!

- Czyli pan, Silvers!

- A pan u mnie dobrze stoi, jeżeli nie będzie się pan mieszał do mojego prywatnego życia.

- Czy sugeruje pan Nancy Nelson? - zapytał zmartwiony Faust.

- Peter, zauważyłeś jak szybko zareagował? Usiłuje się natychmiast zabezpieczyć. Nie dziwi mnie to zbytnio - ostatecznie dobrze znam Nancy.

- Jego też znasz! - powiedział przyjaźnie O'Casey. - I w tym wypadku jestem jego świadkiem. Jako świadek mogę stwierdzić: w żadnym razie nie narzucał się Nancy! Wręcz przeciwnie - usiłował się jej wymknąć.

- Ale mu się podobała!

- Jeszcze jak, Silvers! - przyznał natychmiast Faust. - Nad wyraz ponętne stworzenie. Życzę panu szczęścia z Nancy - szczerze! Powodzenia, zazdroścę panu!

- Niech pan tylko sobie ozdóbek nie połamie - odparł Sid Silvers. - Teraz mamy na głowie poważniejsze sprawy, którymi musi się pan zająć. Nasza firma „Holiday Service” musi się jak najszybciej zorganizować. Czas to pieniądz - jak zwykle.

- Już w przyszłym tygodniu, Silvers - zapewnił Faust - można otworzyć luksusową restaurację przy Muzeum Egipskim, jak również bar na łodzi mieszkalnej na lewym brzegu Nilu. Ponadto trzy wille są właściwie całkowicie odremontowane i gotowe do przyjęcia gości. Pod jednym warunkiem, że Muhammed dostarczy zgodnie z umową niezbędnego personelu.

- Spotka pan się z nim w naszym przejściowym biurze, w apartamencie sześćset sześć.

- Dlaczego właśnie tam?

- A dlaczego nie tam - odparł lakonicznie Silvers.

\*\*\*

- Czyż nie rozwija się wszystko świetnie, panie pułkowniku? - zapytał pułkownik

Nelson z właściwą sobie uprzejmością witając gościa.

Pułkownik von Schwerin starał się jednak usilnie zachować rezerwę. Co nie powstrzymało go od sięgnięcia po kanapki.

- Pan mnie rozpieszcza - powiedział gryząc zawzięcie.

- A pan na to zasługuje! - zapewnił serdecznie pułkownik Nelson. Po chwili zapytał: - Czy zna pan treść telegramu Hitlera przesłanego do Rommla z trzeciego listopada tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego?

- W osobie tego człowieka - mam na myśli Hitlera - nigdy nie widziałem mojego prawowitego Naczelnego Dowódcy.

- Może się pan tym szczycić, panie pułkowniku!

- Ten człowiek spowodował nie tylko zaślepienie naszego narodu, ale ponadto zhańbił naszych żołnierzy i wykorzystał.

- Komu pan to mówi? - zgodził się pułkownik Nelson. - Telegram Hitlera do Rommla potwierdzał tę linię postępowania. W jego treści znajduje się dosłownie taki ustęp: „Waszym jednostkom nie możecie wskazać innej drogi niż zwycięstwo albo śmierć!” Jak już powiedziałem jest to dosłowny cytat.

- Godne najgłębszego pożałowania, coś takiego! - zapewnił pułkownik. - Przerażająca uzurpacja o dalekosiężnych skutkach - aż do chwili obecnej. Ale ja i moi żołnierze jesteśmy zdecydowani odciąć się radykalnie od przeszłości, w której nas zniewolił podstępem i siłą. Dystansujemy się i to stanowczo!

- Czy usiłuje pan tym samym nawiązać do afery z Faustem?

- Myślę, że należy zacząć wreszcie rozgraniczać!

- Czy jest pan absolutnie pewny, że jest to właściwa okazja?

- A dlaczego nie? Kazałem sobie w sprawie Fausta przedstawić świadków i dokładnie ich przesłuchałem. Wysłuchałem rzeczoznawców i sprawdziłem ich poglądy. Naradziłem się ze swoimi oficerami. Wnioski, które wypłynęły, były tego rodzaju, że muszę przy nich obstawać.

- Jednak ja jestem jedynie kompetentny w tej sprawie. I nie zamierzam działać zbyt pochopnie.

- Rozumiem, więc musimy odczekać! Co praktycznie oznacza: postaramy się tymczasem zachować jasny, chłodny umysł - jak wtedy pod El Alamein, prawda?

- Na podstawie dokładnie przez nas opracowanych szkiców - oświadczył pułkownik Nelson - już niedługo zostanie wykonany model piaskownicy. Potem przeniesie się go na otwarty teren. W ten sposób otrzymamy wzorowy, plastyczny obiekt do demonstracji mniej

więcej w skali jeden do tysiąca. Cieszy to pana?

- Bardzo, sir!

- A propos, wiedział pan, że pański feldmarszałek Rommel przesłał swojemu Naczelnemu Dowódcy, temu Hitlerowi zupełnie jednoznaczne ostrzeżenie?

- Tego nie wiedziałem, chociaż doradzałem mu to osobiście i wielokrotnie - powiedział pułkownik von Schwerin-Sommershausen.

- Sytuacja wyglądała następująco: po tym jak my, Brytyjczycy, wzięliśmy do niewoli ponad trzydzieści tysięcy Niemców i Włochów, Rommel pozwolił sobie przesłać telegram takiej treści: „Czwartego jedenastego udało się wrogowi dzięki dużej przewadze w ciężkich czołgach, ciężkiej artylerii przeciwpancernej, ciężkiej artylerii i amunicji, jak również licznym ciężkim nalotom bombowym przerwać pozycję w pięciu miejscach na długich odcinkach frontu.” Tyle cytat.

- Dosłowny?

- Tak! Posiadamy kopię oryginału. Jak można to wytłumaczyć, pana zdaniem?

- Zwykłą przewagą materiałową! Po pańskiej stronie było więcej ludzi, amunicji, maszyn! Nam nie pozostało nic innego, niż robić to, co w naszej mocy. A w takich warunkach nie było to wcale proste.

- Zgadzam się, panie pułkowniku! Bez zastrzeżeń! Bo pan - czyli korpus afrykański - byliście dla nas jak najbardziej godnym przeciwnikiem. Wasze zaistnienie przynosi nam jedynie chlubę.

- Tym bardziej przykro mi z powodu zaistniałych przykrości - i to z powodu jednego jedynego człowieka.

- Panie pułkowniku, stoczyliśmy przeciwko sobie najważniejsze bitwy! Dlaczego nie miałyby zaistnieć między nami drobniejsze potyczki.

\*\*\*

- Czy dlatego pan się tu ze mną umówił, żebym podziwiał apartament oddany do pańskiej dyspozycji i smakował kawę zrobioną przez Sitah? - spytał Muhammed z zadowoleniem oczekując dalszych przyjemności.

- Być może.

- Widok Sitah rzeczywiście dobrze na mnie wpływa - zapewnił Egipcjanin. - A kawa jest wyborna - żaden z moich pięciu służących nie zaparzyłby lepszej. Mimo to powinien pan jak najszybciej mnie odwiedzić.

Muhammed siedział swobodnie rozparty w apartamencie sześćset sześć w fotelu,

który był wygodny jak kanapa. Wodził za Sitah wzrokiem, uśmiechał się do Fausta, a swoje ręce położył prawie pieszczotliwie na brzuchu. - Życzę panu tego wszystkiego jak najserdeczniej, mój przyjacielu - powiedział przymilnie. - Tego i nawet czegoś więcej.

- Czy to znowu jakaś propozycja?

Muhammed skinął głową patrząc w zadumie na Sitah, która na znak Fausta oddaliła się. Kiedy zamknęły się za nią drzwi, arabski gość zauważył: - Ona jest piękna. Jest też na pewno zdolna i ochocza, jak podejrzewam. Ale w samym tylko moim domu mogę przedstawić panu, mister Faust, trzy bardzo podobne egzemplarze. Więc, jak już powiedziałem, musi mnie pan jak najszybciej odwiedzić.

- A co pan sobie po tym obiecuje?

- Mam zamiar sprawić panu przyjemność - jest to moje specjalne życzenie. Ponadto chciałbym załatwić z panem dalsze, a może nawet bardziej dalekosiężne interesy. Z panem osobiście.

- Zakładam, że jest panu wiadomo, iż współpracuję z Silversem, na zasadzie umowy.

- Oczywiście, że to wiem. Znam nawet dość dokładnie treść waszej umowy - przynajmniej jej ważniejsze punkty.

Faust, który przystanął pośrodku pomieszczenia, cofnął się teraz trochę w kierunku okna. Nie spuszczał jednak swojego gościa z oczu. - Więc chce pan spróbować przebić propozycję Silversa?

Muhammed przytaknął. - Wiem, co miałem tu zobaczyć. Stosunkowo wygodne życie, z dodatkami. Mnóstwo przyjemności: na przykład ten apartament łącznie z Sitah, ponadto jedzenie w restauracji pierwszej kategorii, do tego wystarczająca ilość garniturów i bielizny. Czy także udział w zyskach?

- To też.

- A później prawdopodobnie bilet pierwszej klasy na drogę powrotną do ojczyzny, do pańskich Niemiec.

Muhammed zauważył z zadowoleniem, że Faust kiwa głową. - Ale kiedy będzie to później?

- Zauważy to pan jako jeden z pierwszych, mister Muhammed. A na razie nie pozostaje panu nic innego, jak liczyć się z moją osobą. A może to jeszcze długo potrwać.

- Nie chce pan, żeby ten okres się skrócił? Poważnie skrócił?

- Z pańską pomocą?

- Dlaczego nie? Wiem, że jest pan dla Silversa wart majątek. Tak długo, jak jest pan tutaj. Ale dla mnie jest pan również wart majątek. Lecz tylko wtedy, kiedy jak najprędzej pan

stąd zniknie. Wystarczająco wyraźnie się wyraziłem?

- Na to wygląda! - powiedział Faust. - Co pan zamierza mi zaproponować?

- Na początek paszport. Oczywiście będzie to taki paszport, z którym wiele będzie pan mógł zdziałać w obecnych czasach. Paszport szwajcarski wystawiony w Bernie. A może norweski prosto z Oslo?

- I co dalej?

- Z góry opłacona, wcześniej zarezerwowana podróż z Aleksandrii na neutralnym statku - na przykład do Genui lub Lizbony, dokądkolwiek pan sobie życzy. Stamtąd może pan już wygodnie dotrzeć do swoich Niemiec, gdzie tak koniecznie chce pan być. A dlaczego, jest mi zupełnie obojętne.

- Żeby kogoś zamordować. Niech pan tylko posłucha. Mam zamiar wysłać jednego skurczybyka na tamten świat. I pan chce mi w tym pomóc?

- A co mnie to obchodzi? - powiedział nonszalancko Muhammed z obronnym gestem.

- Chcę się pana pozbyć! Jak najprędzej! Bo psuje mi pan moje interesy.

- Pozbawiłbym się jednak udziału w zyskach u Silversa. Ten facet, którego chcę ukatrupić może poczekać aż zainkasuję mój kapitał obrotowy.

- Ależ oczywiście, panie Faust, jestem gotów wziąć to pod uwagę. Zaproponuję panu natychmiast sumę, której pan się spodziewa. Prawdopodobnie skalkulowana jest w funtach brytyjskich. Ode mnie może pan oczekiwać takiej samej sumy, ale w amerykańskich dolarach. A za nie może pan, Faust, w Niemczech wiele kupić - wsie, sieć sklepów, jak również tereny przemysłowe, kilometry kwadratowe takich terenów. I każdego trupa. Więc?

- Zobaczymy - powiedział Faust, na którym zrobiło to wyraźnie pewne wrażenie.

\*\*\*

- Wnoszę zażalenie - oświadczył uroczyście starosta strefy C, porucznik Hartmannsweiler. Po chwili poprawił się: - Wnosimy zażalenie.

- Jest to pana niezbywalne prawo - zapewnił uprzejmie kapral Copland, który sam siebie wybrał na przewodniczącego lub też prezesa wszystkich klubów piłki nożnej w obozie. Po objęciu stanowiska wykształcił w sobie zaskakujące cechy: gdy chodziło o jedną z „jego” drużyn czuł się wręcz osobiście zaangażowany.

- Przeciwno czemu chce pan złożyć zażalenie?

- Przeciwno drużynie B.

- No tak, wiem: pańska drużyna przegrała w meczu kwalifikacyjnym z drużyną B - jeden do dwóch. Bardzo to przykre, z pewnością; wynik być może nie jest całkiem zgodny z

przebiegiem meczu, ale niewątpliwy. Tym bardziej, że sam byłem sędzią. A przecież nie przypuszczam, że chce mi pan zarzucić stronnicość?

- Naturalnie, że nie! - zapewnił Hartmannsweiler. - Jednak mamy wątpliwości co do tego, czy wynik ten został osiągnięty w warunkach bez zarzutu.

- A dlaczego?

Stali naprzeciw siebie pośrodku dawnej „areny”, „strefy zero”, a obecnego stadionu: prezes, czyli Copland i zarząd klubu C, w tym Hartmannsweiler. To, o czym mieli mówić, poruszyło cały obóz.

- mecze piłkarskie okazały się strzałem w dziesiątkę.

- Drużyna B - wyjaśniał Hartmannsweiler - nie tylko dłużej trenowała, lecz została staranniej dobrana. Ponadto dostarczono jej o wiele lepsze buty piłkarskie. Z podwójną podeszwą i wzmocnionym noskiem.

- Ależ to są drobiazgi! - powiedział Copland, chociaż wiedział, że Silvers z McKellarem zadbali o lepsze potraktowanie drużyny B - prawdopodobnie z inicjatywy Fausta.

- Decydują tylko umiejętności i duch walki - a wam przecież go nie brakuje.

- Niech pan da mi trzy tygodnie - zawołał stanowczo porucznik Hartmannsweiler. - Potem drużyna C rozłoży każdego przeciwnika.

- Bardzo by mnie to cieszyło - stwierdził Copland. Przyglądał się w zamyśleniu tablicy o rozmiarach metra kwadratowego ustawionej pośrodku placu, na której zaznaczone były dotychczasowe wyniki. „Jego” drużyny ze wszystkich stref miały już za sobą, po intensywnym treningu, pierwsze spotkania towarzyskie. I wyniki były obiecujące. C grała najpierw z A i wygrała 2:0. A przegrała potem z B 1:3, co napsuło trochę krwi. Potem zwycięstwo B nad C - to dyskusyjne 2:1- doprowadziło do burzliwych dyskusji.

- Pierwsze spotkania - zapewnił prezes - są jedynie rozgrzewką, testem, próbą - niczym więcej. Teraz dopiero się zaczyna. Gdyż obecny zwycięzca, czyli B, zmierzy się z brytyjską reprezentacją.

- Co - tylko ta spasiona banda z B? A nie reprezentacja wszystkich stref? Tu muszę zaprotestować!

- Niech pan to odłoży na później! - polecił prezes Copland. - Bo najpierw musimy nasze drużyny dostosować do tak zwanych salonów. Brytyjczycy muszą was zacząć poważnie traktować, zaakceptować. I właśnie o to się postaram.

W tym celu udał się najpierw do Kena McKellara. Ten był jednak nieosiągalny; ćwiczył właśnie ze swoim zespołem. Grał przy tym na kobzie partię nieobecnego Fausta -

szło mu to niezbyt wprawnie. Ale on sam słuchał siebie chętnie.

Kapral Copland odmówił sobie tej przyjemności i zameldował się u kapitana Moone'a. Usiłował go wprowadzić w swoje problemy, na co ten wyciągnął w obronnym geście obie dłonie. - Nie obchodzą mnie piłkarskie sprawy, jestem za krykietem.

Copland odszedł lekko obrażony i przemyślał dłuższą chwilę. Jeszcze tego samego wieczoru poskarżył się Sidowi Silversowi. I wylądował z tym pod właściwym adresem. Gdyż Silvers rozumiał, jak należy grać. Udał się natychmiast do pułkownika Nelsona.

Już następnego ranka - wręcz o świcie, czyli o dziewiątej - pułkownik Nelson poprosił do siebie: majora Turnera, kapitana Moone'a, starszego sierżanta McKellara, a do tego Silversa i Coplanda. I powiedział: - Leży przede mną wniosek o to, aby tę mile widzianą działalność sportową w naszym obozie - w naszym wzorowym obozie - uzupełnić o wielce obiecujące brytyjskie uczestnictwo.

- Przedkładam działalność muzyczną - powiedział McKellar jakby o czymś samo przez się zrozumiałym.

- Co ci Niemcy sobie właściwie myślą! - wykrzyknął major T.S. Turner rozżłoszczony. - Czy chcą nas wyzwąć na pojedynki? I w dodatku jako piłkarzy?

- Przecież to zawsze lepsze, sir - przyjaźnie stwierdził Silvers - niżby się mieli udzielać jako uciekinierzy. Mogłoby to być daleko bardziej nieprzyjemne - dla pana, sir!

- Wypraszam sobie podobne aluzje, Silvers! - energicznie zakrzyknął Turner. - Najwidoczniej umknęło pańskiej uwadze, że nikt od tygodni nie ośmielił się stąd uciec.

- Co pan sobie oczywiście przypisuje, sir?

- Oczywiście, Silvers. Powinien pan to uznać. Ale obawiam się, że nie myśli pan w dostatecznie brytyjskich kategoriach. Bo inaczej dostrzegłby pan, że chodzi tu o daleko poważniejsze sprawy niż o festyn ludowy. Piłka nożna jest ostatecznie naszym sportem narodowym.

- Ja osobiście - zapewnił ponownie kapitan Moone - przedkładam krykiet.

Pułkownik Nelson uśmiechał się z wyższością. - Nie mam zamiaru wpływać na kogokolwiek, poddaję jedynie pod rozwagę: wspólne brytyjsko-niemieckie imprezy sportowe mogą jedynie wesprzeć naszą zasłużoną reputację wzorowego obozu na afrykańskiej ziemi.

- Tym bardziej, że nie mamy się czego obawiać, co? - kapral Copland rozglądał się wokół siebie pełen nadziei. - A może ktoś reprezentuje pogląd, że byłoby lepiej, gdybyśmy przezornie uniknęli spotkania?

- Co mi pan tu opowiada, człowieku! - szczeknął oburzony major. - Pańskie kluby klasy żadnej nie mogą się umywać do brytyjskiej reprezentacji. Zostaną stratowane!

- Chętnie bym to zobaczył - zauważył Silvers. - Niech pan to zorganizuje, sir.

- I załatwię to - zdecydował major. Był pewny swego a ponadto przychylności pułkownika. Bo zauważył, jak ten z zadowoleniem kiwa głową.

I T.S. Turner zorganizował to rzeczywiście. Z właściwą mu energią buldoga, zarówno jako brytyjski miłośnik sportu, jak i specjalista od bezpieczeństwa. Załatwił wszystko w niespełna czterdzieści osiem godzin.

Najpierw major szukał aktywnych piłkarzy wśród swoich ludzi - znalazł czterech. Potem przy pomocy wypożyczonych żołnierzy z sąsiednich jednostek, uzupełnił tę liczbę do pełnej drużyny - zaangażował siedmiu byłych profesjonalistów. Taką drużynę zamierzał wystawić przeciwko drużynie B, zwycięzcy pierwszej rundy rozgrywek.

- Każę podjechać dwóm czołgom - oznajmił. - W ramach zabezpieczenia. Ostatecznie mamy do czynienia z fanatykami piłkarstwa. Reszta to czysta rutyna. Zaprzyjaźniony ze mną komandor batalionu pancernego stacjonującego w pobliżu jest zadowolony, kiedy jego ludzie trenują.

Kapitan Moone, krykicista, oddalił się kręcąc głową. Tym samym zostawił pole T.S. Turnerowi. A ten zachowywał się tak, jakby chodziło o honor Korony.

- Teraz im dopiero pokażemy! - zapewnił swoich zauszników, podporucznika Millera i Millsa. A ci oznajmiali to dalej ochoczo każdemu, kto tylko chciał ich wysłuchać.

Mecz zwycięskiej drużyny obozowej przeciwko brytyjskiej reprezentacyjnej jedenastce odbył się po dwóch dniach w godzinach popołudniowych. Na stadionie piłkarskim wolno było przebywać po dwustu osobom z każdej strefy - w sumie więc sześciuset osobom. Otrzymali pozwolenie na przyniesienie ze sobą małych skrzynek, kartonów, podręcznych stołków, a nawet krzeseł. Wyczekująco obsiedli całe boisko.

Pułkownik Nelson nie przybył - udał, że jest zajęty. Tym samym nie pojawił się również pułkownik von Schwerin - obecni za to byli kapitan Müller-Wipper i major Rossberg.

T.S. Turner powitał ich krótkim skinieniem głowy i uśmiechem, który podziałał na nich deprymująco.

- Mecz może się rozpocząć! - zawołał wesoło major.

Drużyna B wbiegła truchtem na „stadion”. Została przywitana średnio głośnymi oklaskami, pochodzącymi od ludzi z ich strefy. Potem pojawiła się zorganizowana przez Turnera „brytyjska reprezentacyjna jedenastka” - przyjęta uprzejmie marnymi oklaskami. Już na ich widok specjaliści od piłki nożnej zaczęli się domyślać, co tu się zaraz odegra.

Po piętnastu minutach od gwizdka - sędzią był Copland - było trzy do zera. Po

pierwszej połowie było pięć do zera. A do końca meczu dobrani Brytyjczycy podnieśli - spokojnie i bez wysiłku - ilość strzelonych bramek do dziewięciu. Widzowie zamilkli w godnym cierpieniu.

Po końcowym gwizdku major Turner wykrzyknął z radosnym uśmiechem: - Czy macie jeszcze jakieś wątpliwości?

Brytyjczycy oddalili się klusem. Zdruzgotana drużyna B stała zakłopotana wokół feldfebla Schulza. Nawet kapral Copland sprawiał wrażenie bezradnego i nieszczęśliwego, zanim nie dosłyszał wrzasku porucznika Hartmannsweilera.

Ten najpierw naradził się z Rossbergiem i Müllerem po cichu, ale w podnieceniu, najwidoczniej z jednoznacznym rezultatem. Gdyż znowu zaprotestował.

- Zamknij pysk! - rozkazał mu ostro kapral. - Nie okazywać emocji! Wszystko się jeszcze ułoży!

Kapral Copland szybko odnalazł się w roli prezesa. Zebrał wokół siebie wszystkie trzy obozowe drużyny, łącznie z rezerwowymi, opiekunami, organizatorami i zarządami. Znacząco popatrzył po zgromadzonych, wyprostował się, chrząknął i powiedział:

- Panowie - to był dla nas ciężki dzień.

- Do czegoś takiego nie powinno było nigdy dojść - wykrzyknął Hartmannsweiler. - Nie na taką skalę!

- My w każdym razie robiliśmy, co w naszej mocy - bronił swojej drużyny feldfebel Schulz.

- Graliście jak łajzy - krzyczał Hartmannsweiler. - I coś takiego śmie się nazywać zwycięską drużyną obozową. Można się uśmieć!

- Jeżeli o mnie chodzi, to może pan umrzeć ze śmiechu - wiele by to ułatwiło - stwierdził uszczypliwie Schulz.

- Czy mogę coś powiedzieć? - wmieszał się podporucznik Langohr ze strefy A. - Chciałbym zwrócić uwagę na rzecz następującą: zaproponowana tutaj jedenastka nie mogła być reprezentacją brytyjskich żołnierzy z naszego obozu. Major musiał zaangażować jakiś klub piłkarski.

- Ludzie! Jesteśmy przecież sportowcami, piłkarzami - może nie? I jako tacy, chłopcy, musimy sobie po przegranej zadać pytanie: jak odplacimy im pięknym za nadobne? Gdyż tylko to powinno nas teraz interesować.

- Zażądamy rewanżu! - wykrzyknął Hartmannsweiler.

- Ale przecież nie z tymi bykami! - zauważył podporucznik Langohr z powątpiewaniem. - Grają jak profesjonaliści i pewnie nimi są. Nie mamy czego przy nich

szukać.

- Ach, co tam! - sprzeciwił się Copland. - Tylko nie poddawać się. Nawet gdyby major Turner zamierzał wystąpić z brytyjską reprezentacją narodową. Przyjmujemy każde wyzwanie.

- Tak jest! - odezwał się Hartmannsweiler. I zabrzmiało to, jakby poprzysiągł sobie zemstę.

- Więc, chłopcy! - powiedział Copland, świadomy swej odpowiedzialności prezesa. - Będziemy teraz trenować, trenować i jeszcze raz trenować. Zbierzemy - po kolejnych rozgrywkach - najlepszych naszych graczy w jedną silną, ogólnoniemiecką drużynę reprezentacyjną. Wypracujemy sobie taktykę, a potem niech spróbują, koledzy!

\*\*\*

Przedpołudnie każdej soboty należało do rolls-royca pułkownika. Silvers wiedział, że pułkownik czuł się uszczęśliwiony, gdy miał pewność, iż przedmiot jego dumy poddawany jest pieczołowitej pielęgnacji. I takie poczucie mu zapewniał. Wystarczyło, że zaufany pułkownika powiedział: - Jak zwykle.

Niezwłocznie przystępowali wtedy do akcji wprawni członkowie zespołu McKellara, bez słowa i pracowicie. A feldfelbel Schulz, mimo iż piastował funkcję starosty, nie chciał się pozbawiać przyjemności nadzorowania tej grupy.

Także i on musiał jedynie powiedzieć: - Jak zwykle!

Gdyż każdy człowiek w jego grupie był już w tej pracy ściśle wyspecjalizowany. Jeden zajmował się kołem, drugi hamulcami, trzeci tablicą rozdzielczą; czterech dzieliło się karoserią, trzech koncentrowało się na wnętrzu wozu, dwóch okazało się fachowcami w dziedzinie silnika. Reszta poświęcała się dodatkowym czynnościom: zapewniała wodę, płukała gąbki i ścierki, trzymała flanelkę, pojemniki z olejem, szczotki, irchę i watę przemysłową w gotowości do użycia.

- Schulz i Faust do mnie - zarządził Silvers.

Sid zajechał rolls-roycem przed swój składzik - pod rozpięty żagiel, na kanał. Sam siedział na swoim obficie pokrytym poduszkami łóżku polowym, skąd przy szeroko otwartych drzwiach, mógł wygodnie obserwować postępującą pracę.

Schulz i Faust usiedli obok niego. Silvers zaproponował im najpierw północnoirlandzkie piwo w puszkach ze swojej lodówki. Co zostało z uznaniem zauważone przynajmniej przez Schulza.

Faust jednak stwierdził popijając: - To ogłupiające zajęcie, w każdą sobotę to dla nas nic innego niż strata czasu.

- Ale taka, która się oplaca - zapewnił Silvers. - Bo nic tak nie uszczęśliwia pułkownika jak widok wypucowanego rolls-royca.

- Ja też kocham to pudło - przyznał feldfelbel Schulz trochę zawstydzony. - Cały tydzień cieszę się z tego, że będą go pucować. Ta karetka zapadła mi w serce.

- Ale nasz Faust wolałby być teraz w Kairze - domyślił się Sid Silvers.

- Tym bardziej, że trzeba tam wiele spraw załatwić - zapewnił tenże.

- Niestety nie tylko tam - oświadczył Silvers. Sięgnął pod poduszkę i wyciągnął aktówkę. - I tym musimy się zająć.

- Co to jest? - zapytał zaciekawiony Schulz.

- Lista różnych oskarżeń, podejrzeń i pomówień. Sporządzona przez niemiecką komendanturę obozu. Dotyczy tak zwanego niepoprawnego faszysty. Niech pan mnie nie pyta, skąd mam te wypociny - po prostu je mam.

Faust uśmiechnął się trochę boleśnie. - Dobry papier toaletowy, co?

- Nie tak szybko człowieku. Powinien pan dokładnie przeczytać, co tu się o panu twierdzi. To nie musi być prawda. Jeżeli jednak ktoś w to uwierzy, to ja mogę łatwo stracić partnera, Schulz swoje plecy, a McKellar pierwszego pipera, Faust.

- Do tego dojść nie może! - wykrzyknął feldfelbel Schulz.

- Nie byłoby to wskazane, lecz jest zupełnie możliwe - sierżant Silvers zaproponował następne dwie puszki piwa swoim rozmówcom. - Dla niepoprawnych i upartych faszystów istnieją obozy specjalne; najskuteczniejszy z nich w dalekim południowym Sudanie. Mają tam compounds otoczone drutem kolczastym pod napięciem i z metalowymi zabezpieczeniami wkopanymi na trzy do czterech metrów w ziemię. Pańska dobrze się zapowiadająca kariera uciekiniera nieuchronnie by się zakończyła w tym obozie.

- Chyba nie będzie to aż tak konieczne - powiedział Faust i sięgnął po aktówkę. Otworzył ją i zaczął czytać. A feldfelbel Schulz nie mniej poruszony pochylił się nad nią także.

W tym czasie specjaliści z oddaniem trudzili się nad rolls-roycem. A Sida kusiło, by wyciągnąć się, ziewając, na swoim miękkim łóżku. Lecz zanim to uczynił, od strony drzwi do pomieszczenia wpadł ostry i wąski cień. Należał do kobiecej istoty.

- Hallo! - zawołał wesoły, jasny głos.

Głos Nancy Nelson. Lekko oślepiąca ostrym pustynnym światłem spoglądała w głąb składziku. Jej śnieżnobiała, lniana sukienka jaśniała lekko irytująco. Odrzuciła trochę głowę, co uwidoczniło tylko, jak dekoracyjne są jej długie rozpuszczone włosy. - Hallo, Sid! - zawołała.

Ten wstał powoli. Potem zapytał przeciągle: - A czego ty tutaj szukasz?

- Zawsze czegoś szukam. Ale dokładnie nie wiem czego.

Nancy Nelson zaczynała dopiero teraz rozróżniać szczegóły pomieszczenia - zdumiała się, potrząsnęła krótko grzywą swych włosów i jeszcze raz przyjrzała się dokładnie. Potem patrzyła wyłącznie na Fausta swoimi dużymi oczyma. Powiedziała przy tym siląc się na swobodę: - Chciałam tylko odwiedzić mojego kochanego tatę, pułkownika, i powiedzieć tobie przy okazji dzień dobry, Sid.

- No dobrze! - powiedział Sid i wysunął się przed Fausta.

- Powiedziałas mi już dzień dobry. A twój kochany tata jak widzisz nie przebywa tutaj. Czy masz coś do mnie jeszcze?

Nancy przyjrzała się badawczo najpierw Faustowi, potem feldfeblowi Schulzowi i nie dostrzegła nic więcej niż tylko przyjazne twarze.

Powiedziała z lekkością: - Gdybyś spotkał swojego przyjaciela Henry'ego, Sid, to przekaż mu, że chciałabym z nim porozmawiać. Może w przyszły poniedziałek po południu? A może zbyt wiele oczekuję?

- Więc w poniedziałek - zgodził się pod przymusem Sid.

Nancy podniosła rękę, jakby na pożegnanie. Potem odeszła podrygując jak pliszka. Tylko Schulz patrzył za nią z niczym nie zakłóconym podziwem.

- Nie jestem pewien - oznajmił zachwycony feldfebel - czego można bardziej pułkownikowi zazdrościć - rolls-royca czy tej córki.

- Dobry człowieku - zauważył sierżant Silvers. - Pan jest kompletnie bez pojęcia. Mam nadzieję, że chociaż czytać pan potrafi.

- Jeżeli myśli pan o tych aktach, mister Silvers, to każde słowo jest w nich jasne. Generalnie jest to kupa gówna, które zgodnie ze swą naturą zdrowo śmierdzi. Ale śmierdzi tymi, którzy je wyprodukowali. Lecz jedno muszę przyznać: przynajmniej jedno zeznanie świadka wydaje mi się zastanawiające.

- Tego żyrandola! - skomentował Faust.

- Czy może pan obalić to zeznanie?

- A jak mam to zrobić? - zapytał Faust. - Mogę jedynie stwierdzić, że to wszystko bzdura. Ale to będzie tylko zaprzeczenie.

- Co zwykle nie wystarcza - stwierdził Silvers. A potem powiedział otwierając kolejne puszkę piwa: - Tak, wraz z pańską osobą nabawiłem się całej masy nieprzyjemności.

- Przecież może się pan mnie po prostu pozbyć, a problem sam się rozwiąże.

- Człowieku, to nie wchodzi w rachubę po tym, co w pana zainwestowałem.

- Nie ma powodu do zmartwienia - powiedział pocieszająco Schulz. - Bo cóż to znowu jest taki rzekomy świadek. Musimy zorganizować drugiego, który będzie twierdził coś wręcz przeciwnego.

- I myśli pan, że da się to załatwić - uchwycił się tego Sid Silvers.

- Biorę to na siebie - powiedział pewnie feldfebel Schulz. - Chociaż tyle jestem winien naszemu McKellarowi i jego zespołowi.

\*\*\*

- Jest pan nareszcie! - Nancy Nelson przyglądała się Faustowi, w hallu hotelu „Semiramis”, z widoczną radością. - Chciałabym się panem bliżej zająć, czy masz coś przeciwko temu, Sid?

- Powoli, Nancy - powiedział Sid stając między nimi. - Faust nie jest twoją własnością - jest moim partnerem w interesach.

- Być może, ale co ja z tego mam? - zauważyła wesoło Nancy.

- A co chciałabyś z tego mieć?

- No, kogoś w rodzaju towarzysza, na początek. Już w poprzednim tygodniu chciałam zobaczyć ogród zoologiczny w Kairze - ale nie doszło do tego.

- Każda taksówka cię tam zawiezie.

- Ale mój kochany tata, pułkownik Nelson, życzy sobie wyraźnie, żebym nie poruszała się po mieście bez dostatecznej ochrony.

- Dobrze, Nancy - ja z tobą pojedę.

- To bardzo miłe z twojej strony, Sid. Lecz twój przyjaciel Henry jest dla mnie obecnie o wiele bardziej interesujący. Pozwolić mi na to, Sid?

- Nie - powiedział Silvers. - Nie mogę sobie na to pozwolić. Istnieje zagrożenie, że przez twoją ciekawość zaprzepaszczone zostaną moje interesy. I prawdopodobnie ograniczone moje życie prywatne. Czy zależy ci na tym?

- Jak możesz tak przypuszczać, Sid? - zawołała Nancy rozbawiona. - Jestem przecież niewinną owieczką. Prawda? A w twoich oczach nawet milutką, która zawsze biegnie za tobą, jeżeli tylko jej wolno.

- Dobra, dobra - odezwał się Silvers - nie zgrywaj tu pierwszej niewinnej. Dlaczego chcesz tak koniecznie pakować swój miły nosek w sprawy, które nie powinny cię obchodzić?

- No ładnie - odparła Nancy ciągle wesoła - poproszę więc mojego kochanego tatusia, żeby postarał się o towarzystwo dla mnie i żeby udzielił mi porady i informacji w sprawach, na których się najwidoczniej nie znam.

- Więc dobrze - zdecydował Silvers niechętnie. - Przekazuję ci mojego, twojego, naszego Fausta na dwie godziny.

- A mnie nikt nie pyta o zdanie? - upewniał się Faust.

- Nie - odparł Silvers. - A dlaczego to? Chyba zdążył się już pan zorientować, że mamy do czynienia ze szczególnym, bo kobiecym, rodzajem szantażu. Cóż można poradzić na ciekawość?

- Jeżeli moje życzenie, by mi pan towarzyszył, jest panu niemiłe, to nie będę przy nim obstawać - zapewniła Nancy patrząc na Fausta.

- Będę chętnie pani towarzyszył - zapewnił Faust z niejaką gorliwością. - Dokąd tylko pani zechce. Lecz obawiam się, że nie będę miał pani nic do powiedzenia ponad to, co mógłby pani powiedzieć lub też pani nasz Silvers, o ile by zechciał.

- Dwie godziny - potwierdził Silvers znów w lepszym nastroju.

- Podwożę was do ogrodu zoologicznego, moim bentleyem. Stoi przed drzwiami.

- Ma pan bentleya? - zapytał z zainteresowaniem Faust.

- To jest nasz firmowy samochód. I to nie jedyny. - Silvers udał zaprzątniętego myślami. - Odstawię was więc i poczekam. Możecie podziwiać kairskie flamingi. Ale nie opowiadajcie głupstw - a już na pewno nie na temat moich interesów.

Dwie godziny potem Silvers z Nancy Nelson i Faustem przyjechał z powrotem do hotelu. Zaparkował przy bocznym wejściu w małej uliczce. Otworzył drzwi samochodu. Faust wysiadł i z prostolinijną rycerskością podał swoją dłoń Nancy.

Natomiast ona powiedziała do Silversa: - Twój Faust potrafi zupełnie jak i ty, jeżeli chce, pleść godzinami o niczym. Dobrana z was parka dziwaków, kochany.

- To jest twoja opinia Nancy - zauważył zadowolony Silvers. - Być może jednak zrobisz z nas takich - jeżeli nie przestaniesz bez zastanowienia mieszać się w nasze sprawy.

Nancy Nelson roześmiała się i podskakując wbiegła na schody, by udać się do swojego pokoju. Przesłała im jednak obydwu po serdecznym i obiecującym uśmiešku. Silvers patrzył za nią wykrzywając twarz. Faust udawał obojętność.

- Zaimponowała panu ta ciekawska kobietka?

- W pewnym sensie tak.

- W pełni to rozumiem - przyznał Sid.

- Ale wiem też, że to pana rewir, Silvers - tym bardziej, że mam wiele innych problemów na głowie.

Usiedli w hallu hotelu „Semiramis” przy ulubionym stoliku, który kelner dla nich rezerwował. Natychmiast podana została jak zwykle whisky z lodem - małe góry lodowe

obmywane złoto-brązowym płynem. Rozparli się wygodnie i wyciągnęli nogi przed siebie.

- Jak obecnie wyglądają pańskie problemy? - zapytał Sid.

- W gruncie rzeczy cały czas tak samo - powiedział Faust. - Pan przecież wie, że chcę stąd uciec. A przynajmniej do momentu naszej umowy niczego bardziej nie pragnąłem. I teraz mógłbym znowu, gdybym tylko zechciał.

- A chce pan?

- Pokusa jest wielka, Silvers. Ktoś wciska mi wręcz na siłę bardzo zachęcające propozycje.

- A kto to robi? Nasz Muhammed?

Faust skinął głową, jakby z uznaniem. Pił swoją whisky powoli smakując. - Dostałbym neutralny paszport, bilet; zaliczka na koszty podróży wypłacona byłaby z gestem - pozostaje mi się jedynie wycofać.

- A jak?

- To proste - Faust uśmiechał się zwycięsko. - Na przykład mógłbym teraz powiedzieć, że idę do ubikacji. Mógłby pan nawet iść ze mną lub prosić o obstawę Petera. Ubikacja męska posiada wiele wywietrzników - a o ulicę dalej czeka na mnie samochód. Ale to jeszcze nie wszystko. Mógłbym zwać każdej nasłanej na mnie obstawie nawet, gdyby bardzo dobrze mnie pilnowała. Wbiegłbym po prostu w jedną z bocznych ulic, wpadł w bramę któregoś z domów i stamtąd po dachu do czekającego samochodu. Ale to byłoby bez sensu.

- Bez sensu, Faust? Dlaczego?

- Mógłbym teraz oświadczyć, że dla mnie umowa to umowa. Mógłbym też powiedzieć, Silvers, że jest pan dla mnie ważny i bardzo pana lubię.

- I pewnie także, że Nancy bardzo pana pociąga i nie chce pan tak szybko tego stracić.

- Rzeczywiście, Silvers, to również mógłbym powiedzieć. Ale nie mówię tego. Również dlatego, że jestem przekonany, iż pan sobie dokładnie zdaje sprawę z tego, o co tutaj chodzi. Ewentualnie, o co miało chodzić?

- Tak? A skąd to wiem?

- Od Alego, syna Muhammeda, podejrzewam. Bo ten chłopiec jest całkowicie panu oddany. Nietrudno to dostrzec. Poinformował pana, by zrobić panu grzeczność. Ale prawdopodobne jest również, że pan go zręcznie wypytał.

- Więc pan wiedział, że ja wiem - dlatego był pan tak uczynny. Nie więcej niż wyrachowana ocena sytuacji. Człowieku, niezłego gagatka ściągnąłem sobie na głowę.

Silvers roześmiał się. Wypił do dna swoją whisky i polecił najbliższemu niemo

oczekującemu arabskiemu kelnerowi przynieść następną. - Trzeba wziąć pod uwagę jeszcze jedną możliwość, że chciałem się zaprezentować jako skuteczny łowca notorycznych uciekinierów, Faust.

- Jeżeli sprawi to panu przyjemność, to jestem do dyspozycji.

Lecz Sid Silvers machnął ręką. - Wie pan, co podejrzewam? Co muszę podejrzewać? Nie tylko pana chciano zwieść, ale mnie również gładko zrobić.

- Muhammed?

- No jasne! - Sid Silvers uderzył dłonią w stolik. - Co prawda to syn Muhammeda szeptał mi do ucha o szczegółach prawdopodobnej pańskiej ucieczki, w tajemnicy oczywiście, ale równie dobrze mógł mu to zlecić jego ojciec.

Faust przytaknął. - Można się tego najzupełniej spodziewać po naszym przyjacielu. Robi mi dość drażliwą, ale równocześnie kuszącą propozycję i w tym samym czasie, za plecami, każe pana o tym poinformować. Muhammed obeznany jest z regułami tego parszywego świata, ale nie poznał się zbyt dobrze na nas.

- Świetny z niego intrygant, co? - Silvers uśmiechał się prawie z uznaniem. - Najpierw podpuszcza pana, potem napuszcza mnie na pana, żebym w stosownym czasie pana złapał. Po czymś takim - tak sobie to pewnie zaplanował - czułbym się dotknięty i szukałbym okazji, żeby się pana pozbyć.

- Nie zrobimy mu tej przyjemności, co?

Silvers podniósł swoją szklankę: - Rozumie się Henry.

- I pewnie tylko dlatego jeszcze żyję, Sid, jako tako.

\*\*\*

- Panowie! - powiedział pułkownik Nelson szczególnie oficjalnie. - Mam przed sobą liczne i poważne zarzuty przeciwko jednemu z członków tego obozu. Nazywa się Faust.

- Zarzuty - powiedział dosadnie kapitan Müller-Wipper - nad którymi bardzo ubolewamy, ale które musimy uznać za bardzo poważne.

- Lecz w żaden sposób nie udowodnione, sir! - zawołał jak było umówione, kapitan Moone.

Pułkownik zdecydowanie przytaknął. - Zebraliśmy się tu po to, by to wyjaśnić.

To tak zwane urzędowe śledztwo - jak w procesie sądowym - odbyło się w byłym baraku przesłuchań, znajdującym się obok obecnego boiska do piłki nożnej. Niemiecka komendantura bardzo przy tym obstawała i znalazła również mocne poparcie w osobie majora Turnera.

- Trzeba to w końcu wyjaśnić! - zawołał tenże.

- Zgodnie z obowiązującymi tutaj wytycznymi i ustaleniami - potwierdził pułkownik Nelson.

W tej sprawie, jak zresztą w każdej był pewny swego. Tym bardziej, że miał potwierdzenie od Silversa. Jego uśmiech pełen wesołego oczekiwania wpływał na pułkownika kojąco - mrugali do siebie niezauważalnie.

Pułkownik Nelson zajął miejsce pośrodku długiego stołu. Obok niego, po lewej stronie, siedział pułkownik von Schwerin, poproszony jako specjalista na to śledztwo. Całkiem z prawej siedział major T.S. Turner, a za nim również dwóch „specjalistów” - Müller i Rossberg. Reprezentowali niejako stronę oskarżającą. Na obrońcę zaproponowano kapitana Moone’a, londyńskiego adwokata, siedział po lewej stronie. W jego bliskości znajdował się Sid Silvers.

- Zaczynamy zatem - powiedział pułkownik Nelson. - I proszę zważać na to, by została zachowana absolutna bezstronność. Życzę sobie decyzji bez zarzutu.

Pojawił się Faust. Postąpił przez chwilę wyczekująco przy drzwiach. Zbliżył się jednak na znak pułkownika Nelsona. Ten przyglądał się jemu dłuższą chwilę.

Po czym pułkownik ku zdumieniu zebranych powiedział swobodnie, podnosząc prawą rękę : Heil Hitler, towarzyszu Faust!

- Heil Hitler, sir - odparł ten uprzejmym tonem.

- A gdybym teraz powiedział: God save the King - to jak by pan zareagował, mister Faust?

- Też bym tak powiedział, sir. Jeżeli sprawiłoby to panu przyjemność.

Pułkownik Nelson roześmiał się. Zdawał się nieźle bawić i śmiał się dalej. Nagle zamilkł, by zapytać: - Jest pan nazistą?

- Nie.

- Czy był pan kiedykolwiek nazistą?

- Tego do końca nie wiem - powiedział Faust. - A czy pan, sir, nim jest?

- Za daleko pan się posuwa! - szczechnął major Turner.

- Niech pan go zostawi w spokoju, majorze - powiedział pułkownik bezstronnie a jednocześnie zobowiązująco. - Nas Brytyjczyków oskarża się w tym kontekście często i chętnie o kilka potworności. Jak na przykład wydarzenia w Indiach w tamtym wieku. Lub też o stworzenie czterdzieści lat temu pierwszych obozów koncentracyjnych dla Burów. Niech pan pozwoli mi mówić. Czy do tego pan zmierza, mister Faust?

- Jak mam wiedzieć, do czego tu zmierzać, jeśli nie wiem, czego pan ode mnie chce! -

oświadczył zapytany.

- Mamy jednoznaczne zeznania świadków - zawołał kapitan Müller-Wipper. - Niepodważalne zeznania. Skierowane jednoznacznie przeciwko Faustowi.

- Ale istnieją również przeciwne zeznania - stwierdził pułkownik Nelson. - Spróbujmy stworzyć pełen obraz tej sprawy.

Kazał wejść świadkowi oskarżenia przedstawionemu przez niemiecką komendanturę obozu. Potem świadkowie obrony; tego zorganizował feldfebel Schulz. Pułkownik wysłuchał obu z równą cierpliwością.

- Nie przekonują mnie te argumenty - powiedział potem składając dłonie. - Mam wrażenie, że zeznania znoszą się nawzajem.

- Czyli jeden do jednego - zauważył kapral Copland, który nawet tutaj czuł się piłkarskim prezesem. Stał obok McKellara w pobliżu drzwi. - Tym samym remis!

- To jest sprawa sądowa, a nie mecz towarzyski - powiedział T.S. Turner. - Tu chodzi o twarde fakty. O notorycznego uciekiniera, który ma być na dodatek faszystą - co się akurat dobrze składa, w naszej sytuacji.

- Sir! - zauważył kapitan Müller-Wipper - jesteśmy zdecydowani pozbyć się podejrzanego elementu. Dystansujemy się od niego w sposób zdecydowany.

- Dobrze, dobrze! - powiedział pułkownik Nelson. - A jak to jest z panem, jeniec Faust - czy czuje się pan dotknięty takimi stwierdzeniami?

- W pewnym sensie tak, sir.

- Czy to prawda, że wykrzykiwał pan okazjonalnie: Heil Hitler?

- Okazjonalnie, czyli na przykład w ubikacji, sir?

- No tak, myślę, że jest to dość odpowiednie miejsce! - stwierdził pułkownik Nelson uśmiechając się do pułkownika von Schwerina. Ten uśmiechnął się również i kiwnął głową.

- Ten Faust to wyrafinowany i otrząskany prowokator. Materiał dowodowy jest do dyspozycji! - tym razem wykrzyknął kapitan Müller-Wipper.

- Nie zaginie, wciągniemy go do akt. Czy jeszcze coś? - spytał pułkownik Nelson.

- Ponadto - wyrzucił z siebie ostro i wyraźnie prowokująco - jest raczej pewne, że Faust zajmuje się nielegalnym handlem. I to na wielką skalę, w samym Kairze. Razem z sierżantem Silversem.

- Ależ to absurd! - odparł z przekonaniem pułkownik Nelson. - Silvers by nigdy czegoś takiego nie zrobił. Ma moje całkowite zaufanie.

Teraz włączył się kapitan Moone. - Tak jednoznaczne oświadczenie pułkownika Nelsona nie powinno być już chyba podważane?

- W żadnym wypadku! - oznajmił wkraczając do akcji pułkownik von Schwerin. Powiedział to tonem zarówno energicznym, jak i zmartwionym. - Proszę mi pozwolić o tym zapewnić. Chciałbym jednak zauważyć, że dokumenty zebrane na temat Fausta przez sprawdzonych oficerów z mojego otoczenia, są jak najbardziej godne uwagi.

- Czy wolno mi w tej sprawie coś dodać, sir? - upewnił się od drzwi starszy sierżant Ken McKellar, który stał do tej pory głucho milcząc.

- Proszę mówić! - polecił pułkownik Nelson.

- O ile jestem dobrze poinformowany - oświadczył poważnie McKellar - to zarzuty przeciwko Faustowi są nikczemne, wstrętne. Okropne. Proszę mi wierzyć, sir...

- Dalej!

- Na krótko przed końcem wojny Faust stracił rodziców. Zostali zadenuncjowani, postawieni przed sądem specjalnym i straceni. Z powodu zdrady stanu, uchylania się od służby wojskowej i tak dalej.

- Czy to prawda, Faust?

- Nie żyją - odparł wymijająco.

- Ale dlaczego! - wykrzyknął kapitan Müller-Wipper zrywając się na nogi. - Według naszych danych prawda jest taka, że rodzice Fausta nie byli prawdziwymi bojownikami ruchu oporu, lecz prowokatorami bez skrupułów.

- Biedne Niemcy - powiedział cicho pułkownik Nelson. Ale słyszalnie. A niemiecki pułkownik siedzący obok niego spuścił nisko głowę.

Sierżant McKellar oświadczył: - U nas w Szkocji zwykło się w takich wypadkach mówić: gównu nie ma pojęcia, że śmierdzi.

- Ale nie jesteśmy w Szkocji - pułkownik patrzył na starszego sierżanta z zadowoleniem. Potem przyjrzał się Müller-Wipperowi i zapytał: - Czy nie uważa pan swoich stwierdzeń za zbyt ryzykowne?

- Nie - odparł ten sztywno. Wciągnął głęboko powietrze i oświadczył: - To jeszcze nie wszystko, sir. Jest mi niezmiernie przykro, że muszę to powiedzieć, ale Faust był zatrudniony w Peenemünde w bazie wyrzutni rakietowych przeciwko Anglii.

- To pasuje do moich wyobrażeń o tym gnoju - wykrzyknął major T.S. Turner.

- Powiedział pan Peenemünde? - zapytał pułkownik odchylając się na oparcie krzesła i spoglądając na Sida Silversa.

Ten z kolei pochylił się nad kapitanem Moone'em. W kilka sekund potem kapitan powiedział: - To jest zupełnie nowy argument. Nie znajduje się w przedstawionych nam aktach, proszę zatem o przełożenie śledztwa na inny termin, aby można to było sprawdzić.

- Wyrażam zgodę na odroczenie! - zdecydował Nelson po przytakującym kiwnięciu Silversa. - Odroczenie będzie trwało godzinę.

- Teraz go mamy! - zawołał T.S. Turner i klepnął Müller-Wipperera w jego szerokie plecy.

On także wiedział, co dla Brytyjczyków wciąż jeszcze oznaczało Peenemünde - sprawę najwyższej wagi. Ludzie tam zatrudnieni musieli być natychmiast odstawieni do obozu specjalnego w pobliżu Londynu. Tym razem pozbędą się Fausta na zawsze.

Po godzinie wszedł świadek oskarżenia - Krauser Hermann - przeszkolony przez majora Rossberga tak dobrze, jak to było możliwe. I oświadczył prawie uroczyście: - Widziałem Fausta. W środku obozu. Jak pracował przy rakiecie.

Kapitan Moone, wspierany przez Silversa, przedstawił po prostu świadka obrony - feldfebla Schulza. I ten zapewnił: - Faust i ja byliśmy już od lat - od tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego do tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego - w tej samej jednostce. Lecz nigdy w Peenemünde.

- Wszystkie akta dotyczące tej sprawy zostały dokładnie przestudiowane - zapewnił kapitan Moone. - Właściwie nic nie można z nich wywnioskować. Wiadoma jest natomiast kariera feldfebla Schulza. Jeżeli Schulz zapewnia, że był razem z Faustem, to nie mogło to być Peenemünde.

- Co mogę przysiąc! - zapewnił feldfebel Schulz.

Tym samym wszystko się rozstrzygnęło. Pułkownik Nelson wypowiedział ostatnie słowo: oszczerca Krauser został odesłany do Anglii, bo posiadał prawdopodobnie jakieś informacje na temat Peenemünde. Faust został uniewinniony. Reszcie uczestników tego śledztwa wolno się było oddalić.

- Sir - powiedział z uznaniem Sid Silvers - tym razem przeszedł pan samego siebie.

\*\*\*

- Powinniśmy się bliżej poznać, Henry - powiedziała Nancy z ożywieniem. - Nalegam na to.

- Nie spodoba się to naszemu przyjacielowi, Silversowi. Chyba pani nie chce nas napuszczać na siebie, miss Nancy? - zastanawiał się Faust.

- Coś w tym rodzaju, Henry.

- I myśli pani, że na to pójdę?

- Henry, a czy ma pan inne wyjście?

Sprowadziła go do siebie, do hotelu „Semiramis”, przez posłańca, z apartamentu

Sitah. Adres też już znała. Przekazana Faustowi wiadomość brzmiała, że jest wzywany natychmiast przez Silversę.

A teraz Faust pił herbatę w hallu hotelowym. Nancy zamówiła dla siebie gin z lodem i cytryną. Peter O'Casey, którego nie udało się jej ominąć, siedział przy stoliku stojącym trochę z boku i popijał irlandzkie piwo eksportowe. To wszystko na rachunek dobrze prosperującego przedsiębiorstwa „Holiday Service”.

- To, na co pani sobie tak lekkomyślnie pozwala, miss Nancy - powiedział ostrzegawczo Faust - może istotnie poważnie zakłócić interesy Sida Silversę. A w tym względzie nie ma z Silversem żartów.

- Ale panu to się podoba, prawda?

- Oczywiście cieszę się, gdy mogę panią widzieć - zapewnił Faust. - Jest pani nieprawdopodobnie atrakcyjna - przecież pani o tym wie.

- Proszę się bliżej przysunąć, Henry.

- Pani mnie przypuszczalnie przecenia - w zaistniałej sytuacji. W innych warunkach nie siedziałbym tak długo z założonymi rękami.

- Może pan i to osiągnąć. Musi pan tylko przyjść do mnie do pokoju - serdecznie pana zapraszam.

- Co chce pani tym udowodnić? Nie mnie, nie sobie, pewnie Silversowi?

Nancy Nelson popatrzyła na Fausta z podziwem. Wypiła trochę ginu, uśmiechnęła się przeciągle i powiedziała po chwili: - Chcę mu udzielić pewnej lekcji.

- Dlaczego, Nancy?

- Jest taki pewny siebie. Uważa, że z ludźmi, z którymi ma do czynienia, może robić nie tylko, co mu się żywnie podoba, ale i kiedy ma na to ochotę. Ze mną także. Chcę wreszcie coś z tym zrobić. Z pańską pomocą, Henry?

- Bardzo mi przykro. Nie dam się wykorzystać przeciwko Silversowi - Faust oświadczył to ze stanowczością. - Przez nikogo!

Nancy Nelson roześmiała się. - Boi się go pan?

- Mam wobec niego zobowiązania, w wielu sprawach - powiedział Faust.

- A wobec mnie żadnych?

- Najmniejszych, Nancy. I mam jedynie nadzieję, że nie zrobi pani tego błędu i go nie zlekceważy. Zaoszczędzi sobie pani w ten sposób masę kłopotów, nam też.

- Zapomina pan przy tym jednak, że wiele wiem o panu - powiedziała Nancy. - Mogę pana zmusić do wyświadczenia mi tej lub owej grzeczności.

- Koniecznie tego pani chce?

- Dlaczego nie? - oświadczyła i wypłała do dna swój gin. Nie patrząc na niego powiedziała: - Pan jest Niemcem.

- To o niczym nie świadczy! - Faust usiłował zachować swobodę.

- Jest pan jeńcem wojennym.

- Niech pani zapyta Silversa, co on na ten temat sądzi.

- Jest pan jeńcem wojennym w obozie, którego komendantem jest mój ojciec.

- Chce go pani na mój temat uświadomić? - Faust popatrzył na nią badawczo i z zatroskaniem. - Jeżeli chce się pani na zawsze pozbyć Silversa, niech pani spróbuje.

- Silvers! Nic tylko Silvers! - wykrzyknęła Nancy Nelson. - Nie mogę już słuchać tego nazwiska. Brzmi jak nazwa firmy, w której ja też pracuję. I pan oczywiście również. Dlaczego nie sprzeciwimy się temu wreszcie? My obydwój. Wspólnie.

- No dobrze, Nancy - powiedział Faust i podniósł się. - Chodźmy więc do pani pokoju.

- Świetnie! - Nancy podniosła się również. - A jeżeli nie wytrąci go to z równowagi, co wtedy?

Peter O'Casey również ciężko powstał. Zdążył jednak jeszcze dopić swoje piwo. - Dokąd? - zapytał.

- Do mnie do pokoju - wyjaśniła mu Nancy. - Masz coś przeciwko temu?

- To nie było planowane - odparł ciężko.

- Ale nie do uniknięcia, Peter! - oświadczył Faust. I szeptem dodał: - Zawiadom Silversa. Ma się tu jak najszybciej pojawić, zanim będzie za późno.

\*\*\*

- Koniecznie potrzebuję Fausta, przynajmniej na przyszłą sobotę - zażądał McKellar. Silvers skinął głową. - Możesz go mieć nawet na zawsze, jeżeli o mnie chodzi.

- Wystarczy mi sobotnie popołudnie - zapewnił starszy sierżant. - Bo wtedy będzie się odbywać wielki mecz o mistrzostwo. I mój zespół musi wkroczyć do akcji. Nie mogę więc zrezygnować z Fausta, mojego pierwszego pipera.

- Nie musisz, Ken.

McKellar, Faust i Silvers siedzieli w składziku dla rolls-royca sierżanta - najspokojniejszym miejscu w obozie. Pili i milczeli. Potem pojawił się kapral Copland. I wyglądał szalenie energicznie.

Copland oświadczył: - Tym razem nam się uda!

- Kto to jest my? - spytał obojętnie SiWers. - I co ma się wam udać?

- Chodzi o zwycięstwo.

- Człowieku, jakie zwycięsko?

- Zwycięstwo naszej drużyny reprezentacyjnej - kapral Copland był zdziwiony. - Major Turner może nam prezentować, co mu się żywnie podoba - tym razem jego drużyna trafi na skałę.

- Pułkownik osobiście zarządził coś w rodzaju festynu - relacjonował McKellar. - Mój zespół też będzie grał. Dlatego potrzebuję naszego Fausta - mam nadzieję, że nie po raz ostatni.

- Człowieku, dlaczego ostatni raz?

- Bo zarządzono nowe, ostrzejsze śledztwo w jego sprawie! - wyjaśnił Ken McKellar.

- Z nowo zebranych materiałem i nowymi ważnymi świadkami.

- Zawsze jakieś psy szczekają, ale karawana jak wiadomo idzie dalej - powiedział Faust.

- Życzymy panu jak najlepiej - zapewnił kapral Copland.

- Ale z takimi ludźmi, jak Müller i Rossberg, trzeba się mieć na baczności.

- Zgadza się - odparł starszy sierżant - chcą na przykład i to za pozwoleniem pułkownika zorganizować konkurencyjną orkiestrę. Ze skrzypcami i akordeonem. Co ciężko obraża moją wrażliwość artystyczną.

- Nie jest to szczególnie sportowe - zauważył kapral Copland.

- Idźcie wszyscy do diabła - wykrzyknął nagle Sid Silvers. - Nie mogę już znieść widoku waszych prostackich twarzy! Wynoście się!

- Chętnie - powiedział z godnością McKellar. - Ale chyba pozwolisz, że wezmę ze sobą butelkę whisky?

- Ja też mógłbym dostać? - zapytał uprzejmie kapral. - Po jednej butelce dla każdej z moich drużyn? Dodałoby to ognia moim facetom.

Silvers zgodził się na sześć butelek: trzy dla Coplanda, dwie dla McKellara; szósta była dla Mary Timemaker „zamiast kwiatów”.

- Przy najbliższej okazji zainkasuję za to, koledzy. A teraz zmywajcie się jak najszybciej, moje biedactwa!

McKellar i Copland oddalili się z uśmiechem. Faust chciał również wyjść z nimi. Lecz Sid go powstrzymał. - Pan zostanie! Nie skończyliśmy jeszcze.

- Nigdy ze sobą prawdopodobnie nie skończymy, Silvers.

Siedzieli teraz, jakby zgodni, obok siebie. Ale unikali swego wzroku. Milczeli dłuższy czas.

Potem Sid powiedział bardzo spokojnie: - Tak dłużej nie może być, Faust.

A ten odpowiedział nie mniej spokojnie: - Czyżby obawiał się pan o Nancy?

- Jeszcze nie.

- I nie musi pan, Silvers. Nawet jeżeli zostałem poniekąd zawleczony do jej hotelowego pokoju nie zdarzyło się nic, co mogłoby być powodem do niepokoju.

Sid Silvers machnął ręką. - Wiem swoje! Nancy, ta milutka łajdaczka usiłowała nas na siebie napuścić!

- Dokładnie! - potwierdził Faust z ulgą. - Ale przeliczyła się, przynajmniej jeśli o mnie chodzi.

- Nawet pan jest ostatecznie mężczyzną! A Nancy jest niczym więcej niż kobietą! To są fakty! Jedne z wielu.

- Przypuszczalnie więc moja przyszłość będzie wyglądała następująco: będę udawał u McKellara pierwszego pipera i będę nadal użerał się z tymi nazistami. Aż mnie wreszcie wykończą.

- Mógłby pan jeszcze wylądować w obozie specjalnym dla niepoprawnych faszystów. Daleko w Sudanie, gdzie smażyłby się pan jak prosię na rożnie. Albo usunie się pana gdzie indziej. Jest wiele możliwości.

- Piękne perspektywy, niezależnie od wariantu, co? - Faust popatrzył Silversowi prosto w oczy. - Dla pana jest najważniejsze, żebym usunął się z otoczenia Nancy - w możliwie niedostępne rejony.

- Niech pan z łaski swojej zachowa te idiotyzmy dla siebie! - wykrzyknął Silvers. - Chcę robić swoje interesy, a pan jest dla mnie najlepszym partnerem. Ale nie mogę sobie na to pozwolić na dłuższą metę.

- Czyli muszę spłynąć. Ale jak? I dokąd? Do Niemiec?

- A dlaczego by nie? Nie musi pan tak pożądliwie patrzeć. Silvers był rozbawiony. - Jeżeli o mnie chodzi może pan dostać upragniony prezencik.

- Dziękuję, Sid! - powiedział Faust.

- Niech pan nie dziękuje; nie ma najmniejszego powodu. Bo tam - w pańskich Niemczech - szybko będzie panu tęskno za warunkami w Kairze, a może nawet tutaj, w tym obozie. Ale to już pańskie zmartwienie.

- Mimo to, Silvers - serdeczne dzięki! A jaka jest cena? Ostatecznie nie ma pan zwyczaju robić prezentów!

- Właśnie! Zamknij pan do tego czasu najważniejsze umowy z Muhammedem.

- Załatwione. A co pan myśli o małej odprawie?

- Dostanie pan swój udział, jak umówione!

- Pięknie, Silvers! Ale nie to mam na myśli. Chodzi mi o spełnienie mojego najskrytszego marzenia. Chciałbym się z niektórymi tutaj szczególnie dokładnie pożegnać.

- Do czego pan zmierza? Ale jasno. Kogo chce pan tu jeszcze zrobić, zanim pan stąd zniknie?

- Rossberga i Müllera. Ulżyłoby mi na duszy.

- A jak pan to sobie wyobraża?

- Myślę, że będziemy mieli wiele pomysłów. My i nasi przyjaciele.

- Człowieku, Faust! Czy to konieczne? Zbyt drogo mnie pan kosztuje. Już dobrze, dobrze - nawet i ten drażliwy interes może uważać pan za załatwiony. Musimy jednak wspólnie nad tym, i to dobrze pomyśleć.

\*\*\*

Wielki piłkarski festyn w obozie, w tym najlepszym ze wszystkich brytyjskich obozów, zaczął się wielce obiecująco. W sobotę w południe. Albowiem starszy sierżant kazał rozdzielić dodatkowe racje żywnościowe.

Ten posiłek składał się nie tylko z pieczeni baraniej z dużą ilością sosu i ziemniaków - w sumie sześćset gramów na osobę - ale i puddingu w porcjach po sto pięćdziesiąt do dwustu gramów. Na kolację natomiast zapowiadano konserwę wołową po jednej porcji dla każdego, a podwójnej w razie zwycięstwa drużyny obozowej. Zadał o to kapral Copland.

Kilku rozentuzjasmowanych jeńców wydało z siebie spontanicznie głośne „hurra” - czym posunęli się jednak zdecydowanie za daleko. Podporucznik Langohr, obecny stróż porządku w niemieckiej części obozu, wyskoczył na nich od razu. zresztą z wyraźnego polecenia kapitana Müllera.

- Zachować właściwą postawę, koledzy! - krzyknął do nich. - Cokolwiek Brytyjczycy robią, robią z wyrachowania!

Ale nawet on nie potrafił popsuć dobrego nastroju. Ci ludzie nigdy właściwie nie musieli głodować w tym obozie, ale również nigdy nie najedli się do syta. Nic więc dziwnego, że taka ilość kalorii wpychana im do żołądków wywołała tak nieoczekiwaną i przyjemną festynową radość. - Długo będziemy wspominać ten dzień - powiedział jeden z najedzonych jeńców. I miał absolutną rację.

O czternastej trzydzieści - mecz między niemiecką a brytyjską reprezentacją zapowiadany był na piętnastą - rozpoczęło się uroczyste i radosne wprowadzenie: znacznie powiększony zespół „Scotish-Bavarian-Highlanders” uformował się przy wewnętrznej bramie. Stąd ruszyli i krocząc obozową drogą piszczei i bębnil. Zagrali najpierw: *My Home*.

Feldfelbel Schulz siedł na przedzie z szeroką szarfą ze szkockiej chusty machając czymś w rodzaju ogromnej pałki. Nikt nie odważył się na ten widok śmiać, bo obok Schulza dumny i przejęty kroczył potężny starszy sierżant. Szli najpierw w kierunku strefy C.

- Zwrot! - krzyknął McKellar do swojego zespołu. - Za mną! - rozkazał ludziom ze strefy C.

Wszystko, nawet i to, było dokładnie zorganizowane. Starszy sierżant odbierał przy wtórze muzyki uczestników piłkarskiego festynu - z każdej strefy po dwustu ludzi. Wyraźnie zezwolono na zabranie haseł, proporczyków i transparentów z jednym zastrzeżeniem: zabronione były jakiegokolwiek symbole nazistowskie. Prowadziłyby to do wykluczenia nie tylko publiczności, ale i piłkarzy z danej strefy. A tego przecież nikt nie chciał.

- Następny utwór: *The Rhodesian Regiment* - zakrzyknął McKellar do swojego zespołu. W takt tych radosnych dźwięków korowód rozentuzjanzmowanych uczestników festynu przemierzał po chwili obóz. Nieśli ze sobą przedmioty, na których można było usiąść i kilka zwiniętych jeszcze transparentów.

- Wygląda to na połów szcurów! - zauważył kapitan Müller-Wipper.

- Najważniejsze, że nasi ludzie wygrają - zapewnił major Rossberg. - Kapral Copland o to zadba, mam nadzieję. Chyba stać go na to! Ostatecznie jemu zawdzięczamy to piłkarskie szaleństwo.

A ponieważ - za radą Silversa - obiecał się stawić nawet pułkownik Nelson, również pułkownik von Schwerin nie zwlekał z przyjściem na imprezę.

Panowie komendanci spotkali się, jak było umówione, przy wewnętrznej bramie. Pułkownik von Schwerin czekał w stosownej odległości na pojawienie się pułkownika Nelsona. Wyglądało to tak, jakby wyszli sobie naprzeciw zupełnie przypadkowo.

Stanęli naprzeciwko siebie dokładnie w odległości trzech metrów. Pozdrowili się w sposób wojskowy, ruchami w pełni zgodnymi z ceremonią powitalną - niezbyt energicznie, raczej dość swobodnie. Ostatecznie przyglądało im się mnóstwo ludzi. Z ciekawością! Co jednak nie powstrzymało tak Nelsona, jak i Schwerina od dyskretnego i dość niesłużbowego uśmiechu.

- Cieszę się - powiedział pułkownik Nelson.

- Wzajemnie - odparł pułkownik von Schwerin.

- Tym bardziej, że kazałem dla pana przygotować małą niespodziankę.

- Jestem ogromnie ciekaw!

Udali się obaj - jeden obok drugiego na gęsto, szeroko i wysoko ogrodzony „stadion”, zachowując jednak stosowną odległość. Ale tutaj nie zajęli przygotowanych dla nich miejsc,

lecz obeszli ludzi, którzy usadzali się wygodnie wokół boiska, i skierowali się w lewy róg. Tutaj zatrzymali się.

A Nelson zapytał zataczając szeroko ręką: - No i mój kochany, co pan na to powie?

- Wspaniale! - powiedział pułkownik von Schwerin wielce uradowany. - Rzeczywiście wspaniale!

- Niezwykle dokładna rekonstrukcja!

To, co roztaczało się przed ich oczami, było ogromnym, pieczołowicie skonstruowanym modelem wielkości pięciu metrów kwadratowych - i przedstawiało: bitwę pod El Alamein! A cóżby innego! I była to nie tylko budząca respekt świetna, fachowa robota, lecz właściwie dzieło artystyczne.

Widzieli dokładnie: ciemnoniebieskie Morze Śródziemne, dalej za nim jasnożółta pustynia, a potem szarobiały łańcuch górski. A między tym wszystkim: małe, wielkości biedronki atrapy czołgów, stłoczone jak guziki pozycje strzeleckie i niczym wielkie mrowisko - miniaturowe figurki, zapalki i proporczyki papierowe, którymi oznaczone były grupy bojowe, poszczególne jednostki i dywizje.

Pułkownik Henning von Schwerin-Sommershausen nie chciał już dłużej skrywać swojego zachwyty.

- Niezwykle! - wykrzyknął. - Jest to najpiękniejszy moment w moim życiu od lat - powiedzmy od dnia, w którym mogłem pogratulować Rommlowi z okazji zwycięstwa pod Tobrukiem.

- Chciałbym - powiedział w zamyśleniu pułkownik Nelson - byśmy mogli się tym wszystkim cieszyć w spokoju.

- A kto mógłby nam w tym przeszkodzić?

- Niektórzy z pańskich oficerów, obawiam się, panie pułkowniku. W pańskim otoczeniu: wymienię tylko dwa nazwiska: Rossberg i Müller. Zdają się zakłócać każdy dobry i zdrowy rozwój wypadków w obozie.

- Uważają to prawdopodobnie za uzasadnione i dla jeńców wojennych normalne postępowanie.

- I z tym właśnie nie mogę się na dłuższą metę pogodzić, panie pułkowniku! W interesie nas wszystkich! Mam wielką nadzieję, że wykaże pan zrozumienie w tej sprawie.

\*\*\*

- Chłopczy, posłuchajcie! - zawołał kapral Copland do otaczającej go półkolem reprezentacyjnej jedenastki. - Za kilka minut wejdziemy na stadion - i zwyciężymy. Jasne?

- Jasne! - zapewnił porucznik Hartmannsweiler, który nie spoczął, dopóki nie został środkowym napastnikiem i kapitanem drużyny. - Zwycięzimy, jeżeli sytuacja będzie choć trochę normalna. Jeżeli jednak Brytyjczycy znów wyskoczą ze innymi profesjonalistami...

- To będziemy walczyć, ludzie! Sportowcy! Będziemy wtedy walczyć jak lwy! A jeżeli nie, to zagwizdę wam jak burza piaskowa, dam umrzeć z głodu. Zrozumiano? Ale do tego nie wolno dopuścić i do tego nie dopuścimy, w każdym razie nie dzisiaj. I powiem wam w zaufaniu, że major Turner będzie miał tym razem kłopoty. A tego mu właśnie życzę!

\*\*\*

- Posłuchajcie mnie, chłopcy! - zawołał w tym samym czasie major T.S. Turner, po drugiej stronie stadionu, do swojej również półkolem go otaczającej reprezentacyjnej jedenastki.

- Musicie dać im radę! Jesteśmy to winni Wielkiej Brytanii! Jeżeli nie całemu imperium!

Był pełen ufności i czuł się do tego uprawniony. Wystawił znowu swoich czterech zdolnych piłkarzy. Było też trzech profesjonalistów wypożyczonych z sąsiednich jednostek i za radą Silvera doszło czterech dalszych, z oddziału czołgów ubezpieczających.

Były to czołgi, o które prosił przed kilkoma dniami T.S. Turner. Stały cały czas w brytyjskiej części obozu. Reszta załogi stała teraz, gapiąc się radośnie, przy płocie stadionu. I na polecenie Silvera zaopatrywana była przez O'Caseya w gęste, ciężkie irlandzkie piwo. Przyszła nawet gotowa odwracać innym uwagę Mary Timemaker.

- Wygramy, ludzie! - oznajmił major Turner na koniec swojej drużynie. - A dlaczego wygramy? Bo jest to cholernie oczywiste. Ostatecznie naszymi przeciwnikami są Niemcy! To mówi samo za siebie!

Na środku boiska zgrupował się zespół McKellara: „*Scotish-Bavarian-Highlanders*” zagrali po *The Rhodesian Regiment*, *Jock Wilsons Bali*, a potem *The Kilt is My Delight*. Wszystko to grali dość natarczywie, z rozmachem i piekielnie głośno. Aplauz zebranych jeńców był ogromny i utrzymywał się długo.

Ken McKellar patrzył z wdzięcznością na Fausta, swojego pierwszego pipera. Nigdy dotychczas nie dał tak porywająco pięknie, w cudownie wznoszących i opadających tonacjach, łkając jak uszczęśliwiony. Będzie mu go brakowało jak żadnego innego człowieka.

- A teraz, moi kochani, jeszcze raz *My Home* - wykrzyknął Ken, życząc sobie swojej ukochanej melodii.

Zabrzmiała *My Home* - unosząc się, rozrastając do pełnej radości i cichnąc,

zamierając w smutku. Ken McKellar miał łzy w oczach, gdy po raz kolejny kiwnął głową do Fausta. Potem odwrócił się prawie szorstko. I odszedł.

Tymczasem pułkownik Nelson zajął swoje miejsce. Siedział na przygotowanym dla niego krześle z wysokim oparciem; po szerszej stronie stadionu, słońce grzało go w plecy. Bezpośrednio obok niego, lecz kilka centymetrów cofnięte, znajdowało się krzesło pułkownika von Schwerina. Kapitan Moone się nie pokazał. Ćwiczył w tym czasie grę w krykieta, jak kazał wszystkim oznajmić. Oznaczało to, że przegląda magazyny. Również dla Rossberga i Müllera przygotowano masywne krzesła. Postawiono je jednak trochę z boku, bliżej części niemieckiej.

Wreszcie pojawił się kapral Copland. Ustawił się pośrodku boiska i zsalutował w kierunku pułkownika Nelsona. Wbiegła niemiecka drużyna i zajęła pozycje. Prawie równocześnie pojawiła się reprezentacja brytyjska. Rozległy się oklaski.

Rozwijano pierwsze transparenty. Na jednym z nich było napisane: „Naprzód ku zwycięstwu!”. Na drugim można było przeczytać: „Niemcy nie śpią!”. Trzeci oznajmiał: „Bramka za bramkę - naprzód koledzy!”.

Kapral Copland, który ponownie samowładczo i bez sprzeciwu obwołał się sędzią głównym, dmuchnął teraz mocno w swój sędziowski gwizdek.

Gra rozpoczęła się nadzwyczaj dramatycznie. Brytyjska jedenastka znalazła się natychmiast w posiadaniu piłki. Przewaliła się w pierwszym ataku nad gęsto ustawioną niemiecką obroną, przeszła bokiem koło obrońcy, wdarła się na pole karne, przeszła przez przepłoszone teraz niemieckie szeregi - lecz skóra trzasnęła o poprzeczkę z lewej strony. Widownia podskoczyła na swoich miejscach.

Po czym nastąpiły nieoczekiwane szybkie ataki ze strony niemieckiej, w jednym z nich pojawiła się nadzieja na bramkę. Hartmannsweiler zmylił przeciwnika, potem drugiego, wyminął prawego napastnika, stracił piłkę, znowu ją odzyskał, i strzelił z impetem w brytyjską bramkę - niestety dwa metry obok niej.

- Jelopa! - zakrzyknęło wielu na widowni prawdopodobnie ze strefy B.

Lecz inni, najwidoczniej ludzie z A, krzyczeli oburzeni: - Brytyjska obrona to zapaśnicy! Oblapiają jak małpy! Na co, wśród widzów ze strefy C, rozwinięto kolejny transparent, na którym widniało: „My sportowcy a nie małpy, każdy przeciwnik dla nas słaby”.

A jeniec z grupy porządkowej Langohra, siedzący w pobliżu Rossberga i Müllera, wrzasnął jak poparzony po przegranym starciu lewego skrzydłowego ze stoperem drużyny przeciwnej: - To są chywy poniżej pasa! Był przecież faul!

Rozejrzał się wokół siebie szukając poparcia i je znalazł. Wykrzyknął wtedy ośmielony: - Atak jest najlepszą obroną! Tym samym, nawet o tym nie wiedząc, zacytował Clausewitza, najbardziej pruskiego ze wszystkich strategów. W każdym razie niemiecka jedenastka rozgrzana okrzykami uderzyła znowu do ataku, lecz bezskutecznie.

Hartmannsweiler, środkowy napastnik, zderzył się z Brytyjczykiem, ten zwał się na ziemię i zwinął, on natomiast przeskoczył nad nim a właściwie przebiegł po nim, zdawało się, że go kopnął, i strzelił zaraz potem z odległości dziesięciu metrów do bramki, wysoko ponad poprzeczką.

- Uuuu! - wykrzyknęło chóralnie kilku ze strefy B. Potem rozbrzmiało: „Jełopa!”, - jedno dotyczyło faulu, drugie spudłowanego strzału. I natychmiast podniosły się głosy: - Schulz - do przodu!

Kapral Copland, sędzia główny, podbiegł do zwijającego się brytyjskiego piłkarza, porozmawiał z brytyjskim sędzią liniowym i usunął Hartmannsweilera gestem pełnym ubolewania z boiska. Za niego wszedł dotychczasowy obrońca Schulz. Brytyjski gracz podniósł się, ale kulejąc, opuścił boisko podtrzymywany przez dwóch opiekunów. Dziesięciu Niemców grało więc przeciwko dziesięciu Brytyjczykom.

Hartmannsweiler wycofał się wściekły i wzruszając ramionami, wyzywając wszystko, co brytyjskie, szczególnie brytyjskie metody sędziowania, tym samym kaprala Coplanda. Czynił to jednak pod nosem. Schulz strzelił w przeciągu dziesięciu minut bramkę, która wywołała entuzjazm tłumów.

Była to jedyna bramka w pierwszej połowie meczu.

\*\*\*

W przerwie wiele się jednak wydarzyło. Najpierw Copland miał krzepiącą, a jednocześnie uzasadniającą jego decyzję mowę. W tym samym czasie T.S. Turner zaklinał swoich ludzi ponownie, by myśleli o imperium. Oprócz tego uważał, że brytyjska taktyka w pierwszej połowie meczu była zbyt defensywna.

Po obu stronach masowano mięśnie, prowadzono krzepiące rozmowy i mobilizowano wszystkie rezerwy fizyczne, jak kto umiał. Rozdzielono soki, wodę mineralną, gumę do żucia. Prezes promieniował ufnością w zwycięstwo. Turner także.

Tymczasem po raz pierwszy uformowała się niemiecka orkiestra amatorska: trzy pary skrzypiec, akordeon i wszelkiego typu instrumenty perkusyjne. Ken McKellar oddalił się jak najszybciej i zniknął w składziku Silvera, gdzie był już oczekiwany.

Pułkownik Nelson i pułkownik von Schwerin cieszyli się wspólnie rekonstrukcją

bitwy pod El Alamein. W absolutnej zgodzie obchodzili swój szczególny plac zabaw. Mieli nadzieję spędzić tu w przyszłości wiele szczęśliwych chwil.

Jeńcy otaczający boisko byli radośnie podnieceni. Jeden do zera po pierwszej połowie - to ich głęboko poruszyło. Stawali się coraz głośniejsi, ich twarze nabierały ochoczego wyrazu, klepali się po udach i plecach.

Naprawdę sklecony chór męski skandował rytmicznie zagrzewając do boju: - Kto, potrafi, jak nie my, strzelić gola, właśnie my!

Ken McKellar ponownie wyłonił się ze składziku Silversa. Udał się w kierunku majora Rossberga i kapitana Müllera, zachowując pełną nonszalancję. Obaj stali trochę na uboczu i szeptali sobie coś do ucha. Prawdopodobnie znowu omawiali sytuację. Wyglądali na niezwykle zadowolonych.

- Przepraszam! - powiedział do nich Ken McKellar. - Przychodzę z polecenia pułkownika!

- O co chodzi? - usiłował dowiedzieć się z nadzieją w głosie major Rossberg.

- Więc, panowie, mamy u nas dzisiaj coś w rodzaju dnia otwartych drzwi. Pomyśl jak najbardziej demokratyczny - o ile to pojęcie budzi w was jakieś skojarzenia.

- Budzi! - powiedział z uśmiechem kapitan Müller-Wipper. - Ale co to praktycznie oznacza?

- Pułkownik wie o waszym szczególnym zamiłowaniu do czołgów - powiedział nie zwlekając długo Ken McKellar.

- Ostatecznie jesteśmy fachowcami!

- Czy mogę zatem prosić panów! Najnowszy, poprawiony model shermana jest przygotowany do zwiedzania!

- Jest to mile widziana uprzejmość! - powiedział major Rossberg z wielkim zadowoleniem.

A kapitan Müller-Wipper dodał: - Zakładam, że jest to bardzo obiecujący początek lepszej wzajemnej współpracy.

- Mniej więcej - odparł McKellar.

\*\*\*

Gdy major Rossberg i kapitan Müller-Wipper w asyście McKellara podeszli do brytyjskiej bramy, ten powiedział do wartowników: - Z polecenia pułkownika!

Po czym zostali bez kłopotów przepuszczeni.

Sierżant Silvers czekał już na nich. - Proszę za mną! Wskazał równocześnie na

toporny czołg stojący przed budynkiem brytyjskiej komendantury.

Silvers rozejrzał się jeszcze szybko wokół siebie. Wszystko było w najlepszym porządku. Kapitan Moone, krykciecista, zniknął gdzieś, wartownicy zajęci byli rozmową z McKellarem, a ci przy zewnętrznej brytyjskiej bramie cieszyli się obecnością Mary Timemaker odwracającej ich uwagę. A załoga czołgu, o ile nie relaksowała się na boisku lub też nie gapiła przy płocie, zajęta była z Peterem O'Caseyem piciem mocnych trunków, do wyboru, w składziku z rolls-roycem.

Resztą zajęli się niemieccy jeńcy ze stuprocentowym efektem. Bo ich muzyczny koncert w przerwie meczu, na środku boiska, był przynajmniej dla Brytyjczyków niemałą atrakcją. Orkiestra o pięknej nazwie „Dźwięki ojczyźniane” pod dyrekcją byłego nauczyciela zaintonowała najpierw *Alte Kameraden*, a potem *Erika* i inne w tym stylu melodie. Potem wystąpił chór męski o zmysłowej nazwie „Krań pieśni pustynnych”. I śpiewał z uczuciem: *Im schönsten Wiesengrunde...* Nawet Brytyjczycy nasłuchiwali jak zajęte. Na wieżach strażniczych, na stadionie i przy ogrodzeniu też. Nawet major Turner przerwał pouczanie swej drużyny, co ta przyjęła z ulgą. Tylko pułkownik Nelson z pułkownikiem von Schwerinem nie dali się oderwać od swojej piaskownicy.

- Proszę wsiadać, moi panowie! - Sid Silvers ośmielał jak mógł dwóch niemieckich oficerów. - Może pomogę?

- Nie trzeba, jeszcze nie zardzewieliśmy!

Major Rossberg wdrapał się fachowo choć z lekkim trudem, na czołg, a zaraz za nim Müller. Weszli tak szybko jeden za drugim, żeby zademonstrować, że znowu - wreszcie - są w swoim żywiole. Weszli do środka przez górny właz. Tam przeszli do przodu. Z chwilą, gdy głowa Müllera zniknęła we wnętrzu czołgu, Silvers podskoczył szybko, zamknął klapę włazu i ponownie szybko odskoczył.

Natychmiast zagrzmiały silniki. Doprowadzone zostały szybko przez trzykrotne wciśnięcie pełnego gazu do dzikiego wycia. I Sherman ruszył z miejsca. Kierując się wprost na zewnętrzną brytyjską bramę obozu.

Wjechał na nią, rozerwał, przejechał po niej i drząc, zataczając się i tańcząc przedarł się dalej na wolną przestrzeń, wyjąc na najwyższych obrotach. Wjechał na pustynię - kierunek Nil.

Za kierownicą siedział Faust.

\*\*\*

Jeden z wartowników wystrzelał cały magazynek karabinu maszynowego. Oczywiście

na darmo. Inny wartownik zrobił to samo. Z równym skutkiem. Z wież strażniczych A i B wystrzeliły gęste wiązki pocisków w kierunku czołgu. Ten jednak wzbil gęstą, szeroką i zasłaniającą niebo chmurę kurzu i zniknął.

- Alarm! - wydarł się zaskoczony major Turner. Z błyskawiczną szybkością przeistoczył się w specjalistę od bezpieczeństwa. - Natychmiast otoczyć obóz! Zajechać samochodami w gotowości! Podporucznicy Miller i Mills natychmiast do mnie! Drugi czołg szykuje się do wyjazdu! Czeka na mój rozkaz! Ostra amunicja!

- A nasz mecz, sir? - zapytał kapral Copland tylko tym zaniepokojony. - Co z meczem?

- Człowieku, unieważniamy! Wszyscy jeńcy mają wracać natychmiast do swoich klatek, to jest stref. Jeden fałszywy ruch a strzelamy - ostrymi pociskami! Szybko!

Ci ludzie, niemieccy jeńcy wojenni, szemrali. Lecz zastosowali się do poleceń. Przy czym byli generalnie jednomyślni: Brytyjczykom było takie coś w tej sytuacji na rękę. Prawdopodobnie sami się o to postarali. Żeby tylko wysoko nie przegrać tego meczu.

- Nie można z nami tak postępować - szemrali.

Lecz tak właśnie z nimi postąpiono - zostali stłoczeni, bramę otworzono, a oni musieli wyjść. I nawet jeżeli mruczeli pod nosem, to instynkt stadny nie został poważnie zagrożony. Uformowali się i pobiegli truchtem do swoich compounds. Z powrotem do stref. Śpiewali przy tym po cichu - zaintonował Hartmannsweiler - *Deutschlandlied*. Na początek nieśmiało, potem coraz głośniej. Melodia Haydna, z kwartetu cesarskiego, tym samym coś z kultury.

- Coś takiego nie miało prawa się zdarzyć - powiedział pułkownik Nelson z ogromnym i szczerym ubolewaniem.

- Jestem bez winy - zapewnił również smutno pułkownik von Schwerin. - Ale rozumiem pańskie odczucia i je szanuję.

- Dziękuję panu za to!

\*\*\*

Czołg kierowany przez Fausta, wraz z pasażerami, został znaleziony pół godziny później, pośrodku pustyni. Sherman stał jak kamień. Major Turner otoczył ten obiekt swoimi oddziałami w sposób z taktycznego punktu widzenia wzorowy. Najpierw zablokował teren w kierunku Nilu artylerią przeciwpancerną. Potem kazał zająć pozycję z flanki karabinom maszynowym i granatnikom. Grupy uderzeniowe otrzymały zadanie „zamknięcia ewentualnych luk”.

Major Turner zbliżył się do uciekinierów pod osłoną drugiego czołgu, którego lufa

skierowana była na pierwszy uprowadzony czołg. Turnera zapewniono, że pierwszy czołg nie ma żadnej amunicji. Ale on nie bardzo chciał w to wierzyć.

Zawołał wojowniczo: - Poddać się! Rzucić broń! Ręce do góry i wychodzić!

Wysiedli w pośpiechu i podeszli do niego, jak rozkazał, z podniesionymi rękoma: Müller-Wipper obok Rossberga, a za nimi z wyzywającą swobodą Faust. Wyglądał, jakby był po prostu na małym spacerze i uśmiechał się przyjaźnie.

- Panie majorze - zaczął Rossberg prawie po koleżeńsku - to jest nieprawdopodobnie niemiła pomyłka...

- Zamknij pysk! - wykrzyknął energicznie major T.S. Turner. - Będzie pan mógł znowu otworzyć gębę, gdy będzie na pana zapadał wyrok. Niech się pan dobrze zastanowi, co wtedy zechce pan wyskomleć!

- Ponieważ byliśmy ostrzeliwani, nie mogliśmy...

- Ani słowa więcej, do ciężkiej cholery! - wrzasnął major. - Tu liczą się tylko fakty! A te są jak najbardziej jednoznaczne!

Bezpośrednią konsekwencją tych „faktów” było najpierw to, że trzech złapani w brytyjskim czołgu Niemcy zostali osadzeni w jednoosobowych bunkrach, które wzniesiono tuż za lazaretem. Stamtąd Faust został szybko wyciągnięty wkrótce po błyskawicznym pustynnym zmierzchu. To Silvers wkroczył do akcji. W jego składziku Faust założył mundur brytyjskiego kaprała. Potem wszedł do prześwietnego samochodu pułkownika. I w nim opuścił obóz. Nie oglądając się za siebie.

\*\*\*

- Moje uznanie! - powiedział Faust do Silversa, po tym jak rolls-royce skręcił z głównej arterii w jedną z bocznych ulic. - Kawał dobrej roboty!

- Na to wygląda - odpowiedział mu tenże. - Znowu pan uciekł, ale tym razem ostatni raz. A więc skutecznie!

- A kłopoty, które z tego wynikną?

- Dla kogo? - zauważył Silvers rozluźniony. - Pewne jest jedno. Nie uciekł pan z terenu McKellara, przecież nie mogliśmy mu tego zrobić. Nie uciekł pan wtedy, gdy oficjalnie byłem za pana odpowiedzialny. Jedynie odpowiedzialny jest ten, któremu podlegają bunkry. Czyli Turner. On musi teraz to piwo wypić i należy mu się.

Faust kiwnął z uznaniem głową. Lecz nie mógł uwolnić się całkowicie od niepokoju o swoich przyjaciół.

- A zeznania, których należy się spodziewać ze strony Müllera i Rossberga...

- A cóż one znaczą! - Silvers objął czule kierownicę swojego rolls-royca. - Ken nie może sobie nic przypomnieć. Ja też nie. Jedno tylko jest absolutnie pewne. Rossberg i Müller razem z panem Faustem odjechali sobie na pustynię najnowszym modelem shermana.

- Mistrzowska robota, Sid! Nie sądzę, bym potrafił tak przekonywająco to przeprowadzić!

- Ponieważ nie dysponuje pan czymś takim jak ekipa Silversa. Może pan to nazwać, jak pan chce, nawet przyjaźnią. Jest to coś w rodzaju międzynarodowych związków zawodowych - duchowe braterstwo. Pułkownik nie rozumie, co to jest, chociaż naprawdę nie jest głupcem.

- Czyli to już koniec - pan mnie odstawia. Do Niemiec?

- Już jutro zobaczy pan te swoje opiewane Niemcy. Nie straszno panu?

- Nie, Sid! Wszystko jedno, co zastanę w Niemczech. Szukam jednego, jedyne go człowieka - wszystko, co się stanie potem jest mi obojętne.

- Jest pan niepoprawny. Niech więc pan czyni, co uważa pan za stosowne. O świcie startuje samolot transportowy do Kolonii. Będzie pan pilotował moją specjalną przesyłkę. Szef transportu i pilot zostali przezornie poinformowani - setką funtów każdy.

- O niczym pan nie zapomina, co?

- A co innego mi pozostaje? Kto chce przetrwać, musi być pomysłowy. Zawiozę pana teraz do pańskiego apartamentu, żeby mógł się pan pożegnać z Sitah. Powiedzmy na godzinę. Chyba wystarczy, co? Potem włoży pan przygotowane cywilne ubranie.

- Dlaczego pan to wszystko robi, Sid?

- Henry, rzadko udaje mi się słyszeć tak głupie pytanie. Faust popatrzył w zamyśleniu przed siebie. Wreszcie wyznał: - Sid, jest pan wielkim uwodzicielem - wystarczy jedno słowo, a zostaję.

- Nasza zabawa dobiegła końca - odpowiedział Silvers. - Więc koniec! Przynajmniej tutaj. Co nastąpi potem, wiedzą tylko bogowie. Bo nic między nami nigdy nie przestanie istnieć. Tacy ludzie jak my są partnerami na całe życie.

- Tego się również obawiam, Sid! - Faust przytaknął pokornie.

- Muszę spełnić jeszcze jedną obietnicę, Henry. Jak skończy pan z Sitah, pokażę panu piramidy Gizeh i Sfinksa. Jak było umówione. Zanim opuści pan mnie i Egipt.

\*\*\*

Ostatnia noc była jak nieskończony, granatowy żagiel. W niedalekiej perspektywie połyskiwał srebrem Nil, zapewne tak samo, jak przed tysiącami lat. A przed nimi cierpliwe

niebo rozdzierała głowa zmaltrretowanego Sfinksa. Trzy piramidy w tle zdawały się być gigantycznymi cieniami.

Siedzieli blisko siebie, Faust z Silversem, na twardej, gładkiej, ale nie zimnej skale. Silvers wyjął z przyniesionej torby dwie szklanki - jedną z nich podał Faustowi. Potem ukazała się brzuchata butelka. Zawierała bez wątpienia szampana.

Silvers otworzył butelkę i napełnił szklanki. Swoją podniósł do góry i w świetle księżyca obserwował szybko gasnące, znikające w pośpiechu, podobne do sztucznych ogni bąbelki.

Potem powiedział: - Spróbuj wrócić, Henry!

A Faust powiedział wznosząc szklankę: - Nigdy nie zapomnę ciebie i twoich przyjaciół - tak zwanej ekipy - Sid.

Milczeli dłuższy czas. W pięknej, pełnej bezradności harmonii obserwowali Sfinksa, jakby mógł im pomóc w uporaniu się z kłopotami. Kamienna postać rysowała się niecałe sto metrów od nich. Sfinks zdawał się uśmiechać z nieskończonym spokojem, jeszcze teraz, po przeszło trzech tysiącach lat. Jakby jego oblicze nigdy nie było zniszczone i jakby nic poza spokojnym uśmiechem nie miało sensu po wsze czasy!

- Nasz przyjaciel Ken chciał koniecznie z nami pojechać - powiedział Sid Silvers. - Prawdopodobnie po to, żeby na pożegnanie zagrać ci *My Home*. Z trudem go powstrzymałem.

- Tak mi jest na duszy, jakbym go słyszał - powiedział zamyślony Faust.

- Nie będziemy sentymentalni, stary przyjacielu! - wykrzyknął Silvers. - Nie możemy sobie po prostu na to pozwolić, my - bracia. Gdyż wydaje mi się czasem, że jestem twoim bratem, Henry. Oczywiście starszym.

- Zawsze o tym marzyłem - powiedział z radością Faust. - Musisz wiedzieć, że nigdy nie miałem brata - a zawsze za nim tęskniłem.

- Najwyższy czas, abyś stąd zniknął - powiedział Silvers usilnie starając się stłumić wzruszenie. - Inaczej zapomnę jeszcze o moich interesach i będę grał na kobzie z tobą i z Kenem.

Otaczała ich granatowo połyskliwa i ciepła jak krew noc. Czuli się tak, jakby przynależeli do majestatycznego cienia piramid i owego uśmiechu poranionego, zmaltrretowanego i zwietrzałego Sfinksa. Chował teraz swoje pazury. W dwie pięści. Tak im się wydawało.

- Powodzenia w Niemczech! - zawołał Silvers do swojego partnera. - Chociaż nikt nie potrafi sobie wyobrazić, co należy przez to rozumieć. Ale ty prawdopodobnie dowiesz się tego!

\*\*\*

- Opuścił nas!

Oświadczył to trzy dni później Sid Silvers. Ale w jego oświadczeniu brzmiał szczerzy smutek. - Nie chciał tu dłużej z nami być!

- Do czego ty go skłoniłeś - domyśliła się Nancy.

- Miał wolny wybór. I wiele możliwości do wykorzystania. Ale on chciał koniecznie wrócić do Niemiec.

- Co on tam chce robić? Przeglądzić się? Załatwiać dla ciebie interesy? A może istnieje jeszcze jakaś kobieta?

- Nic z tych rzeczy Nancy. Chce tam kogoś załatwić. Kogoś, kto jest odpowiedzialny za śmierć jego rodziców. I nawet jeżeli brzmi to idiotycznie, trzeba mu wierzyć. Ja w każdym razie mu wierzę.

- Wiesz Sid, jak to brzmi? - zapytała z najwyższą uwagą Nancy Nelson. - Jak wołanie - chyba tęsknisz za nim.

- Tak jak się tęskni za bratem - wymruczał Sid Silvers.

Stali obok siebie na jednym z głównych mostów Nilu, w promiennej, jesiennej popołudniowej godzinie. Tuż obok hotelu „Semiramis”. Silvers wychylił się daleko przez barierkę i patrzył w szarozielony, leniwie sunący nurt rzeki.

Nancy Nelson patrzyła jednak pożądliwie, z energiczną radością swojego młodego wieku wokół siebie. Patrzyła na piramidy na skraju miasta, potem na ambasadę brytyjską, na luksusowe hotele na lewym brzegu. Obserwowała ludzi, łodzie, pojazdy, osły i palmy. Długo i cierpliwie.

I nagle Nancy Nelson krzyknęła: - Sid, albo jesteś kłamcą, albo ponosi cię wyobraźnia. Mówię to, bo coś widzę.

- A co takiego widzisz oprócz mnie i Kairu?

- Naszego Fausta! - stwierdziła jakby uszczęśliwiona Nancy.

- Niemożliwe! - wykrzyknął Silvers.

Wyprostował się. Popatrzył w kierunku, w którym spoglądała Nancy - na hotel „Semiramis”. I ze zdumieniem zobaczył to samo: Fausta. W świetnie skrojonym, dokładnie odprasowanym, nadającym mu poważny wygląd garniturze. Nonszalancko podszedł do nich, stanął i pozdrowił uprzejmie.

- Boże święty! - wykrzyknął Silvers bezmiernie zdumiony.

- A jak ty się tu znalazłeś?

- Przy pomocy tego samego środka transportu, Sid. I razem z ładunkiem środkowoeuropejskich antyków pierwszej klasy. Można zbić na tym świetny interes.

- Dobrze, że pan wrócił, Henry! - powiedziała Nancy.

Lecz Sid Silvers wysunął się do przodu i zapytał Fausta:

- Wszystko tam załatwiłeś?

- Niestety nie, Sid - powiedział z żalem Faust. - Człowiek, którego chciałem zamordować, zniknął. Z państwowymi pieniędzmi. Podobno przebywa w Kairze. I znajdę go tutaj.

- Czyli wszystko zaczyna się na nowo? - Sid Silvers patrzył zaniepokojony. - I myślisz, że możesz tego ode mnie wymagać?

- Dlaczego nie, Sid? Skoro jesteś moim jedynym przyjacielem i właściwie starszym bratem. Przecież to zobowiązuje! A teraz musimy zobaczyć, co mogłoby to oznaczać w praktyce.